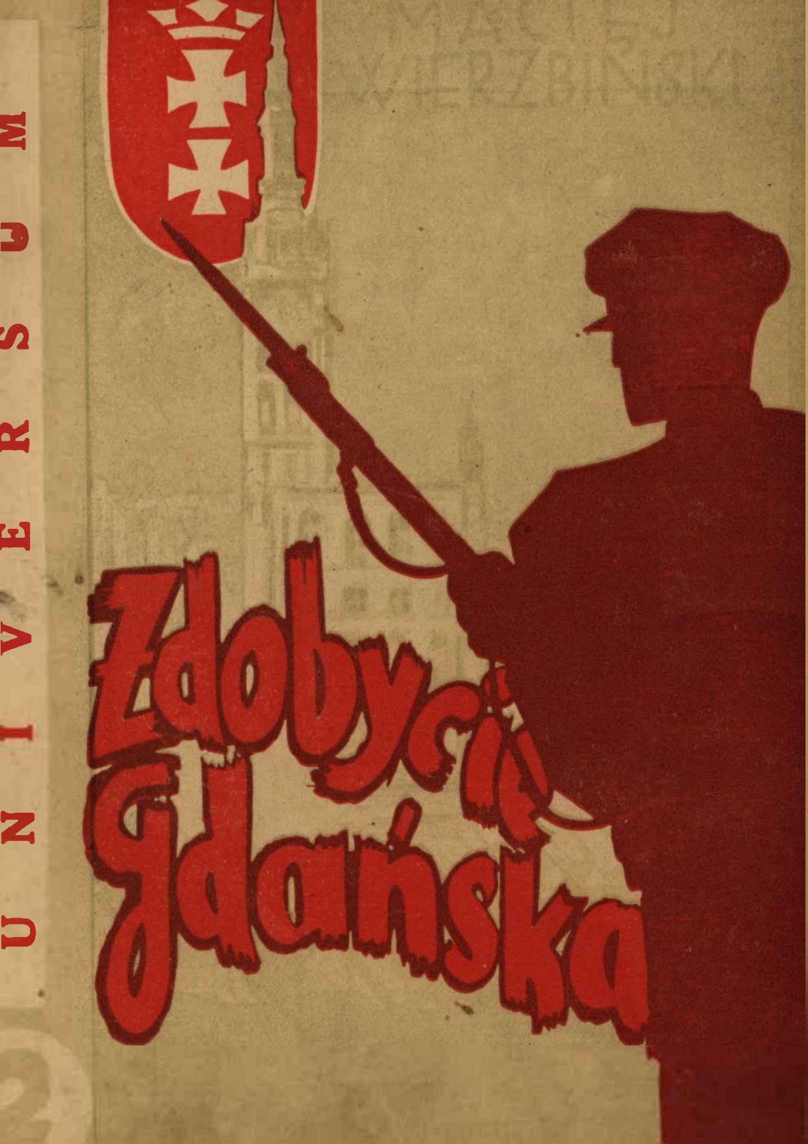


MACIEJ WIERZBIŃSKI
Zdobycie Gdańska
UNIWERSUM

MACIEJ WIERZBIŃSKI

ZDOBYCIE GDAŃSKA

POWIEŚĆ

MACIEJ WIERZBIŃSKI

W POGONI ZA NIEWINNĄ

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO „UNIVERSUM"

MACIEJ WIERZBIŃSKI

ZDOBYCIE GDAŃSKA

POWIEŚĆ

WYDAWNICTWO „UNIVERSUM"
BIBLJOTEKA DLA WSZYSTKICH
WARSZAWA — POZNAŃ — KRAKÓW — LWÓW

DRUKARNIA „GRAFIKA", STANISŁAWÓW, UL. SOBIESKIEGO L. 36

O, były to czasy!... Nie żył, kto nie wychodził z sarkofagu sromoty narodowej w olśniewającą jaśń nowego dnia Polski, nie oglądał zórz złocistych wschodzącej wolności, nie kąpał duszy w rozblaskach wyśnionej przez ojców wiosny, nie wyrastał z niewolnika „bez pana krwi swojej i bez ojczyzny” na równorzędnego człowieka w zbiorowisku wolnych ludów.

Było to święto osobliwe i bajkowe jak kwiat paproci, co raz w tysiąc lat zakwita — święto, w którego w czarodziejskim nastroju bezduszne szkielety zmieniały się w ludzi, w którem pospolity zjadacz chleba stawał się obywatelem, w którem obywatel wznosił się wysoko ponad prochy ziemi, rozrastał się duchowo, olbrzymiał i piękniał, w którem łzy miłości Ojczyzny przetwarzały się w brylanty rycerskich czynów, a świat cały, świat karłów i płazów zdał się duchów świetlanych przystanią.

Były to czasy cudne, zwłaszcza dla nas, na ziemi Wielkopolskiej, którym danem było pa-

trzeć na narodziny bohatera narodowego, jakiego w tym przełomowym momencie dziejowym instynktownie łaknęła i gwałtem poszukiwała zbiorowa dusza Poznania — dla nas, którym wolno było karmić załzawione oczy widokiem tej kryształowej postaci chrobrego męża na miarę Fidjasza — dla nas, którym Bóg pozwolił owinąć włókna serc i duszy przędziwo dookoła tego posągu chwały, pozwolił jemu służyć, z nim walczyć i nieść białe orły nad lazurowe wody Bałtyku.

O, były to czasy!...

I.

Dnia 11-go stycznia 1919 r. padły Szubin, Żnin i Łabiszyn pod obuchem oręża wielkopolskiego. Niemiec, cofnąwszy się za Noteć, drżał ze strachu, a Polak — zwłaszcza ten cywil, co nie wierzył, by powstaniec mógł zmierzyć się zwycięsko z dobrze uzbrojonym Grenzschutzem — podnosił głowę z dumą.

Tego późnego wieczora sędziwy pułkownik, Stanisław Grudzielski, niezmiernie znużony i wyczerpany, spoczął w fotelu na probostwie w Szubinie przy butelce węgrzyna i rozmawiał z księdzem kapelanem Chróścikiem, gdy w niskim, staroświeckim pokoju zaroiło się od oficerów w niemieckich mundurach. Wystąpił z pośród nich szczupły, nieco filigranowy,

lecz zgrabny i sprężysty blondyn z głębokiemi, ciemnemi oczyma i ściągniętemi marsowo brwiami:

— Panie pułkowniku, — ozwał się dobitnie Sobiesław Żabicki — nasi ludzie domagają się, aby prowadzić ich jutro na Bydgoszcz.

Grudzielski wybałuszył na niego starcze, spłowiałe oczy i począł mruczeć:

— Po takich całodziennych bojach... Kosztowało nas to zwycięstwo kilkudziesięciu ludzi... Jeszcze ich nie pochowano, a wam już zachciewa się niebezpiecznych historji...

— Niebezpieczną robotę skończyliśmy już tutaj chlubnie, panie pułkowniku. Teraz żołnierz pragnie zbierać plony.

Grudzielski spozierał po twarzach oficerów zgrupowanych za plecami Żabickiego:

— Niezmordowane z was źrebaki... Zapał was ponosi. Zapachniała wam Bydgoszcz niby panna... Tak to sobie łatwo wyobrażacie?

— Tak, panie pułkowniku — potwierdził z naciskiem porucznik — Bydgoszcz, to dojrzałe jabłko, które teraz samo spadnie nam na łono.

— Skąd to wiesz z góry?

— Nie może być inaczej, panie pułkowniku. Oni całkiem rozbici na duchu. Uciekali jak zające i gdyby nie zmęczenie naszego żołnierza... Grenzschutz to nie gwardja napoleońska. Zresztą przybyło przed chwilą trzech naszych wywiadowców z Bydgoszczy, którzy przysię-

gają, że w tamtejszej hakacie panika. Wszyscy spodziewają się lada chwila wejścia Polaków do miasta. Nie można robić im zawodu... Załoga zdemoralizowana do cna przez pobite szeregi uciekinierów z pod Szubina, bić się nie chce. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, albo raczej grzmocić tą bandę póki jest bez ducha.

— Tak to sobie wykoncypowałeś... — stęknął stary pan, święty spokój więcej sobie ważąc od nowych wawrzynów w perspektywie. A porucznik Żabicki napierał na niego bez litości:

— Polacy umieli zwyciężać, lecz bodaj nigdy nie trudzili się, by ze zwycięstwa korzystać. My, nowa edycja Polaków, nie będziemy już tak... wygodni. Panie pułkowniku, nie dość nam czczej chwały, chcemy... wielkiej Polski.

— Ho, ho — pokiwał głową Grudzielski. — Moi drodzy, ja wam tego nie dam.

— Ale pan pułkownik z pewnością da swemu zwycięskiemu żołnierzowi Bydgoszcz — odparł z zacięciem Żabicki, wyprostowany jak struna.

Grudzielski pogładził dłonią biały wąs. Zastanowił się:

— Ja sam takiego rozkazu nie mogę wydawać. Zatelefonujcie do Poznania, zapytajcie o to Naczelną Radę Ludową.

— Czyż to pan pułkownik pytał się cywi-

lów czy wolno mu wypędzić z Szubina i pobić Prusaków?

— Mój kochany, wiesz, że podlegamy władzy Rady Ludowej.

— Niestety... — szepnął Żabicki.

— A jeżeli podlegamy jej, to... podlegamy.

— Pan pułkownik pozwoli jeszcze uwagę? — spytał faworyt starego pułkownika.

— Mów!

— Niewiadomo wcale, czy niby małe dzieci niańki, musimy co krok pytać się owej Rady o pozwolenie na każdy dalszy krok. Nie u zlibyśmy daleko.

— Mój Żabicki, coś cię rozsadza... ponosi niby rumaka... Na Bydgoszcz nie możemy ciskać się samowolnie!

— Więc mam oznajmić żołnierzowi, że zwycięzca z pod Szubina nakazuje wywczasy kapuańskie, aby pobici Prusacy mogli przyjść do przytomności i za tydzień uderzyć na nas z pomocą świeżego żołnierza?...

W istocie nie było można wątpić, że komenda niemiecka pod wpływem wojowniczego Manthey'a zdobędzie posiłki i zachęcona biernością Polaków, którą szeregowiec poczyta za dowód słabości, uderzy znów na Szubin. Pułkownik rozumiał to tak dobrze, jak Żabicki. Nie śmiał też wręcz powiedzieć „nie" tym żołnierzom, którzy sami, bez artylerji, w zażartym, niezrównanym boju złamali opór uposażonego w działa nieprzyjaciela. Nie wódz zwy-

ciężył, lecz żołnierz, poprowadzony według planu Żabickiego. Jednakże stary pułkownik w poczuciu własnej niemocy nie śmiał odważyć się na krok pociągający za sobą następstwa, które go przerażały.

— Moi chłopcy! — ozwał się łagodnie z całą swą poczciwością. — Może przyszłoby to łatwo z Bydgoszczą. Mimo to ja nie mogę brać tego na własną odpowiedzialność. Powtarzam: przedstawcie sprawę Naczelnej Radzie Ludowej. Telefonujcie!

Przez chwilę Żabicki milczał; zdał się dawać mu jeszcze czas do namysłu. Wreszcie rzekł:

— Wedle rozkazu.

Pułkownik przytrzymał oficerów, nalał im po kieliszku wina, chcąc ich przeprosić za to, że pozwalał sobie nie stosować się do ich życzeń, i odprawił ich przyjemnem słowem.

Oczy kleiły mu się do snu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Żabicki, syn lekarza z Wągrowca, ukończywszy gimnazjum, słuchał prawa w Berlinie. Wkrótce jednak porwało go coś w świat. Wyjechał do Francji, Anglji i Stanów Zjednoczonych, by, jak mówił, zorjentować się w bałaganie wszechświatowym i uczyć się żyć. Wrócił do Berlina, gdzie przyszło mu służyć rok w wojsku. Nim wystąpił z szeregów, wybuchła

wojna i Żabicki odczuł, że w niewielkim jego ciele płynie krew żołnierska. Zaimponował przełożonym swą inteligencją i rycerskiem zacięciem. Posłano go przeto na szkołę oficerską w głąb Niemiec, gdzie z nadzwyczajnym zapałem wchłaniał w siebie wiedzę wojskową. Wczytywał się w dzieła Gneisenau'a i Moltke'go i śnił wielkie bitwy z Prusakami. Na wojnie zczerstwiał duchowo, spoważniał, nabrał hartu i wyrazu surowości, nie licującego z subtelną, delikatnie rzeźbioną jego twarzą. Nauczył się wśród Niemców milczeć i w oczach wielu zagadkowym był osobnikiem. Ale wobec kolegów, których polubił, zwykle nie taił się z niczem. Mimo to odczuwał, że wiele więcej ponad to, co ujawnia, pozostaje w tajnikach jego podświadomości i nie zdołałby wypowiedzieć się do dna, odsłonić cały. Z myślącej, skupionej jego twarzy biła moc, której instynktownie podporządkowywali się jego towarzysze i on to jednem słowem wsuggestjonował w nich myśl pochodu na Bydgoszcz.

Chociaż godzina była późna, ośmiu oficerów poszło z nim do głównej kwatery, mieszczącej się w landraturze, gdzie zdeterminowany porucznik jął dobijać się telefonicznie do Rady Ludowej w Poznaniu, kazał pobudzić triumwirat i szturmował dopóty, dopóki nie zebrał się on na narady.

Gdy obiecano dać mu odpowiedź za godzinę, oficerowie rozeszli się na swe kwatery w mia-

steczku. Żabicki odesłał na nocleg dyżurnego sierżanta i pozostał w biurze sam z duszą całą oddanym sobie podporucznikiem Kazimierzem Wachtlem, który wyciągnął się na wysłanej płaszczami ławie i chrapnął. Sobiesław zaś przy telefonie zwiesił głowę nad stołem malowniczo, niby gałąź złamana, i zawtórował mu nosowym dyszkantem. To im się należało.

Była druga, gdy zbudził ich dzwonek. Żabicki chwycił słuchawkę, a Wachtel podkręciwszy knot lampy, próbował czytać w jego rysach, co uchwaliła Rada Ludowa.

Było można to przewidzieć. W nastroju optymistycznym Rada, sprawująca rządy w Poznańskiem, żywiła przekonanie, że na konferencji pokojowej Polska otrzyma zabrane jej ziemie, Gdańsk i Śląsk Opolski. Odpychała przeto myśl dalszych kroków wojennych, dążyła do rozseparowania kombatantów, do wytyczenia linji demarkacyjnej.

Jakoż najmłodszy z trzech członków Rady zakomunikował porucznikowi Żabickiemu tonem monarszym:

— Uważamy Noteć za barjerę, jakiej powstańcowi przestępować nie wolno pod żadnym warunkiem.

— Pozwolę sobie zapytać — ozwał się porucznik, żując gniew w duszy — czy Naczelna Rada posiada zupełną pewność, że Grenzschutz

również uważać będzie Noteć za linję demarkacyjną.

— Tej pewności dotąd jeszcze nie mamy — odparł opryskliwie młody triumwir. — Istnieje wszakże nadzieja, niemal pewność, że wkrótce dojdziemy do porozumienia z prezesem Rejencji Bydgoskiej we wszystkich sprawach. On sam zaproponował dziś rokowania! — podkreślił członek Rady z zadowoleniem, a nawet dumą. — A zatem kroki zaczepne z naszej strony byłyby w tej chwili szczególnie niewskazane i niedopuszczalne. Zresztą o zdobyciu Bydgoszczy nie można ani marzyć.

Żabicki był zgoła innego zdania. Podniósł, że prezes Rejencji Bydgoskiej wystąpił z propozycją wznowienia układów, bo drży z obawy przed zajęciem swego miasta i pragnie Polaków od tego powstrzymać i wywieźć w pole. Skoro niebezpieczeństwo minie i Grenzschutz uzyska nowe siły, pocznie on natychmiast z innej beczki. Okaże się wtedy, że prezes Rejencji nie miał żadnego prawa przemawiania w imieniu wojska, które w żadnym razie nie krępowałoby się jego polityką, skoro operacje wojenne zalecać mu będą co innego.

Zajęcie Bydgoszczy uznał Żabicki za łatwe i konieczne ukoronowanie zwycięstwa szubińskiego, a propozycję prezesa Rejencji — poprostu za szwindel.

Dotknęło to młodego triumwira ogromnie. Uważał on, że porucznikowi nie wypada wcale

wyrażać zdania swego, a tem mniej zdania niezgodnego z zapatrywaniami i uchwałą najwyższej władzy. Zamykając nagle rozmowę, rzucił porucznikowi wyniośle:

— Naczelna Rada Ludowa powzięła zakomunikowaną dowództwu przed chwilą uchwałę i nie uważa za potrzebne zasięgać już niczyjego zdania w tej materji.

Sobiesław zawiesił słuchawkę, zamroczył się, westchnął i bąknął przez zęby:

— Dudek!

Gdy Wachtel wylewał swe oburzenie na Radę Ludową, Sobiesław nie słuchał. Zapadł się w siebie. Wreszcie zapalił papierosa, powstał i patrząc w oczy przyjaciela, wyrzekł twardo, z mocą:

— Kaziu, jutro idziemy na Bydgoszcz!

— Jakto?! — wyrwało się bez tchu.

— Nie damy się wystrychnąć szwabom na dudków, ani wtrącić w nieróbstwo. Pal djabli tych, co zabijają czyn!... Pamiętasz ile razy upewniałem cię, że społeczeństwo piętnem jarzma naznaczone, nigdy nie zdobędzie się na akcję w wielkim stylu? Nie poprowadzi narodu?... Nie dlatego, aby u nas nie było w ludziach materjału do czynu, aby nasz ogół nie dociągnął swej psychiki do wielkiego faktu dziejowego, jaki świeci nad nami słonecznie. Nie! Właśnie w naszem patrjotycznem społeczeństwie jest materjał w ludziach, który wręcz prosi się, by z niego stworzyć dzieło

cenne dla Polski. Ale niestety, tacy jego prowodyrzy, miasto woli pełnego życia narodowego w kościach, mają w nich omdlałość niemocy grobowej i trwożliwość urodzonych niewolników... Mimo to, Kaziu, my idziemy jutro w nocy na Bydgoszcz! — powtórzył Żabicki ze stalowym naciskiem.

Wachtel zerwał się na nogi.

— Ty odważysz się na to?...

— Pozwól mi działać!

Sobiesław rozprężył się, wzniósł ramiona wysoko, nabrał w klatkę piersiową zapas powietrza, niby jakiś statek napowietrzny przed wylotem w podniebne strefy. Wyrastały mu skrzydła i promieniował cichą radością.

Na znak porozumienia uścisnęli sobie ręce mocno raz, drugi i trzeci.

Nazajutrz obiegła Szubin elektryzująca wiadomość, że Naczelna Rada Ludowa, pełnem zaufaniem darząc dowództwo, poleciła mu nie krępować się niczem, lecz postąpić jak zalecają mu względy strategiczne i patrjotyczne. A zatem — na Bydgoszcz!

Forpoczty w Rynarzewie przekroczyły zaraz Noteć. W obozie zawrzał ruch gorączkowy i, gdy zapadł zmierzch, trąbka ozwała się na cichych ulicach miasteczka.

— — — — — — — — — — — — — — —

II.

Następnego wieczora Żabicki znów zastał swego dobrego pułkownika przy stole jadalnym — w Bydgoszczy.

Chociaż w tych dniach uśmiech rzadko krasił jego twarz, migotały na niej blaski. Nie było bowiem żołnierza polskiego w Bydgoszczy, który nie byłby triumfował i świętował w zdobytem gnieździe hakaty.

Na zacięty opór napotkał Polak jedynie na dworcu kolei. Stacjonowany tam bataljon Grenzschutzu, porwany przykładem ochotników nadnoteckich, ostrzeliwał awangardę skutecznie i tam padło kilku mężnych wiarusów. A później, w ostatniej chwili, bataljon ten schronił się do pociągu i odjechał w stronę Nakła pod kulami polskiemi.

W ogromnych koszarach, gdzie zgromadziły się dwa inne bataljony Grenzschutzu pod bokiem dość silnej artylerji, byłoby przyszło do długiej i krwawej walki, gdyby hałastra Grenzschutzu, zwerbowana naprędce w szeregi ze wszystkich kątów i spelunek Niemiec, nie była odmówiła oficerom posłuszeństwa. Nie przybyli oni przecież na te wschodnie kresy, aby bić się z Polakami, przelewać krew za zgnębiony i przez nich samych oplwany Vaterland, lecz, aby bisurmanić na skórze polskiej, hulać i rabować. Tymczasem kazano im się potykać z Polakami. — A ich bolała wygarbo-

wana w Szubinie i Żninie skóra. Gdy przeto Polacy rozwalili bramę koszarową pociskiem armatnim i grad kul posypał się na dziedziniec, zbuntował się rozgoryczony najemnik. Rozegrała się tam scena krwawa. Jeden z oficerów palnął kulą w łeb sierżanta, który cisnął mu broń pod nogi, i sam natychmiast legł z piersią bagnetem przeszytą, co stało się hasłem do ogólnego rozprzężenia i zamętu. Skutkiem tego Prusak poddał się, złożył broń pokornie.

Krótko przedtem szwadron miejscowej dragonji, czyli t. zw. grenadjerów konnych szarżował na liczne szeregi polskie przed temi koszarami zgromadzone. Dostał się jednak w straszną ulewę kulomiotów i w kilka minut brawurowy atak skonał w bajorach krwi, w której tarzał się i koń i jeździec.

I tak duże miasto, przeważnie niemieckie, wpadło łatwo w ręce Polaków. Bo nawet bandy kolonistów, którzy przez Fryderyka Drugiego nad Notecią osadzeni, z ojca na syna wilczą przywdziewali skórę i najbitniejszy, wściekłą nienawiścią do Polaków pałający stanowili żywioł, rozlecieli się jak wrony i kruki pod uderzeniem wojaka, któremu skrzydła przypięło zwycięstwo.

Więc wszystkie nerwy Żabickiego grały hymn radości. Przecież on to sprawił. On wziął Bydgoszcz.

Stanąwszy przed Grudzielskim na baczność, ozwał się:

— Panie generale, melduję pokornie, że pierwszy bataljon Grenzschutzu, uciekający do Piły, dostał się na dworcu w Nakle pod ogień naszej załogi nakielskiej i zmasakrowano go tak, że tylko połowa uciekła z życiem.

— A niechże was wszyscy djabli... Morowe chłopy... — klął pułkownik, cedził, rozdzielał pochwały, nie posiadając się z radości, i patrzał na Żabickiego jakby na gońca niebios.

— Siadaj, siadaj! Co zostało w koszarach?

— Przedewszystkiem sam major Klette jako jeniec i lekko ranny rotmistrz hr. Howartt, który tak pięknie chciał umierać.

— Krzywdy im nie damy.

— Zdobyczy nie zliczono jeszcze. Dość jednak, że mamy sześć armat polowych, mnóstwo ciężkich kulomiotów i innych, tudzież ogromny skład tak naszym potrzebnego odzienia.

— Doskonale. Mrozy nadchodzą. Ciepłych koszul i majtek potrzeba — mruczał Grudzielski.

Przy stole pułkownika siedział blady rekonwalescent, kapitan Keller i młodziutki adjutant Krynicki. Szambelańskie pełniąc funkcje, zarezerwował on zaciszny pokój restauracyjny, gdzie można było porozmawiać swobodnie.

— Krynicki, — zwrócił się doń pułkownik

— każ nam jeszcze przynieść piwa. Wcale niezłe. I niech u djabła, podają jeść, co mają.

— Jeśli zważymy — ozwał się w zamyśleniu Żabicki, — że w Nakle posiadamy teraz aż pięć tysięcy karabinów, a te karabiny rozbiorą nam w mig stada sokołów, co poczną się do nas zlatywać, to, panie generale, z tem będzie można coś rozsądnego przedsięwziąć...

— Czegóż tobie się jeszcze teraz zachciewa? Ale, słuchaj-no, jakim tytułem ty mnie generałem nazywasz?

— Dla nas zwycięzca z pod Szubina i zdobywca Bydgoszczy jest generałem!

Przez chwilę pułkownik przyglądał mu się bez słowa w osłupieniu z widoczną lubością.

— A jak ja ciebie mam przezwać? — uśmiechnął się.

— Aspiruję tylko do jednego zaszczytu.

— Jakiego?

— Aby pan generał zamianował mnie szefem swego sztabu.

Szeroki uśmiech opromienił zmięte oblicze uszczęśliwionego pułkownika.

— To dopiero sprowadziłbym sobie na kark piłę!... Ty odetchnąć nie pozwolisz staremu.

— Czy to się źle żyje z nami, panie generale?

— Ah, niech was wszystkich licho weźmie! Potrzebne mi to było na stare lata! I cóż mam teraz począć? Muszę cię, warjacie, zamiano-

wać szefem. Na swoje wieczne utrapienie... — śmiał się.

Na to Żabicki rzucił się do niego i przylgnął twarzą do jego ramienia, a stary pan w nagłem rozczuleniu objął jego głowę, przytulił do piersi i pocałował w czuprynę. Trwało to długo. Snać nagromadziło się w nich niemało jakiegoś uczucia, co łączyło ich złotą nicią. Na to weszło dwuch oficerów i poczęli opowiadać o tem, co dzieje się na mieście. Nie działo się tam wszakże nic sensacyjnego. Niemiec przykucnął, niby mysz pod miotłą, żuł gniew, złorzeczył tchórzliwemu Grenzschutzowi, a żyd bydgoski, hakatyzmu silny filar, poczynał już ostrożne umizgi do panów miasta. Polak, dotąd parjas zdeptany, wyszedł na ulicę i mówił głośno po polsku, ujawniał swą polskość, niby order.

W czasie wesołej rozmowy ukazał się dyżurny oficer z komendy.

— Panie pułkowniku, Poznań prosi go do telefonu.

— Naczelna Rada Ludowa? Raportowałeś im przecie o wszystkiem... Może dopominają się szczegółów zajęcia Bydgoszczy?

— I to im zakomunikowałem obszernie.

— Więc czemuż mnie inkommodują o tej godzinie?

— Sekretarz Rady bąknął mi coś, że wielki gwałt powstał w jej łonie.

— Gwałt? Z jakiego powodu?

— Bo podobno Rada Ludowa zaleciła komendzie wyraźnie i z naciskiem, abyśmy nie przekraczali Noteci i nie atakowali Bydgoszczy.

— Co?! Co takiego??!... — wrzasnął Grudzielski i zaniemówił. Świdrował wzrokiem inkwizytora poważną twarz porucznika Żabickiego przez długą chwilę ogólnego milczenia, wreszcie wycedził:

— Co to znaczy, Sobiesławie? Cóżeś ty nam nagadał? Nabroił?

Żabicki skrystalizował się w sobie i odparł, śmiało patrząc mu w oczy:

— Skłamałem...

— Jakto? Czemu?

— Bo naprawdę jest to przestępstwem względem żołnierza z ofiarnej jego roboty nie wydobywać korzyści dla sprawy, jakiej on służy. I głupstwem niedołęgów... Ja pragnę wyrwać Wielkopolskę ze skorupy zaściankowości, ze stanu trwożliwości i strupieszałego lojalizmu względem wroga, pragnę tchnąć w jej rdzeń poczucie samoistności, wolności i własnej siły. To zaś można zdziałać tylko gwałtem, wbrew małoduszności tych, których fala wypadków, ślepy traf czy kaprys losu postawiły na dominującej estradzie... Gwałtem trzeba wziąć ich za łeb, porwać i ponieść, aby zmazać w nich ślady jarzma, rozniecić w nich świadomość, że w tym, może już bezpowrotnym momencie dziejowym, wróciły czasy Piastów Chrobrych, co tworzyli imperjum polskie... Panie generale,

ja poszedłbym przez sto kłamstw, niby przez las nahajek, do tego celu. Albowiem czuję, że byłoby głupstwem i grzechem, gdybyśmy, mając w szerokich warstwach ogółu i w odważnym naszym żołnierzu tak potężny żywioł, dyszący w tej chwili niby bachmat entuzjazmem twórczym, nie ulepili z tej cudownej i szlachetnej gliny wielkiego, olbrzymiego dzieła, gdybyśmy nie postawili jednym tytanicznym odruchem Państwa Polskiego odrazu na wyżynie mocarstwowej...

Grudzielski słuchał i wszyscy słuchali nabożnie tych stalowych dźwięków uskrzydlonego „imperjalisty" polskiego, któremu śniły się jakieś wielkie, cudowne rzeczy. Było to czemś od tła przeciętności tak odskakującem, że słuchacze nie rozumieli go całkowicie. Jednakże czuli, że mają przed sobą męża takiej miary, którego nie wolno im powoływać przed kratki trybunału za to kłamstwo.

— No, stało się... — wyszeptał po chwili Grudzielski. — Przez twoje kłamstwo, przez ciebie jesteśmy panami Bydgoszczy, władcami tego arsenału, co nam ciągle zagrażał nad Notecią. Zasługa twoja przeważa stokrotnie twój akt szaleństwa, podyktowanego patrjotyzmem... Teraz za to, coś zbroił, Rada Ludowa mnie łeb zmyć zamierza. Ruszaj do telefonu i wyłgaj się, jeśli potrafisz!

Żabicki powstał od stołu.

— A prawdy im nie mów, bo daleko nie zajedziesz! — upomniał go stary pan.

— Nie, — odrzekł spokojnie Żabicki. — Prawda jest tylko dla duchów mocnych.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem tego przepysznego junaka, a Wachtel ozwał się:

— Wielkie nastały czasy, w których trzeba nam w Polsce wielkich duchów. Taki narodził się nam na tej piastowskiej ziemi!...

— Morowy chłop...

— Z gliny, z której lepią posągi — rzekł kapitan Keller.

— Polska będzie miała z niego pociechę — posypały się uwagi, ale rozmowa wkrótce urwała się, bo wszyscy oczekiwali z napięciem powrotu Żabickiego.

Zdumieli, gdy wszedł on do pokoju rozpromieniony.

— I cóż? I cóż?! — zapytał go żywo Grudzielski.

— Naczelna Rada jest w tej chwili więcej olśniona, niż zatrwożona. Olśniona, niewiadomo czem więcej: zdobyciem Bydgoszczy, czy też szalonym entuzjazmem, jaki przez to wzbudziliśmy w patrjotycznym Poznaniu.

— Co mówisz?

— Nazwisko pana generała jest na ustach całego miasta, które podobno kąpie się w radości. Na ulicach tysiące ludzi, nastrój zgoła upajający, na placu Wilhelmowskim rozbrzmie-

wają wiwaty na naszą cześć. Jutro miasto będzie iluminować... To świetnie, bo z tej mąki nietylko będzie chleb i pieniądz dla naszego żołnierza, ale... będą tysiące ochotników.

— Co im nagadałeś? — pytał go Grudzielski.

— Co ślina przyniosła na usta — zaśmiał się Żabicki. — Ot, wyłgałem nas wszystkich, przywdziałem skórę baranka. Powiedziałem jak uczniak, że to nie z naszej winy nastąpił atak, gdyż forpoczty nasze w Rynarzewie bez wiedzy komendy wszczęły strzelaninę nad Notecią, przekroczyły rzekę i z tego wywiązała się taka potyczka, że nie można było powstrzymać naszego żołnierza od niesienia pomocy towarzyszom broni.

— A niechże cię wszyscy djabli... Doskonale. Ty łżesz, jak z książki. I co dalej?

— Rozgorzały tedy boje, mówiłem i powstaniec zapędził się za Grenzschutzem tak daleko, że nie chcąc wydać go na rzeź przemocy, musieliśmy ruszyć w nocy pod Bydgoszcz. A z tego tak się jakoś głupio zrobiło...

— Ha, ha, ha!... — podniosły się serdeczne śmiechy i wesołość zakrólowała bezbrzeżna.

III.

Zdobycie Bydgoszczy otoczyło powstańca aureolą i sława jego czynu zajaśniała daleko

poza granice Wielkopolski, sięgnęła do Warszawy i do Paryża.

A pod utajoną a sprężystą ręką Żabickiego powstanie to nieznacznie przechodziło w nową zaborczą fazę, przemieniało się w wojenkę. Bo dwutysięczny korpus Grudzielskiego powiększał się z dnia na dzień, Wcielono do niego natychmiast kilkuset Bydgoszczan zorganizowanych od pewnego czasu w Związki Wojaków. Znajdowało się w nim niemało Borowiaków, Kosznajdrów, Kociewiaków oraz garść Kaszubów, słowem całe Pomorze. Przybyli oni nad Brdę, chcąc przedostać się do powstania wielkopolskiego. Ponieważ jednak niełatwo było przekraść się przez nadnotecki kordon Grenzschutzu, czekali stosownej chwili, albo raczej szukali podświadomie głowy, dowódcy, który stanąłby na ich czele i powiódł ich na Prusaka. Aż oto przyszedł do nich powstaniec wielkopolski i wziął ich w bratnie ramiona.

Aby poruszyć i przyciągnąć takie żywioły wojackie z Prus Zachodnich, Żabicki wydał do Polaków tamtejszych odezwę od „żołnierza wielkopolskiego". Rozpowszechniał ją przez emisarjuszy i przez Rady Ludowe, — istniejące niemal we wszystkich miastach powiatowych po obu stronach Wisły. Nadto odezwał się z apelem do straży obywatelskich w Poznańskiem i do drużyn żołnierskich w Jarocinie, Wrześni, Wągrowcu i innych północnowschodnich centrach prowincjonalnych, które

na zew zdobywców Bydgoszczy niezwłocznie śpieszyli pod chorągiew, jakby pod kategorycznym rozkazem.

Takie zabiegi dowództwa w Poznańskiem zdawały się zbędne, gdyż wszystkiemi drogami napływali tam ochotnicy, poprostu lecieli na skrzydłach zapału. Pośród tych sokołów szczególną i powszechną popularnością cieszył się białowłosy obywatel ziemski, Grabicki, który sam, obok swych czterech synów, stanął w szeregu z karabinem.

Z tych przeważnie ostrzelanych w wielkiej wojnie, karnych zastępów formował drużyny i baony doskonały organizator, kapitan Keller z pomocą młodych oficerów. Zadanie nie było trudne, bo wogóle wszyscy współzawodniczyli w gorliwości, przesadzali jeden drugiego. Na słowo: „służba", każdy zamieniał się w automat, cudowną iskrą poruszany. Opromieniał ich entuzjazm wręcz nieporównany i zaiste było można tam wyczuć, że dla Polaka żołnierka to jego żywioł, to rycerska najprzepyszniejsza zabawa, że to urodzony brawurowy żołnierz. Zdało się, że na odgłos trąbki skoczy on, jakby w taniec i z piosnką na ustach pójdzie na podbój świata.

Gdy o pierwszej w południe wyruszały z przed głównego dowództwa patrole na miasto, tłumna gawiedź niemiecka przyglądała się im z niemym szacunkiem. Mundurem swym nie różnili się wcale od linjowego żołnierza

niemieckiego, jedynie wysokie rogatywki z rozetą, przypominające wojsko księcia Józefa, i owa iskra dumy, co lśniła w źrenicy tego defilującego żołnierza jak brylant, mówiły, że to Polacy całą duszą wcieleni w służbę dla Ojczyzny.

Żabickiemu rosło serce. Dwoił się i troił. We wspaniałych hangarach bydgoskich znalazłszy kilka dobrych Fokkierów, stworzył zaraz małą eskadrę napowietrzną. Zarekwirował w mieście wszystkie motocykle i samochody i oddał je narazie w służbę prowiantury A w niedzielę dla podtrzymania wesołego nastroju w szeregach, urządził świetną uroczystość z okazji poświęcenia pięknej chorągwi, jaką zwycięskiemu korpusowi ofiarowało grono patrjotycznych obywatelek.

Młodzieńczą i żołnierską wesołość załogi podniosło na jeszcze wyższy stopień widowisko nieoczekiwane: exodus hakatystów bydgoskich. Było to także dziełem Żabickiego. Polecił on bowiem rządzącej w mieście Radzie Ludowej aresztować szpiegowskie figury, a jednocześnie rozpuścił pogłoskę, że komenda polska, sporządziwszy listę notorycznych wrogów, wyda ich na rzeź rozjuszonych powstańców. Uciekał tedy na łeb, na szyję ten, co byłby istotnie figurował w długiej takiej litanji, niemniej jak ten, którego sumienie wcielało w kadry hakatystów. Dla tych uciekinierów przeznaczono kilka pociągów i podwie-

ziono ich w pobliże Piły, skąd niby zmokłe psy, niby koloniści, porwani przez Drang nach Osten, wędrowali z tobołami nach Westen, do Vaterlandu.

Strach padł na te żywioły paniczny. Jakoż poczęli rwać się na gwałt do ucieczki koloniści świeższej daty, osadzeni w tych stronach przez Komisję Osadniczą, a nawet szczególniejszą furją teutońską pałający kulturnicy, wszczepiani w ten grunt w osiemnastym wieku. Nareszcie, mimochodem, wyzbywała się ta ziemia stad najbezwzględniejszych sępów, jakich żywiła swą piersią za to, że wielokrotnie, dzikich bestji wzorem, palili, mordowali krajowców i stanowili na tych kresach iście krzyżacką straż orła czarnego. Nareszcie!

Skoro jednak wieść o tem doszła do uszu Naczelnej Rady Ludowej, zainterpelowano Żabickiego ostro w tej materji, albowiem sprzeciwiało się to krzycząco uprawianej w pewnych kołach zawsze jeszcze polityce niedrażnienia Niemców, urągało lojalizmowi, bezgranicznej, specyficznie polskiej tolerancji i tendencji do wspaniałomyślnego faworyzowania wrogów. Zresztą jak każdy czyn, nieciło to zaskórny niepokój wśród sfer, które na każdym kroku poszukując karmu dla swej trwożliwości, poczytywały to za wybryk „radykałów". Wbrew poklaskom ulicy poznańskiej, politycy ci odczuwali dreszcz lęku, nie wiedząc przed czem.

Więc na głowę Grudzielskiego spadły z tego powodu gorzkie wymówki, zakazy, przestrogi. Polecono nawet polskiemu następcy landrata w Szubińskiem, pierwszemu polskiemu staroście, by osobiście wpłynął na uspokojenie umysłów wśród kolonistów i niejako prosił ich o dalsze dorabianie się grosza na tej polskiej ziemi. Nie stało się wszakże temu zadość. A Żabicki, w imieniu Grudzielskiego, odpowiadając na te inwektywy, uspokajał wspaniałomyślnych ojców:

— Oni wszak tutaj powrócą. Niema o to obawy.

Smiał się w kułak, nie bez gorzkiej ironji, i znów wyłgiwał się niby sztubak, przypisując panikę wśród kolonistów intrydze nieznanych sobie czynników.

A w moment potem zapomniał o tej rozprawie, bo zaiste miał na głowie stokroć ważniejsze rzeczy, o jakich nie śniło się filozofom poznańskim. W komendzie rozprawiano o ważkiej, palącej sprawie.

— Łatwiej zdobyć Bydgoszcz, aniżeli ją utrzymać — głosił kapitan Keller, a Grudzielski przytakiwał mu głową. — Z jednej strony zgrzyta zębami Piła. Sama przez się wprawdzie niegroźna to dla nas stanica. Nie uporała się z Chodzieżą, powtóre trzyma ją w szachu Nakło. Atoli z tak poważnym, na karku nam prawie siedzącym wrogiem jak Toruń, zaważyć może niemało. Dziwię się doprawdy, że

liczna załoga toruńska nie uderzyła na nas dotychczas.

— Ja nie — zabrał z cicha głos Żabicki.— Czyż komenda niemiecka może pokładać jakiekolwiek zaufanie w swoim żołnierzu? Zaprawdę nie może go mieć. Rewolta Grenzschutzu w koszarach bydgoskich, tak katastrofalna, stoi przed oczyma komendy, niby upiór i woła: memento! Powtóre spytajmy się...

— Hola, powoli Żabicki! — wpadł Grudzielski. — Nie zapominaj, że w Toruniu przytrzymują teraz i organizują przeciwko nam nieprzeliczone zastępy żołnierza wracającego z Ober-Ost, z Łotwy i Litwy.

— Panie generale, to najlepszy nasz sojusznik, bo to zakała Torunia, zaraza. Ta zbolszewizowana dzicz rewolucjonizuje do reszty załogę. Wiemy to od naszych wywiadowców i nie może być wcale inaczej. Kto tę hałastrę widział i słyszał, może tylko zacierać ręce z radości, jeżeli ona „wzmacnia” załogę Toruńską. Wyżre ona jej ubogie zapasy żywności a w zamian da truciznę rozkładową.

— Więc myślisz, że Toruń nie ruszy na nas wcale? — spytał Grudzielski.

— Ruszy. I dobrze się stanie. Stoczymy z nim bitwę w miejscu dla nas dogodnem. W przeciwnym zaś razie wypadłoby nam zdobywać Toruń. Ruszą na nas za... jaki tydzień. Przyleciał tam z Chełmży Rossbach i organizuje,

zdziera się jak but na ostrych kamieniach, aby z sypkiego piasku ukręcić bicz.

— Bagatelizujesz wszystko.

— Nie bagatelizuję oficerów, bo to przeważnie ideowcy, patrjoci, zaprawdę warci innego żołnierza. Oni mają dowodzić zgoła bezduszną bandą, my zaś dzierżymy w ręku żołnierza wzorowego, najpierwszej klasy, mamy zastępy gwardzistów Napoleońskich, chłop w chłopa. I oni ci gwardziści, wygrają wkrótce wielką bitwę... pod Solcem.

Zalękniony tą zapowiedzią Grudzielski pragnął, narazie przynajmniej, odsunąć od siebie wszystkie niepokojące sprawy.

— Pomówimy jeszcze o tem. Chodźmy na kolację!

Powstał. Zanim wyszedł, zwrócił się jeszcze do Żabickiego.

— Ja ci powiem, jak to się skończy. Naczelna Rada każe nam ewakuować Bydgoszcz, by nie dopuścić do bezcelowego przelewu krwi.

Żabicki przygryzł wargę i zamilkł. Bał się nie Prusaków, lecz Naczelnej Rady w Poznaniu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy Żabicki z kilku artylerzystami powrócił samochodem z pod Solca, mniej więcej na pół drogi do Torunia położonego, Grudziel-

ski, w całym korpusie tytułowany teraz generałem, kazał przywołać go do siebie natychmiast. Odesłał adjutanta, by pomówić z nim sam na sam.

— Wczoraj przybył do Poznania generał Dowbór-Muśnicki.

Oznajmiwszy mu to, Grudzielski utkwił w jego twarzy wzrok pytający.

— Nic nie mówisz. A czemu się uśmiechasz?

— Bo jutrzejszemu organizatorowi defenzywnych wojsk wielkopolskich zdążyliśmy wyeskamotować z Poznańskiego najlepszego żołnierza,

Grudzielski jeszcze sondował go spojrzeniem.

— Czy ty pragnąłbyś wyłamać nasz korpus całkiem z pod władzy Poznania? Jeżeli tak, to oświadczam ci wyraźnie, że ja nie wiem co to niesubordynacja. Rozumiesz?

— Panie generale, czyż my wyłamujemy się z pod zwierzchnictwa Poznania?

— No, nie... — wycedził stary pan, nie spuszczając z niego oka, i spytał ostro: Do czego ty prowadzisz?

— Do utrzymania w garści tego, co zdobyliśmy. To nasza powinność. Byłoby wstydem, gdybyśmy, i to bez powodu, rejterowali z Bydgoszczy. Przez to pan generał utopiłby swe wawrzyny w Brdzie...

— Czyż ja was z Bydgoszczy wyprowadzam?

— Nie! Nic podobnego nie przypuszczam wcale. Dziś tak przez żołnierzy szanowany i kochany, jutro byłby pan generał najniepopularniejszym człowiekiem...

— Teraz musicie wszyscy mieć na uwadze, że otrzymaliśmy w Muśnickim naczelnego wodza, któremu i ja podlegam.

— Generał Muśnicki, całkiem obcy wśród obcych, musi najpierw zorjentować się we wszystkiem. Oczywiście ciceronem jego w tym lesie będzie Naczelna Rada Ludowa, która jak pan generał przewiduje, będzie mu podszeptywać zawieszenie broni. A takie djabła warte, papierowe, fikcyjne zawieszenie broni Niemcy kazaliby nam z góry opłacić ewakuacją Bydgoszczy. Bez tego nie będą wcale chcieli z nikim gadać o zawieszeniu broni.

— Dalibóg ty ich znasz.

— O nic nie chodzi im tak, jak o odzyskanie Bydgoszczy, gdyż tu sterczymy jak głaz na arterji łącznikowej między wschodem a zachodem Prus, — a nadto posiadamy w tej placówce odskocznię na Prusy Zachodnie, na Gdańsk, na Bałtyk.... A oczywiście Naczelna Rada poświęci Bydgoszcz. Bo czegóż Polak nie poświęci dla miłej zgody? Mniejsza, że zgoda ta okazałaby się już nazajutrz złudą...

— Tak sądzisz?

— Panie generale, przysięgam, że jeżeli obie strony uznają Noteć za linję demarkacyjną

i jutro opuścimy Bydgoszcz, Grenzschutz bydgoski napadnie na nas, na Szubin, pojutrze, biorąc nas za tchórzów.

— I ja w to nie wątpię. To hycle.

— Wracając do sprawy na dobie... Naczelna Rada nie śmie sama wydać nam tak bardzo niepopularnego nakazu, ale dlaczego generał Muśnicki nie miałby zamiast niej wyrugować nas z Bydgoszczy?... Tak myśli Naczelna Rada. Wszelako omyli się, bo gen. Muśnicki będzie chyba opierać się na światłem zdaniu zdobywcy tego miasta.

Dowódca zamyślił się. Podał Żabickiemu cygaro i sam zapalił, zaczem mruknął pod grubym wąsem.

— To dobrze się składa... Mój Sobiesławie, nie powiedziałem ci jeszcze, że generał Muśnicki zawezwał mnie do Poznania z raportem. Pojedziemy tedy jutro raniutko.

Porucznik podrapał się za uchem. Nie chciał go puścić do Poznania.

— Ależ w tej chwili pan generał absolutnie nie może wydalać się z Bydgoszczy ani na krok! — rzekł. — Lada dzień, może już jutro, uderzy na nas z Torunia Rossbach... Pan generał pozwoli, że ja zatelefonuję do generała Muśnickiego.

— Co chcesz mu powiedzieć?

— Że pan generał w tej chwili mocno niezdrów. Przyjedzie sam skoro się tylko da,

a tymczasem, jeżeli gwałt, mógłby wysłać do Poznania kapitana Kellera.

— Słuchaj, Sobiesławie... — ozwał się z namaszczeniem Grudzielski — czy ty jesteś pewien, że my sprawimy szwabom rzetelną frycówką?

Na to Żabicki zerwał się, stanął na baczność.

— Panie generale! — zawołał. — Pod Solcem czekają pana generała wawrzyny... Ja życie swoje oddaję w zastaw.

Grudzielski spozierał na niego przez długą chwilę z serdecznym zachwytem jakby na syna i swoją chlubę.

— No, więc idź zaraz do telefonu — wyrzekł poważnie.

Ostatnie lata służby w armji niemieckiej pułkownik Stanisław Grudzielski spędził na stanowisku administracyjnem w głębi Niemiec, aż osiadł u brata na wsi wielkopolskiej. Wyrwało go z zacisza powstanie. Lubo czując swą niemoc starczą, zgłosił się natychmiast do Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu i ofiarował swe usługi, rad, że na schyłku życia danem mu będzie pójść z młodymi na Prusaka. Po zdobyciu Szubina wszakże syt bojów, byłby przez pewien czas grywał w brydża na probostwie szubińskiem, i niebawem wycofał się w pielesze domowe. Ambicje jego nie sięgały wysoko, niemniej jednak wzrastały za podszeptem powodzenia. Poczynał chwilami od-

krywać w sobie jakieś talenty i wierzył w siebie. Zresztą miło było na egzaltowanem stanowisku generalskiem, wśród tak bitnego żołnierza. A jakżeż było można oprzeć się temu oddanemu junakowi, w którego nieco wątłe ciało wcieliło się lwiątko, a który poprostu brał ludzi jakąś promieniującą odeń mocą czarodziejską?

W istocie nie porucznik jemu, lecz on służył porucznikowi. Do czego — tego Grudzielski nie wiedział. Aliści żywił dla niego głębokie uwielbienie i taką w niego wiarę, że coś mu szeptało, iż winien iść z nim ręka w rękę nietylko dla własnej chwały, lecz dla dobra sprawy.

Po wyjściu Sobiesława, uspokojony całkiem w swem sumieniu, zatęsknił do zielonego stolika. Tymczasem Żabicki przeszedł wnet do swej kancelarji, gdzie porucznik Kwaśniewski, jego adlatus, oznajmił mu, że od południa czekają na niego dwaj wywiadowcy z Torunia. Ukryto ich w wąskim pokoiku gmachu komendantury, wychodzącego na odrzewiony kanał bydgoski. Tam toczył z nimi sekretne rozmowy szef sztabu.

Wysłuchał bez słowa, co mieli mu do opowiedzenia o życiu i nastroju załogi toruńskiej, poinformowani o tem doskonale przez Polaków pomorskich, którzy zaciągnęli się w szeregi Grenzschutzu dla miłego grosza. Wielu z nich zbiegło pod chorągiew Grudzielskiego.

Inni na wyraźne życzenie Żabickiego pozostali wśród tej zbieraniny niemieckiej, aby wsączać w nią i roznosić po mieście klechdy i baśnie, jakie lęgły się w polskiej komendanturze w Bydgoszczy. Nawet oficerowie Grenzschutzu chętnie dawali im posłuch.

Zrazu, według twierdzenia wywiadowców, chodziły po Bydgoszczy wieści, że powstańcy wkrótce opuszczą to miasto i wycofają się za Noteć, na dawniejsze swe placówki. Później zaś, odkąd Żabicki gotów był przyjąć bitwę, głosili oni coś wręcz przeciwnego; zapewniali, że Polacy zamierzają najpierw napaść na Grenzschutz w Chełmży, by przez to wywieść w pole Niemców, a potem całą siłą uderzyć na Toruń. Powtarzali to z naciskiem przez kilka dni. A teraz porucznik Żabicki dorzucił do tej wersji nowego paliwa.

— Ważne wiadomości! — instruował dwuch patrjotycznych Toruniaków, którzy z przyjemnością urodzonych psotników oddawali się tej sprawie. — Lada dzień uderzy na Toruń bardzo silny korpus legjonistów i ochotników polskich od wschodu... Sformowano go pokryjomu w Warszawie. Wzmocnią go z pewnością jeszcze ochotnicy z Kujaw, bo we Włocławku wre... Jednocześnie z nimi zaatakuje Toruń Grudzielski oraz z północy ten jego oddział, który, jak spodziewają się Polacy, zajmie zwycięsko Chełmżę... Słowem grozi Toruniowi atak z trzech stron, zalew...

— Te wiadomości, — ciągnął — przywiezione z Królestwa przez żydów przemycających żywność, muszą dotrzeć wszędzie, do samego Rossbacha. Znacie jego ordynansa... Trzeba w mieście wytworzyć nastrój paniczny, a więc pracować całą parą, z pomocą żydków zakordonowych. Niech to kosztuje, ile chce.

To rzekłszy, Żabicki sięgnął do kieszeni i wysypały się mnogie banknoty.

IV.

Od wczesnego rana szef sztabu błąkał się nie pierwszy raz po lasach, ciągnących się wzdłuż toru kolejowego za Solcem. A potem tyle miał spraw, że dopiero wieczorem udał się do swej kwatery w hotelu „Pod Orłem". Zaledwie siadł do nakrytego stołu w swym pokoju z porucznikiem Wachtlem, oznajmił mu ordynans o przybyciu dwuch panów i podał mu przyniesiony od generała list.

„Posyłam ci kapitana Szczerbę z legjonów. To człowiek zbliżony do najwyższych sfer wojskowych w Warszawie i ogromnie wpływowy — nagryzmolił ołówkiem Grudzielski. — Towarzysz jego, cywil, ale urzędujący w ministerjum wojny. Zdaje się, że ktoś przysłał ich do nas".

Gości, co przybyli niedawno samochodem

od strony Inowrocławia, głodni i zdrożeni, zaprosił Żabicki do stołu. Kazał podać wina i zrazu, lubo tą wizytą nie mało zaintrygowany, utrzymywał rozmowę w płytkich wodach, chcąc wyrobić sobie pojęcie, z kim ma do czynienia. Otwarta, wyrazista, typowo-polska fizjognomja kapitana, który zdał się pochodzić z kmieciów, budziła zaufanie i sympatję. Natomiast towarzysz jego, radca Jotkiewicz, robił wrażenie osobnika ze wschodu.

— Pragną panowie zobaczyć, co się u nas dzieje? — począł ze skupieniem Żabicki — ale z pewnością nie było to jedynem motywem ich podróży...

— Nie — przyznał z dziarskiem zacięciem Szczerba. — Pragniemy poznać dążności tego powstania.

— Kto pragnie? Legjoniści? A czy sfery wojskowe w Warszawie i Ministerjum wojny odnoszą się do nas z interesem?

— Jak najprzychylniej.

— Czy tak?

— Pana to dziwi? Przecież jesteśmy synami jednej Matki, a Wielkopolska, to część Polski i nie byle jaka. Musimy bezwłocznie zbratać się, poczuć jednością i, o ile się da, uzgodnić, skoordynować działalność.

— Bezzwłocznie! Dobrze to pan kapitan powiedział. Jeśli to rzeczywiście nastąpi bezzwłocznie i „zestrzelimy myśli w jedno ognisko”, staniemy przy kolebce nowej Polski,

może z tego wyłonić się dzieło błogosławione dla Polski, opiewane dziękczynnie przez wszystkie pokolenia... Więc pan kapitan zapewnia, że w Warszawie wziął górę nad wszystkiemi poglądami duch narodowy?

— Tak jest. Nie może być inaczej w radosnej chwili, gdy nareszcie wolno Polakom być Polakami.

— Czy mam z tego wnioskować, że od góry do dołu owładnął umysłami ideał wielkiej, silnej i bezpiecznej Polski?

— Tak jest! Ideał ten, uświadomiony, czy nieuświadomiony mieszka w czynnikach czołowych zarówno jak prawie w całem społeczeństwie — odrzekł kapitan i po namyśle dodał: — Gdzie go niema, tam zdaje się być.

— Rozumiem — odrzekł Żabicki. — Patrjotyzm jest zbyt wzniosłą i rzadką rzeczą, aby miał ożywiać zjadacza chleba z pośród szarego tłumu, dla którego Ojczyzna jest zwykle wszędzie dojną krową, opiekunką, czasem chlubą. Wszelako same pozory patrjotyzmu są już patrjotyzmem. Z tych pozorów rząd może ulepić ogromne dzieła. Jeśli taki narodowy nastrój zapanował w Warszawie, to, dzięki Bogu, wstępujemy w okres państwowości jako naród istotnie godzien wolności i państwa... Taki naród mógłby nawet przybrać cechy piastowskich rycerzy, zbudzonych z wielowiecznego letargu...

— I ja pragnąłbym, abyśmy nawiązali nici z tradycjami Piastów.

— Wobec tego, panie kapitanie, my porozumiemy się szybko — zawołał uszczęśliwiony Żabicki. — Skoro rząd i naród, opromieniony duchem narodowym, staną falangą za Wielkopolską, kto wie, czy nie naprawimy najfatalniejszego błędu historji naszej, za który Rzeczpospolita zapłaciła życiem, a naród odpokutował niewolą...

— Ale do czegoż to dążycie?! — wtrącił Jotkiewicz. — O to pytamy się w Warszawie, zaintrygowani ogromnie waszym rozmachem. Bo powstanie wielkopolskie to już nie ślepy odruch pełnego tężyzny żywiołu, upojonego jutrzenką wolności, lecz coś więcej... Jakiż cel ma to powstanie?

— Celem jego jest wytyczenie bagnetem granicy polsko-niemieckiej, a więc zapewnienie Państwu naszemu takich granic, jakie ono uważa za stosowne. Zaprawdę do realizacji takiego celu warto przyłożyć rękę i... trzeba — rzekł Żabicki.

— Co pan porucznik rozumie pod określeniem „wytyczenie granic zachodnich“? — wtrącił chłodno, tonem urzędnika pan Jotkiewicz, dotknięty tem, że Żabicki nie zwracał na niego dosyć uwagi, niejako spychając go na drugi plan.

— Otóż trzeba dotrzeć do słupów granicznych Poznańskiego na zachodzie, to znaczy

wziąć Zbąszyń, o który toczą się krwawe boje. (Ufamy, że upora się ze Zbąszyniem osobiście pan generał Dowbór-Muśnicki i zaraz na wstępie zapisze się złotemi głoskami w sercu Wielkopolski). Powtóre na zachodzie należałoby posunąć nieco granicę w jednym punkcie do Odry, a mianowicie zająć sąsiadujące z pograniczem śląskiem lasy oraz osady polskie — niewielki szmat ziemi, wchodzący jeszcze w ramy Brandenburgji. Przystęp do Odry, to nie bagatelna sprawa. Ale idźmy dalej!

Żabicki nalał gościom wina, a Wachtel, skoczywszy do biurka po mapę, pokazywał im na niej wąską wstęgę ziemi, dzielącą granicę Poznańskiego od Odry.

— Wiele większe zadanie — ciągnął po chwili Żabicki — czeka nasz korpus bydgoski, bo opanowanie Prus, dawniej królewskich.

— Ależ to zakrawa na wojnę polsko-niemiecką — przeraził się pan Jotkiewicz.

— Nie — odparł Żabicki — to rozprawa Polaków z pod tego zaboru z Prusakiem. Odbieramy co nam zrabowano.

— Ogół nasz żyje w przekonaniu, że nastał pokój, a granice Polski wykreśli Konferencja Pokojowa — rzekł radca ministerjalny.

— Rząd może bardzo łatwo i szybko wyprowadzić ogół z tego błędnego mniemania, rozwiać złudzenie jakobyśmy byli już w stanie pokoju, a gołąbki spadały nam same do gąbki... We Lwowie zawierucha rusińska, w Cie-

szyńskiem sprawa z t. zw. pobratymcami, tutaj wojenka z sępami krzyżackimi, którym tu i w Paryżu trzeba będzie wydzierać każdy kęs wyżartego ciała polskiego. To znaczy granice nasze są sporne. Sporne tutaj zaś będą temwięcej sporne w Paryżu. Sporne — to znaczy, że z temi granicami może być bardzo różnie, może być źle! A nie będzie tak, gdy my sami, chwytając teraz świetną sposobność, wykreślimy bagnetem te granice... Powiedział ktoś, że pasmo życia ludzkiego poznaczone jest czarnemi plamami przeoczonych, niewyzyskanych sposobności. Oby życie Polski nie ułożyło się tak bezmyślnie...

— Czy pan porucznik myśli także o Gdańsku? — zagadnął kapitan Szczerba.

— Naturalnie.

— Bardzo śmiała myśl — bąknął p. Jotkiewicz, widocznie zafrasowany.

— Śmiała. My należymy do śmiałych ludzi — odparł z prostotą Żabicki i przez to skaptował sobie bardzo kapitana, który ozwał się z przejęciem:

— Przypomniał mi pan porucznik słowa Słowackiego, który zdaje się teraz wołać z za grobu do nas: „Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje, bo jest czas żywota dla ludzi silnych...".

Na chwilę umilkli wszyscy, bo zdało się, jakby rząd duchów świetlanych przesuwał się nad ich głowami.

Mimo to skwaszony pan radca zauważył z obleśnym uśmiechem:

— Zatknięcie proporców naszych w Gdańsku wydaje mi się jednak zbyt śmiałym celem nawet dla najśmielszych Poznaniaków.

Na to Żabicki powstał, iskrą wojacką poruszony, uśmiechnął się do siebie serdecznie, podsunął gościom papierosy i ozwał się głośno:

— Proszę panów, teraz wybiła godzina Polski... W tym strasznym chaosie, w jakim są pogrążone bezgłowe, istotnie w ciemię uderzone Niemcy, możemy zaiste dokonać wszystkiego... Możemy wziąć Gdańsk i Mazury Pruskie i Warmję. Jeżeli Polacy są rzeczywiście narodem, cudownem tchnieniem wolności ponad wczorajsze jarzmo wyniesionym, odrodzonym, męskim, młodym i dumnym — narodem, w którego rdzeniu tkwi ideał wielkiej Polski, to zaiste pochwycą oburącz ten jedyny może moment w dziejach do odwetu na Prusaku, na tym wrażym, haniebnym bękarcie polskiego niedołęstwa, odbiorą mu chrobrem ramieniem, to co polskie, i tak siłą swej mocarnej woli, siłą swego rycerskiego rozmachu, siłą swego rozumu i instynktu państwowego wpoją w krzyżaka respekt grunwaldzki dla siebie na bardzo długie lata... lata istotnego, błogosławionego pokoju.

— Wtedy — ciągnął Żabicki — z całą pewnością przyzna nam świat i Gdańsk i morze, Śląsk i Warmję, bo z podziwem ujrzy w nas

naród dzielny, co na wszystko zapracował w krwawym pocie i zasłużył, naród, co nie czekając łaski pańskiej wziął sobie, odebrał wydarte ziemie i odrazu wzniósł swe państwo na wyżynę mocarstwową. Takiemu narodowi nie odmawia się niczego.

— Nastał czas — dorzucił jeszcze zcicha uskrzydlony junak — gdy, jak to mówił Napoleon, Polacy muszą okazać, czy są narodem...

Zwykle w sobie zamknięty Żabicki, wypowiedział, odsłonił „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty". Kapitan Szczerba pochylił się nad niemi z szacunkiem i przejęty do głębi zapadł w zadumę. Nie słuchał wcale pana radcy, który zauważył:

— Trudno byłoby porwać do tak ogromnych rzeczy niezespolony jeszcze naród, który tego wszystkiego oczekuje od koalicji w darze. Ja sam nie wątpię, że mocarstwa przyznają nam Gdańsk. A pan porucznik zdaje się gubić w pesymistycznych przewidywaniach.

— Może być, że koalicja ofiaruje nam Gdańsk, ale tylko dlatego, aby go odebrać Niemcom. Ale nie przysiągłbym na to. Bo ja sam nie otrzymałem w życiu ani grosza, którego nie byłbym zarobił, albo do którego nie byłbym miał prawa, i to bezspornego prawa, za jakiem stoi siła. Tymczasem Gdańsk, to bodaj najsporniejsza ze spornych spraw naszych, a za naszem prawem nie byłoby siły...

— To prawda — wtrącił podbity kapitan Szczerba, a Żabicki ciągnął:

— Zresztą, gdybym nawet posiadał zupełną pewność, że dostanie się nam Gdańsk, nie rzuciłbym broni, nie przestał dążyć do podboju Wisłoujścia. Albowiem żywię to głębokie przekonanie, że aby coś rzeczywiście posiąść — czy to kobietę, czy majętność, czy sławę — trzeba to samemu zdobyć, że, chcąc rzeczywiście posiąść to hakatystyczne miasto, musimy koniecznie rozpocząć od uderzenia w nie opancerzoną piersią, od zamanifestowania siły, jaką Niemiec jedynie uznaje...

Na to Szczerba pokiwał głową.

— Ja wierzę — szybował dalej Żabicki — że przez podbój Gdańska wiedzie droga do uzyskania niejako w nagrodę, Warmji, Mazurów i Górnego Śląska... Wierzę, że w tym wielkim, radosnym czynie naród zmyje ze swej duszy prochy niewoli, poczuje swą siłę, godność i wartość, zespoli się z duchami zdobywczych Piastów, wejdzie w świetną przyszłość, nauczywszy się miłować już nie Sybir, czyli Golgotę polską, lecz Grunwald, tryumf, zwycięstwo... Jakoż na chorągwi naszej wypisałem jedno słowo: Zwycięstwo!

Porwany tem legjonista pochwycił oburącz rękę Żabickiego i obaj żołnierze nie wiedzieli, jak to się stało, że padli sobie w ramiona.

— — — — — — — — — — — — — — —

Posiew myśli Żabickiego padł na grunt przygotowany, bo kapitan Szczerba, wyzwolony z karbów ciasnej dzielnicowości, zapatrzył się na mgliste kontury wyłaniającej się z odmętów Polski.

— Dla sprawy naszej, — mówił nazajutrz — która jest także moją sprawą, zrobię w Warszawie wszystko możliwe. A w tej chwili w czem i jak można wam pomóc?

— W tej chwili?... Czy pan kapitan ma w garści kilka baonów lub chociaż kilka drużyn?

— Jeśli tylko o to chodzi...

— To dosyć. Ale wypadłoby działać z piorunującym pośpiechem.

— O cóż chodzi?

— Aby pod Aleksandrowem i Nieszawą, na pograniczu niemieckiem zaniepokoić Toruń pukaniną do Grenzschutzu. A może dałoby się jednocześnie z tą pogróżką pod adresem Torunia, zainscenizować takie samo ćwiczenie polowe pod Brodnicą? Ale należałoby uskutecznić to możliwie jaknajszybciej, nie później jak za trzy dni.

— Czemu taki pośpiech?

— Za trzy, cztery dni ruszy przeciw nam załoga Torunia i przyjdzie nam stoczyć walną bitwę, bitwę o Gdańsk.

— O Gdańsk?

— Jeżeli pobijemy ich na głowę, zdobędziemy przez to nietylko wylot na północ, lecz coś jakby najsilniejszą redutę Gdańska.

Porucznik sięgnął po mapę i jął wyjaśniać kapitanowi położenie Bydgoszczy, zaczem mówił o korpusie bydgoskim, jego sile, uzbrojeniu i jego świetnej formie.

Składał się on z czterech tysięcy bagnetów w. samej Bydgoszczy, z trzech tysięcy powstańców Bratkowskiego w Nakle, tudzież dwuch tysięcy Kujawiaków Cymsa, rozmieszczonych między Złotnikami a Solcem.

— Z tą siłą — mówił porucznik — możemy śmiało stawić czoło Toruniowi. Niemniej nie zaszkodziłoby nic a nic, gdyby dało się, niby szprycą wypompować z Torunia jakie tysiąc czy dwa żołnierza i odciągnąć go na wschód, tam, gdzie go nie potrzeba, a przez strzelaninę pod Brodnicą przygwoździć w takich garnizonach, jak Grudziądz i Chełmża, żołnierza, którego Rossbach mógby przywołać do siebie. Na jednego powstańca można liczyć trzech Grunzschutzów, ale nie będą się gniewać, jeżeli będzie tylko dwuch.

— Dobrze! — zawołał Szczerba. — Zrobię wysiłek; skoro przejadę granicę, zmobilizuję mych ludzi telefonicznie i telegraficznie i mam nadzieję, że za dwa dni zaalarmujemy owego Rossbacha.

— On się was spodziewa, uprzedzam.

Porucznik poinformował go o tendencyjnej pogłosce, jaką rozsiewał po Toruniu w oczekiwaniu, że zagrożony jednoczesnym atakiem z dwu stron, dowódca Grenzschutzu, zerwie

się do rozprawy z korpusem Grudzielskiego, aby następnie stawić czoło fali od Warszawy. Chciał on wywabić Niemców z groźnych murów tego miasta, i to zaraz, gdyż niby wąż zdał się pełzać ku niemu z Poznania nakaz wycofania za Noteć i zaprzestania bojów.

Ze swych poznańskich kłopotów nie zwierzał się przed Szczerbą. Natomiast rozmawiali żywo o techniczno-wojskowych swych sprawach. Lecz nie długo. Żabicki naglił kapitana do odjazdu; każda chwila zdawała mu się drogą. Nie minęła zatem godzina, a kapitan i jego towarzysz byli już w drodze powrotnej do Warszawy.

Na wyjezdnem Szczerba rzucił Żabickiemu:

— Niech duch Dąbrowskiego będzie z wami!

Przypomniał mu bitwę bydgoską z kwietnia r. 1794 i tego stalowego wodza, który czasu dogorywającego Państwa Polskiego zadał klęskę Prusakom w tejże Bydgoszczy — gdzie Żabicki miał teraz, z ramienia nowej ery Polski, zmierzyć oręż polski z krzyżackim.

Gdy Żabicki uprzytomnił sobie srom i tragikę ówczesnego momentu dziejowego, pojął w jak cudnej chwili on sam, z pałaszem w ręku, znalazł się na froncie polskim. Zapragnął stać się tego szczęścia i miejscowej tradycji Dąbrowskiego godnym. Odczuł każdym nerwem ogrom tej wspaniałej żądzy zgromienia prawroga i żył codziennie ta żądzą, niby chlebem... Ukrył twarz w dłoniach i w żarliwem

skupieniu modlił się do cieniów Dąbrowskiego, prosząc go o błogosławieństwo.

Tak zastał go Grudzielski. Muskając palcami wąsiska, zbliżył się do niego żywo.

— Przyjechał przed chwilą z Poznania pułkownik Stamierowski i przywiózł mi od Muśnickiego nominację na generała.

Porucznik począł winszować mu serdecznie, a nowokreowany generał przyglądał mu się z uśmiechem i bąknął:

— To twoja sprawka...

— Moja??

— Komedjant, filut. Coś ty nagadał Muśnickiemu przez telefon?

— Wzmiankowałem, że od chwili zdobycia Bydgoszczy, powstaniec mianuje swego wodza generałem. Czy nie prawda?

— Ale powiedziałeś! — odrzucił z naciskiem Grudzielski i, przygarnąwszy go do siebie, pocałował w czoło.

— Żądałem dla ciebie, bez zwłoki rangi kapitana. Ale ja ci wszystkiego nagrodzić nie potrafię. Nagrodzi ci Ojczyzna...

Żabicki dziękował, trochę czegoś zaaferowany. Po wyjściu Grudzielskiego skoczył do przyległego pokoju, gdzie pracował Kwaśniewski.

— Idź i pilnuj owego Stamierowskiego, aby on nie dowiedział się zawiele i nie popsuł nam gry. Mówcie, że nic nam nie grozi; ży-

jemy bezpiecznie, jak u pani matki za piecem. Tylko pieniędzy nam potrzeba, pieniędzy!

Na cześć generała odbyło się nazajutrz w wielkiej sali koszarowej, coś w rodzaju akademji. Odczytano tam powstańcom opis bitwy bydgoskiej z r. 1794, odmalowano wizerunek Dąbrowskiego i — kojarząc imię jego z imieniem Grudzielskiego, wsączano w umysł żołnierza wrażenie, że narodził się jemu i Polsce drugi Dąbrowski, który lada dzień poprowadzi go do wielkiego zwycięstwa.

Skończyło się to niesłychaną owacją dla Grudzielskiego, który nie zapomniał pociągnąć za sobą na estradę szefa swego sztabu. W oklaskach i wiwatach Żabicki brał udział gorący, bo raz jeszcze wrzał i kipiał dokoła niego jasnowróżbny, rycerski zapał, z jakiego miał zrodzić się czyn.

— Bić te cholery, psubraty! — podnosiły się krzyki.

— Może już jutro! — huknął im stentorowym głosem Żabicki i trysnął entuzjazm, od którego drżały szyby i ściany. A porucznik jeszcze dorzucił do niego paliwa, gdy skoczywszy na krzesło, cisnął w szczelnie nabitą salę:

— Czy jesteście gotowi?!...

W odpowiedzi na to wydarł się ze zbiorowej piersi tego męskiego żywiołu wulkan:

— Niech żyje Polska! — gruchnęło w tych posądach, jakby chcąc wypłoszyć z tych stron

duchy i mary teutońskie i gromem uderzyć w Prusaka.

Nie uciszyło się w sali jeszcze całkiem, gdy Żabicki zakończył tę fanfarę serc akordem:

— Zaświeci nad nami duch Dąbrowskiego!..

Skoro wydostał się z sali i wyplątał z ramion siwego pana Grabickiego, pojechał do komendy dworcowej.

Polacy przepuszczali pociągi, idące przez Toruń na zachód, ale poddawali podróżnych nieraz długiej kontroli. Bywało, że zatrzymywano na indagacje sierżantów i oficerów z pośród rzeszy żołnierzy zlikwidowanego Oberost'u, powracających z goryczą w duszy, z klątwą na ustach, z żagwią zarazy bolszewickiej do zrewolucjonizowanej swej stolicy.

O Toruniu, o załogach Grenzschutzu na krawędzi Polski wiedzieli oni to i owo. Przyjmowano to krytycznie. Jednakże Żabicki, łącząc ich relacje z tem, co wiedział z innych źródeł, wnikliwym umysłem dobierał się do sedna rzeczy i z tej gadaniny niejedną wyłuskał dla siebie praktyczną wskazówkę.

Jak lis podkradał się ten zagończyk pod okopy Grenzschutzu, wcielał się w jego bytowanie, by w danej chwili pochwycić go za jądra. A im bliżej była ta chwila, tem więcej przemieniał się w stal.

— — — — — — — — — — — — — — —

V.

O północy budzik zawarczał, niczem zgryźliwa matka, budząca do szkoły swych, na oba uszy śpiących chłopaków. Ocknął się zaraz z lekkiego snu stary generał, z pomrukiem niedźwiedzia zapalił lampkę elektryczną przy łóżku i rzucił okiem na obszerny pokój. Adjutant jego, całkiem ubrany, oderwał się od wezgłowia otomany.

— Dwunasta — stęknął Grudzielski. — Trzeba wstawać. Mróz zdaje się. Mój Krynicki, zobacz, czy kaloryfer otwarty... Telefonu nie było jeszcze?

Dźwignął się, mył, ubierał żwawo. Od czasu wzięcia Bydgoszczy, przywdział swój dawny mundur niemiecki, nie różniąc się tem od powstańca, i tak jak on nosił rogatywkę z rozetą. Wrzuciwszy na siebie futro, usiadł w głębokim fotelu i niebawem dymił się przed nim poncz, którego treścią i aromatem leczył dokuczliwe nerwobóle artretyczne.

Przed szklanicą rozpościerała się na dużym stole mapa górnej Noteci i pobliskiego pobrzeża Wisły oraz mapa niemieckiego sztabu generalnego okolicy Solca. Gdy wkrótce pojawił się kulawy i cherlawy kuzyn Krynickiego, ziemianin z Kościańskiego, generał wodząc palcem po mapie, zawołał:

— Chodźcie tu, chłopcy. Wyeksplikuję wam to, abyście nie tkwili jak tabaka w rogu...

Otóż szwaby uplanowali sobie atak dwu ramionami. Główna ich siła wali na nas w tej chwili, zapewne pancernym pociągiem, od Torunia. Spodziewają się bratki zderzyć z nami pod murami Bygoszczy, lub zbudzić nas w mieście samem. Ale na powitanie takich gości wyjechaliśmy daleko, aż za Solec, tam, gdzie tor kolejowy przemyka się przez długie pasmo lasów, dotykających na północy brzegu Wisły. Zrozumiano?... Tam, krótko przed nadejściem pociągu Rossbacha, saperzy naszego Cymsa zerwą szyny. Skoro najazd tam utknie, zerwą także szyny poza pociągiem, tak aby ani wagon ani ptaszek nie powrócił już w pielesze Torunia. A w lesie tym dostaną się te ptaszki w piekielny ogień naszej artylerji i... djabła zjedzą, nim wyjadą z niego z życiem, z całemi pludrami na... nogach. Bo mamy z czego strzelać! Widziałeś nasz park, Krynicki, co?... Dolej mi jeszcze troszkę tej esencji ponczowej!

— To nie koniec — ciągnął stary pan z zacięciem. — To dopiero ośrodek sprawy, która się tam rozegra a skończy, da Bóg, pościgiem naszej wiary za tem mrowiem szwabskiem i topieniem tego plugastwa w Wiśle, może nie całkiem lodem pokrytej... Druga kolumna szwabska niewielka, jakie dwa tysiące chłopa ma zwalić się na Bydgoszcz, na dworzec, z Chełmży przez Fordon nadwiślański, aby uderzyć na tyły naszej (jak spekuluje Ross-

bach), wywabionej z miasta kolumny. Ale... niema tak dobrze. Na dworcu czeka ich połowa naszej załogi nakielskiej, która w danym razie mogłaby posłużyć za rezerwę Żabickiemu pod Solcem. Zrozumiano?... No, Nakło ogołociliśmy wczoraj wieczorem z żołnierza do cna. Gdyby Grenzschutz w Pile zwąchał pismo nosem, to dwa pancerne samochody jego mogłyby tam rozbić straż obywatelską i zająć Nakło. Telefon! Krynicki!

Cisza zapanowała w pokoju.

— Z komendy dworcowej, — oznajmił adjutant, odłożywszy słuchawkę. — Przed chwilą przepuszczono na zachód pociąg z Torunia i przytrzymano kilka osób, które opowiadają, że na miejskim dworcu toruńskim rejwach nie do opisania. Tysiące żołnierzy, ładują armaty, feldweble krzyczą.

— A niema tam konnicy?

— Nic o tem ci podróżni nie wzmiankowali, natomiast głoszą, że Polacy zaatakowali straże graniczne pod Nieszawą i niebawem wojsko polskie uderzy na Toruń. Ogromne zapanowało w mieście zdenerwowanie.

Ukazał się w pokoju ordynans i wprowadził zwalistego, czerwonego jak burak draba w futrzanym kubraku, rzemykiem przewiązanym i w długich butach. W nadzwyczajnej sile utajonej w mięśniach, posiadał on kapitał, który nie spoczywał wcale bezowocnie. Borowiak ten należał do typu synów wielkiej

wojny, oscylujących między żołnierką a bandytyzmem. Ukrywal się w borach tucholskich ze swą „bojówką śmierci” i niemały robił kłopot załodze Grenzschutzu w Świeciu. Ostatnio był na żołdzie korpusu Grudzielskiego.

— Ach, to pan Puszczyk! Co pana sprowadza o tej godzinie? — spytał go zaintrygowany generał.

— Przyjechałem na motocyklu z Fordonu — odrzekł przybysz, stojąc niby żołnierz w pewnej od generała odległości.

— Z Fordonu?

— Otrzymałem ze sztabu befel i melduję, że wysadzilim na Wiśle most, jak było powiedzione. Robota buła ciężko. Dwa ladunki dobre buły na nic. Zepsuł się nom Simensinductor, ale my mieli dobre Bichford lunty. Jak trzasło, żelazne zamby mostu polecieli na rozlanki prek — opowiadał Borowiak, obracając czapkę w dłoniach. A w Ostromęcku już buli Grenzschutze. Kiedy tam przyjechali, buło dobrze słyszane i widziane, bo stalim wtedy na drugiej stronie Wisły.

— Doniósł pan o tem panu porucznikowi Żabickiemu do Solca?

— Bandzie godzina, ciej telefonowalim do Solca.

— Dobrze. Naści cygaro. A ma pan pieniądze na piwo?

— Pieniądze? Takie coś u mnie nie da — uśmiechnął się Puszczyk.

Grudzielski parsknął śmiechem nad tym kwiatkiem gwary z Krajny. Dał mu kilka banknotów, mówiąc z kujawska:

— Niech pon kropnie sobie kieliszeczek na moje zdrowie, siada na swego kunia, wali do Solca i melduje się u pana porucznika Żabickiego. Un ma przednią robotę dla pana.

Puszczyk uśmiechnął się pod płowym wąsem ze zrozumieniem, stanął na baczność i wyszedł.

— Zabijaka, cholernik, morowiec... — mruczał Grudzielski i zacierał dłonie.

Wysadzenie mostu, przez który załoga Chełmży miała spaść na tyły powstańców, ucieszyła go tem więcej, że o tem zarządzeniu Żabickiego nic nie wiedział.

Bębnił palcami po stole.

— Krynicki, czy czeka na mnie samochód?

— Czeka, panie generale.

— No, jeszcze czas. Nie było jeszcze telefonu z Solca — mruczał, ale poczynał się niecierpliwić i niepokoić o stan rzeczy w Solcu. Pragnął być przy swych żołnierzach. Porywał go zapał. Jakoż wkrótce wyruszył w drogę. Obok niego siadł blady kapitan Keler, przemęczony gorliwą organizacją zastępów nowego ochotnika.

Zatrzymali się wpierw na dworcu bydgoskim, by przekonać się, czy brać się nie popiła. Ale niepotrzebnie. Bo Żabicki, chcąc rezerwę mieć pod ręką na każdy wypadek, za-

wezwał lwią część załogi dworcowej do siebie. Sapał tam pod parą pociąg, który miał niebawem przewieźć tę rezerwę w lasy nadwiślańskie.

Że zanosi się na walną rozprawę, rozumieli wszyscy i Grudzielski raz jeszcze mógł przekonać się przy tej okazji jaki nieporównany, radosny zapał kipi w powstańcu wielkopolskim.

— — — — — — — — — — — — — — —

Świt wkradał się nieśmiało w leśne mroki pod Solcem, gdy z biura dworcowego wysoki, doskonale zbudowany żołnierz Grenzschutzu telefonował do swej komendy w Toruniu.

— Hallo, hier Unteroficer Groschek. Przybyliśmy do Solca. Droga czysta. Tutaj cicho. Nigdzie niema śladów nieprzyjaciela.

— Nie? A gdzie zapodziała się ta banda ze Złotnik? — pytał pułkownik von Schellenberg.

— Obrabowali tu kilku mieszkańców i poszli.

— Dokąd?

— Z powrotem.

— Koloniści z Gildenhofu donoszą, że przechodził tamtędy z wieczora silny oddział powstańców z pod Hohensalza.

— Nic o tem tu nie słychać. Ale zauważyliśmy w drodze do Solca 10 samolotów lecą-

cych od strony Bydgoszczy w północno-wschodnim kierunku. Jakby na Chełmżę.

— Aż dziesięć? Przecież w Bydgoszczy nie pozostało więcej nad cztery.

— Naliczyłem dziesięć. Czy mamy jechać dalej na zachód?

— Jedźcie zaraz pod Bydgoszcz. My wyruszamy za 15 minut. Zameldujcie się u mnie w Solcu. A gdzie jest w tej chwili Oberleutnant Kriest?

— Herr Oberleutnant poszedł na wywiad do gospody.

— Schluss.

W raporcie podoficera Groschka nie było słowa prawdy. Sterczeli tuż przy nim kapral i porucznik Wachtel z rewolwerami w ręku i pojmany podoficer mówił swej komendzie to, co suflerował mu polski porucznik.

Cudem wyszedł on cało z kataklizmu, jaki spotkał trzy samochody pancerne wysłane z Torunia, jako szpica kolumny Grenzschutzu, która miała lada chwila wyruszyć w pociągu pancernym pod wodzą pułkownika Rossbacha na Bydgoszcz. Trzy te samochody natrafiły na kłody drzew, zamykające im drogę, wpadły w zasadzkę widety i zdruzgotane ciężkiemi karabinami pogrzebały Oberleutnanta Kriesta i kilku żołnierzy.

Nikt nie mógł donieść o tem komendzie Grenzschutzu w Toruniu, bo w uśpionej osa-

dzie telefon nie funkcjonował, okrom aparatu na dworcu.

Na szyby izby dworcowej kładły się sine plamy świetlane. Ranek dnia 15-go lutego wyłaził ze spowicia nocy ciężarny senliwością i lenistwem. Niby parob ciężki, czy stróż stary zerkał jednym okiem poprzez wysoko rozwieszone mgławice na świat mrowia ludzkiego. Rozpędził ciemności obowiązkowo ale niedbale, gdyż w atmosferze pozostał bezmiar roztopionej szaroty. Zanosiło się na odwilż, lecz po lodach Wisły nadleciał z północy mróz, wpadł w las, ściął rozmiękłe, gęsto po niem rozsiane płachty śniegu, wchłonął jędrnem tchnieniem wilgoć i ukazało się słońce, w całej świetności zórz.

Wszystko to dla dobra powstańca, który łyknąwszy wódki i zakąsiwszy kiełbasą, zaciągał gremjalnie armaty polowe na wyznaczone pozycje pod Solcem, maskował je gałęziami, tu i ówdzie wycinał drzewa, dźwigał amunicję.

Nad mrówczą tą rzeszą szarą, nad wierzchołkami wysokopiennych sosen spoczywała majestatyczna cisza. Aż wkradł się w nią, z każdą sekundą wzmagając, turkot pociągu, pędzącego w... katastrofę.

Jakby wulkan był wydarł się z głębin ziemi, raptem rozdarł powietrzem huk, grzmot, ryk dział wściekłych, szalonych furją wiedźm i szatanów. Pociąg pancerny, z lorą obserwa-

torów na czele, a parowozem w środku, utknął i syczał rozpaczliwie. Dostał się w ogień, w grad specjalnych, miedzią okutych na czubku pocisków, od których gięły się, pękały puklerze, rozwalały się wagony i ginęły chmary lancknechtów.

Piekło to trwało kilka minut, z których każda sekunda była sto razy zadługą dla Niemców. Las drżał, wył, huczał nad rumowiskiem żelaztwa, nad rozdartemi cielskami wagonów i trupami Grenzschutzu. Wyszli oni cało z wielkiej wojny, by nad Wisłą zginąć od własnej swej broni, z ręki Polaków.

Nikt, wypadkiem żyw, nie mógł długo wypełznąć z piekielnych odmętów zagłady. A gdy wreszcie wygramoliły się po nikłej skarpie nasypu z tego piekła garstki rozbitków bez ducha, długo trwało, nim ostrzeliwani teraz przez strzelców polskich na szczątkach pociągu osadzonych, przekradali się na czworakach przez ośnieżone karpowisko w las, Tam, jedni w panicznej ucieczce szukali ratunku, inni w żelazne karby ujęci poczynali gotować się do obrony z odwagą beznadziejnej rozpaczy.

Ale daremnie. Posypała się na nich siejba kul, zwaliła ich z nóg. Nad głowami straceńców waliły się pnie, spadały konary, powiększając jeszcze huk i grzmot tragicznej muzyki bitewnej, jaka rozszalała się w lesie i rozlała na milowe przestrzenie.

Za uciekającymi poszły w knieje, niby stada rozbujałych psów gończych, drużyny powstańców i reszta Niemców rozbiegła się ku Wiśle.

Jechała na ich barkach niechybna zagłada, tem zupełniejsza, że w pociągu tym mieściła się tylko część ekspedycji toruńskiej a ogarnęły ją, niby pożar, przeważające zastępy polskie.

Ginął zatem okrutny Bawarczyk obok Prusaka, konał zbłąkany w te strony przybłęda, co poczytywał Polaków za krnąbrny, prymitywny szczep germański, obok kolonisty, który w swym interesie tworzył straż tej „pranie-mieckiej ziemi". Wzdłuż toru i dalej słały się tuziny okrwawionych zwłok i śmierć żniwowała tam z rozmachem. A przez to straszne cmentarzysko pędził lotny sokół wielkopolski.

Wracał jednak szybko, gdyż podniosła się znów muzyka huraganowa. Znów nawiedziły las watahy opętańców i szalała bitwa. Z kim?

Nadjeżdżał na skraj królestwa drzew i zatrzymał się, w dość znacznej odległości od rozbitego pociągu pionierskiego, długi wąż wagonów naładowanych żołdactwem pod wodzą pułkownika von Schellenberga.

Tam dopiero, korzystając z chwilowej rozsypki powstańców, mógł Niemiec wszcząć bój. Prażył z wagonów eszelony Polaków, którzy w pierwszym akcie tej rozprawy, w czasie rozprawy Rossbachowskiej tłuszczy, nie wszedł-

szy w tryby akcji, teraz nareszcie mogli wyładować swój zapał.

Wywiązała się strzelanina, poczęta uwertura drugiego aktu. Niemcy wyskakiwali z wagonów. Organizowali na polu za ich murem atak na baony Szelążka i Stankiewicza. Aliści nie przyszło do tego, bo wynurzyły się z lasu nowe drużyny, wstąpiły w bój i zaszachowały Schellenberga. Natarły z flanki, na czoło pociągu, jakby chcąc zdobywać wagon po wagonie. I tak Niemcy dostali się w prosty kąt dwuch łańcuchów tyraljerskich. Nie mogli utrzymać się w tej pozycji długo. Wyładowawszy wszakże przed tem ciężkie kulomioty i dwie armatki, dowódca dał swym piechurom takie moralne poparcie, że stawili czoło na dwa fronty. Żołnierz polski przylgnął do ziemi. Nad całem przedpolu lasu bzykały tysiące kul.

W tym czasie Grudzielski siedział na ruinach pancernego wagonu w głębi huczącego lasu. Zostali przy nim tylko Krynicki i przyboczny jego oficer Mrozewicz, wysoki, przystojny mężczyzna, i, z papierosami w ustach, spokojnie oczekiwali niechybnej rejterady Schellenberga.

— Hm, trzeba im odciąć tyły... Gdzie jest Żabicki? — mruczał generał.

Tymczasem Żabicki, rzuciwszy na placówkę Schellenberga drużyny Wachtla, naglił kanonierów do pośpiesznego wytoczenia armat z lasu, a nadto pchnął saperów hen, pozą

pociąg niemiecki w celu zerwania tam szyn. Potem wysłał rozkaz lotnikom i wreszcie sam skoczył do boku Wachtla. Chciał przewlec tę kanonadę, by dać czas saperom do wykonania rozkazu i odczekać na swą artylerję, zaczem obchodząc Niemców lewem skrzydłem Wachtla, pragnął przystąpić do ataku na całej linji do zgotowania Schellenbergowi krwawego końca.

Atoli powstaniec rwał się z pod ręki. „Dalej na te cholery!”... krzyczał wśród nieustannago terkotania maszynówek i skutkiem tego Wachtel zbyt pochopnie rzucił się naprzód. W ślad za nim zerwały się stada Szelążka i Stankiewicza, na długiej a kąt tworzącej linji podniósł się niebosiężny okrzyk: „Niech żyje Polska!” I żołnierz biegł w siejbę kul z poczuciem, że Ona żyć może istotnie dopiero wtedy, gdy u stóp Jej legnie pokonany Prusak.

Pędzili, a Żabicki zaklął siarczyście: Psiakrew!... Sam nie wiedział, czy było w tem więcej gniewu z powodu tak niewczesnej pochopności żołnierza, czy zachwytu nad jego przepysznym rozmachem. Dość, że sam uległ wspaniałemu nastrojowi dramatu, w którym najwyższa żądza życia, życia dla miljonów zmaga się ze śmiercią, i skoczył na lewe skrzydło Wachtla. Kula zerwała mu czapkę, zadrasnęła, zakrwawiła czoło. On biegł dalej, w niepamięci o sobie, jakby pod porywającym urokiem wizji, co wołała: naprzód!!

Prysł opór Prusaka, prysły resztki drill'u i determinacji oficerów, którzy rozumieli, że niebawem zagrzmi artylerja polska, że otoczy ich łańcuch, zacieśni się kąt i nikt nie uniknie zagłady. Zamilkły niemieckie armaty i całe mrowie rzuciło się hurmem do pociągu.

Powstaniec zżymał się, że umyka mu z pod lufy Prusak, gnał co tchu, siał gradem kul, strącał ze stopni wagonów tłoczące się zielone robactwo, lecz odprężenia nerwów i zadowolenia doznał dopiero, gdy nad oddalającym się pociągiem zawarczały w górze cztery sępy, gdy, wirażując, zniżyły lot i przefrunęły nisko, bryzgając bombami.

Niby jaszczury apokaliptyczne unosiły się nad czarnym wężem, rozdarły jego jeden człon i zdało się, że spadną i rozszarpią pociąg dziobami.

A w lesie grzmiały strzały jeszcze długo. Powstaniec zbierał tam pokłosie, ścigał rozproszkowane resztki tych szybkonogich, co uratowali się z wagonów pancernych, oraz rozbite watahy z szeregów Schellenberga. Zapędził się hen nad rzekę, gdzie w gajach wiklin nadbrzeżnych krył się i czaił Niemiec. Wymykał się on niby lis, czmychał brzegiem osrebrzonej Wisły, lecz zwykle ginął.

Deptała mu po piętach obława zażarta, nieubłagana. Grasował tam bowiem Puszczyk ze swą „bojówką śmierci" i hulał partyzant wielkopolski z Opalenicy, Klemczak z seciną

lamparcich wojaków. Więc śmierć szła długim zagonem i słońce ślizgało się już ukośnemi promieniami po lśniącej posadzce lodów, a jeszcze wróg padał pod obuchem pomsty Polaka, który zaiste dnia tego wielkiego zgotował Wiśle obraz wiekopomny, grunwaldzki.

— — — — — — — — — — — — — — —

W obszernej zadymionej izbie gospody w Solcu zgromadziła się około południa zgiełkliwa rzesza żołnierska.

Jedli, pili, palili i w ogromnem podnieceniu opowiadali sobie na wyprzódki epizody i fragmenty bojów. Wśród rozgardjaszu bandażowano tego i owego, a Żabickiemu przewiązano chustą mocno okaleczone czoło. W pośrodku tej, nieporównaną radością kipiącej czeladki, spoczywał w krześle, w futro odziany, generał i uśmiechniętemi oczyma wodził po młodych twarzach.

Zatroskał się o Żabickiego:

— Sobiesławie, to nic groźnego, co?

— Nie, panie generale. Pamiątka, najwyższy mój order niemiecki, — odparł ze złotym uśmiechem zwycięzca blady, lecz świetny w źrenicach wyiskrzonych brylantami szczęścia.

Nie mógł powstrzymać się od przebłysku chełpliwości; nachyliwszy się do Grudzielskiego, rzucił półtonem:

— Omyliłem się, panie generale?

— Niech Cię wszyscy djabli... To był „Meisterstück”. Byłeś w tem magna, maxima pars... Takich srogich cięgów nie sprawiliśmy im jeszcze, takiej klęski nie widział w r. 1848 ani Miłosław, ani Września. Słowo daję, leżą jak barany w rzeźni. Dalibóg nie inaczej chyba wyglądało na pobojowisku pod Grunwaldem, jak myślisz?

— Z pewnością. Umknęła nam jednak pod koniec znaczna, lubo zdziesiątkowana część szwabów. Psiakrew, nie udało się zatrzymać pociągu, gdyż saperzy Antkowiaka nie zdążyli.

— I z pod miecza Jagiełły wydostała się moc krzyżactwa.

— Mieliśmy szczęście, że drugi ich pociąg nie szedł bezpośrednio za pierwszym, że dali nam z górą pół godziny do rozprawy z pancerzami. Dzięki temu my dwukrotnie górowaliśmy przewagą liczebną.

— W tej sytuacji oni byli z góry skazani na pogrom. I wogóle nie mogło być wcale inaczej.

— Uznaje to pan generał? — pochwycił sztabowiec, śmiejąc się w duszy na wspomnienie, jak to inaczej śpiewał generał przedtem.

Rozmowę ich przerwał felczer.

— Panie komendancie — zwrócił się do Żabickiego, którego ni stąd ni z owąd tak nazywał teraz powstaniec — Rossbach... Rossbach ciężko ranny... kona.

— Rossbach?! — powtórzył bez tchu Żabicki i wybiegł z izby.

A Grudzielski mruknął do siebie pod wąsem, powstając z krzesła:

— Ulrich von Jungingen.

W toku bitwy Żabicki nie wiedział, gdzie znajduje się naczelny wódz niemiecki, nie myślał o nim. A potem przypuszczał, że, w drugim jadąc pociągu, wyszedł on cało z tego piekła. Nie spodziewał się zaś wcale ujrzeć go między rannymi, już z tej prostej przyczyny, że tych rannych Niemców było stosunkowo bardzo niewielu. Na stu poległych zaledwie dziesięciu.

Tymczasem pod ścianą jednej z cegielni Solca spoczywał na noszach przykryty białą płachtą aż pod samą brodę, śmiertelnie blady pułkownik Rossbach, jak brat jego, urodzony, rozwichrzony wojak. Zarost przysłaniał poniekąd twarz wklęsłą, wyżłobioną przez niesłychane znoje tak, iż kości licowe wystawały z niej niby guzy. Doppingowany Bismarkowską nienawiścią i pogardą, jaką pałał dla Polaków Fryderyk Drugi, pracował on dzień i noc z najwyższem napięciem wszystkich sił nad przekształceniem bezdusznej hałastry w karne wojsko, zamęczał się, z piasku bicz kręcił, by ugodzić w ciemię Słowianina, co śmiał podnosić zdeptaną głowę i wyrastać z niewolnika na człowieka. Był on męczennikiem i ofiarą swej własnej, specyficznie pruskiej emocjal-

ności, swej szatańskiej nienawiści, swego fulminacyjnego patrjotyzmu.

Na ściągniętych kurczowo łukach brwi i zamkniętych powiekach osiadł ton czarnej rozpaczy. Gasł w bólu i męce.

A Żabicki zapatrzył się weń, jakby chcąc wyryć sobie w pamięci każdy rys, każdy szczegół tej silnej maski. Aby upewnić się kogo ma przed sobą, spytał:

— Oberst Rossbach?

— Ja — długie, ciężkie a słabe spadło z warg konającego.

Otworzył oczy. Oblał fosforycznym wzrokiem twarz porucznika i podniósł spojrzenie na jego rogatywkę z srebrnym orzełkiem. Snać domyślił się w nim swego zwycięzcy, gdyż nagły skurcz sfałdował sinożółty pergamin lic jego, i odwrócił twarz z grymasem odrazy. A palce obwisłej ręki skurczyły się w kułak.

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głów. Zacharczał i śmierć zapuściła na twarz siną gazę. Zesztywniał, zagłuchł. Skończył ze zgrzytem iście teutońskiej nienawiści, w akordzie demonicznych Wotanów.

Porucznik odsłonił prześcieradło i ujrzał rozkrwawioną strasznie bryłę ludzką. Rdzawe plamy, silny wydzielające odór, pokrywały rozwarty mundur na rozszarpanej granatem piersi.

Żabicki pochylił się nad nim w zadumie. Potem podniósł rękę do czapki, zasalutował i odszedł.

VI.

Wieść o klęsce Niemców, o zwycięstwie Polaków pod Solcem gruchnęła jak piorun w pełną różowych nadziei i złudzeń niemczyznę, siejąc postrach, wypędzając kulturników z nad Brdy i Wisły. A do Poznania wpadła jak meteor i błyskawicznie obiegła Wielkopolskę, w każdym jej zakątku niecąc entuzjazm bez granic.

O niczem innem nie mówiono; wszyscy kąpali się w blasku sławy swego żołnierza. Bo nie była to już potyczka zwycięska, jakich kilka powstaniec zapisał na swe dobro w ciągu miesiąca, lecz bitwa w większym stylu, decydująca o losie Prus Zachodnich, stoczona przez dywizję wojska polskiego, a ukoronowana klęską i śmiercią wodza pruskiego.

Jak ptaki poczęli zlatywać się do Bydgoszczy z bliska i z daleka obywatele, by uściskać bohaterską brać, i nigdy miasto to nie oglądało zastępów tak licznych a pewnych siebie, promieniujących radością Polaków. Niemiec zaś, który dotąd z uporczywością maniaka powtarzał: „Bromberg bleibt deutsch”, upadł na duchu, korzył się z czcią przed siłą

oręża polskiego i poczynał godzić z jutrzejszemi rządami polskiemi.

Na pogrzeb poległych Polaków zjeżdżały się delegacje nieprzeliczonych zrzeszeń z chorągwiami i wieńcami. Przybył ks. arcybiskup, naczelny prezes Poznańskiego, Naczelna Rada Ludowa, generał Dowbór-Muśnicki i mnóstwo wojskowych. Oczywiście wszyscy, wielcy i mali bili pokłony przed generałem Grudzielskim, niemniej jednak na ustach było nazwisko Żabickiego.

Nie wysuwał się on wcale przed swego generała, przeciwnie cofał za jego plecy, jednakże już gazety dawały między wierszami do zrozumienia, że w nim upatrywać należy głowę i sprężynę tej świetnej akcji. A żołnierz bydgoski, który widywał go w kancelarji, w koszarach, w boju, słyszał jego komendę, bił się przy jego boku, a domyślał się tego, czego nie wiedział, wynosił go głośno pod niebiosa i stawiał na piedestale wielkości. On to kreował go samorzutnie „komendantem".

Jakoż dookoła „pana komendanta" wytworzyła się specyficzna atmosfera, niby dookoła bożyszcza, niejeden poczynał mu czapkować, schlebiać. A przytem Żabicki zrobił spostrzeżenie, że nawet Naczelna Rada Ludowa, która tak niedawno jeszcze myślała o wycofaniu tego korpusu z eksponowanej nad Notecią pozycji, teraz inne przybrała oblicze i zbliżała się doń, niby do wielkiego ołtarza. Wtórzyła

chorałowi pochwał, hołdów, dytyrambów i Żabicki mógł był przekonać się, że za powodzeniem leci zewsząd stadami powodzenie.

Notable ci nie śmieli płynąć pod prąd, przeciwstawiać się wzbierającej fali popularności. Nastroili się na nutę ogółu tak, że nie zaoponowali nawet, gdy ni stąd ni z owąd wyłoniło się w duszy tego zbiorowiska reprezentacyjnego, pobudką wojenną dźwięczące hasło: Na Gdańsk!

Niezmiernie ucieszyło to Żabickiego, że ogół niejako wyczytał to hasło z jego umysłu, albo raczej on wyjął je z duszy zbiorowej, gdyż w tem poczuł się już nie wczorajszym, per nefas dobijającym się do wielkiego czynu konkwistadorem, lecz przedstawicielem, ramieniem i duchem tej społeczności i dzielnicy. On natchnął ją do tego, podniósłszy na wyższy diapazon, on wykrzesał z niej piękny dźwięk spiżowy, przygotował ją do akcji męskiego narodu godnej, do wielkich rzeczy piastowskich.

W przeddzień uroczystego pogrzebu, z wieczora, szef sztabu wyplątał się z koła licznych znajomych, jakich spotkał wśród przybyszów, i poprostu uciekł przed nimi, schował się do swego pokoju hotelowego z podporucznikiem Wachtlem. Należało się im kilka godzin wytchnienia. Obiecali sobie odsapnąć rzetelnie a nawet zapomnieć o wojnie, wyjść choć poniekąd z nurtów pochłaniającej aktualności.

— Wyobraź sobie, Kaziu, że jesteśmy na wakacjach i spoczywamy na murawie pod konarami lipy — mówił znużony Sobiesław, zdejmując mundur.

— Każę przynieść herbaty, coś zimnego do jedzenia i machniemy się do łóżek, — zawołał Wachtel, zadzwonił na ordynansa i jął rozściełać swe łóżko, mówiąc: — Dziwi mnie, że wśród tylu delegatek i różnych niewiast nie zauważyłem twej panny Anieli Prusinowskiej.

Sobiesław skubnął przystrzyżony wąs i odparł z uśmiechem;

— Przyznam ci się, że dałem jej w mych listach do zrozumienia, aby... nie pokazywała mi się na oczy.

— Ślicznie, ani słowa! — zaśmiał się podporucznik. — A kochasz ją.

— Mój drogi, mówmy prawdę. Kobieta może być niekiedy podniętą do wielkich rzeczy, ale jest przeszkodą w ich wykonaniu. Sama myśl o niej sprowadza nas z drogi poważnej akcji w jakieś gaje wonne a zdradliwe, pełne płochych chochlików i sylfów, gdzie myśl twórcza usypia i odsuwamy się od wszystkiego, co stanowi rdzenną treść życia. Kobieta to niezbędne stworzenie na czasy karnawałowe dla ludzi, co używają życia, i do wydawania na świat dzieci. Ale zresztą...

Kazimierz zaśmiał się.

— Mówisz jakbyś panny Anieli nie kochał i nie uznawał w niej dzielnej kobiety!

— Dzielna, czy nie dzielna, ale kobieta i to ładna, czyli czynnik wnoszący niepokój, żądzę, złudę, słabość.

— Ależ to taka miła towarzyszka! — wpadł Wachtel i opowiedział jak sympatycznie przeszedł mu kiedyś czas w jej towarzystwie w ciągu podróży z Poznania do Wągrowca.

— Miła, miła — przyznał Sobiesław pogłaskany po sercu pochwałą dla narzeczonej, ale rzekł: — A jednak najmilszem, najlepszem i najstosowniejszem dla mężczyzny towarzystwem jest mężczyzna. A dla mnie — ty i wy, towarzysze broni.

— My nie damy ci szczęścia — odrzekł podporucznik, przyglądając mu się ciekawie.

— Szczęścia?... Tego szukać trzeba wyżej.

— Gdzie?

— Czyż ja wiem?... W wyżyciu się zupełnem w wielkim czynie.

Sobiesław zamknął swą miłość na kłódkę i izolował od strumienia swego życia jak wszystko inne, co mogło chociażby najmniejszą wprowadzić dywersję w pochłaniającej go działalności. W świetle celu, jaki zafascynował go, niby fatamorgana, i piętrzył się przed nim, zgasły jego sprawy osobiste, on sam stał się niewolnikiem idei i zapomniał o swej pannie Anieli, bagatelizował ją, chociaż dała mu ona niemały dowód swej miłości.

Pan Prusinowski bowiem, ugodowiec, który wierzył w zwycięstwo Niemców w wielkiej wojnie i nie pojmował, jak Polak mógłby istnieć bez żandarma pruskiego, nie znosił Sobiesława Żabickiego dla jego t. zw. radykalizmu, czyli poprostu patrjotyzmu, i nie chciał słyszeć o wydaniu córki za „rozwichrzonego chudopachołka", co nie ukończył nawet jeszcze studjów i miał płótno w kieszeni.

Jednakże musiał on ustąpić i pogodzić się z życzeniami córki, która niemniej jak jej matka i brat była całkiem pod urokiem tego „radykała", zwalczała ojcowskie poglądy i należała do kobiet z największem poświęceniem zabiegających około dobra powstańca. Tego pan Prusinowski nie darował przyszłemu swemu zięciowi. Nie dowierzał on zwycięstwom oręża polskiego i w gruncie rzeczy życzył Sobiesławowi, aby Niemcy „wygarbowali mu skórę". Wtedy mógłby on powiedzieć: „Zawsze mówiłem, że ci obłędni powstańcy nie mogą mierzyć się z żołnierzami niemieckimi. Musiało tak się skończyć".

— — — — — — — — — — — — — — —

Ordynans, Kujawiak, z płową czupryną i poczciwą gębą, wniósł na tacy herbatę, chleb, masło i szynkę, rarytne w tych głodowych czasach specjały. Żabicki zawdzięczał je zwycięstwu pod Solcem. Otrzymał szynkę i masło

w dowód uznania i adoracji od pewnego ziemianina, który dobrodziejstwo to przypłacił drogo, gdyż Żabicki wycyganił od niego wóz krupów i kartofli dla żołnierzy.

— Byli różni panowie — ozwał się ordynans, rozstawiając talerze — i chcieli z panem komendantem gadać. Alem im powiedział, że pan komendant już śpi.

— Dobrześ zrobił, Walenty. Naści za to kawał szynki. — Żabicki położył plaster szynki na chleb.

— A jak ta panna przyńdzie, to co powiedzieć? — spytał Walenty.

— Jaka panna?

— Ano, była dwa razy i raz przez talefun pytała o pana komendanta. Bardzo chce go zobaczyć — wyszczerzył zęby Walenty. — Dworsko panna, niczego, rumiana, kiejby jabłuszko.

Wachtel klasnął w dłonie.

— Panna Aniela! — zaśmiał się, myśląc, że Sobiesław, w teorji oschły, nie utrzyma się w tej roli w obliczu tej smakowitej Pałuczanki.

Gdzie panna Aniela zamieszkała w Bydgoszczy, Żabicki nie mógł się dowiedzieć ani domyślić. Pałaszując tedy co miał przed sobą, medytował, gdzieby ją poszukiwać, gdy zastukano do drzwi dyskretnie.

Żabicki zerwał się na nogi i, wciągając na siebie litewkę, rzucił:

— Proszę!

W uchylonych drzwiach ukazał się nieco zadarty nosek i młody głos niewieści zadzwonił:

— To ja... Czy można wejść?

On skoczył do drzwi i zaśmiał się:

— Co za „ja"?!

Panna podała mu w progu obie ręce, upuszczając przytem paczkę, Sobiesław pociągnął ją do pokoju, przycisnął usta do jej łapki gorąco, a ona zmieszana, jakby była przyszła na pierwszą schadzką, trzepała nerwowo:

— Musiałam przyjść... chociaż przeczuwam, jak jesteś zajęty... Może chcesz wypocząć... Przywiozłam dla ciebie herbaty, prawdziwej herbaty i... — śmiała się w zakłopotaniu, nie odrywając wyiskrzonych, chabrowych oczu od niego, a gdy spojrzenia ich się zazębiły, uwisła dłonią przy jego szyji i głowa jej opadła na jego pierś. Wzruszenia minionych dni, niepokój i radość ogarniały ją powrotną falą i łzy popłynęły po jej jędrnych licach.

— Nie mogę nic mówić... Co za czasy! Tak się bałam! Ojciec wróżył, że was rozgromią i wypędzą z Bydgoszczy. A potem ta radość! Płakałyśmy z radości, ja i twoja mama... Ale macie jednak straty. Poległ syn naszego sąsiada, Chlewińskiego, taki młodziutki, porządny chłopiec...

Sobiesław oplótł rozrzewnioną dziewczynę ramionami, przytulił do siebie i zcałowywał jej łzy wzruszenia, aż zapomniała o tych, co

polegli, i rozpromieniała w radosnem posiadaniu tego, co w tym momencie żył dla niej. Objęła go za szyję gorąco i wyszeptała:

— Zwyciężyłeś! Taka jestem szczęśliwa i dumna... Ty zawsze zwyciężysz!

Przez ten czas podporucznik, niemy świadek tych czułości, wrzucił na siebie mundur, nakrył kołdrą rozebrane łóżko i, spozierając na tę ładnie zgrupowaną parę, brał udział w ich szczęściu. Gdy chodziło o Żabickiego, nie wchodził w grę jego egoizm. W jego pojęciu Sobiesław wzniósł się na tak egzaltowane wyżyny, że należało mu się wszystko. Więc nie zazdrościł mu uroczej panny.

Nareszcie Sobiesław przypomniał sobie o nim i panna Aniela, rozkołysana, upojona, podała mu rękę serdecznie.

— Przedstawiam ci w nim jutrzejszego kapitana — rzekł Sobiesław. — Sam on sobie wziął pod Solcem tą rangę.

— A ty jutrzejszy podpułkownik, zasłużyłeś na generalskie szlify — odwdzięczył mu się Wachtel.

Usadził zaróżowioną całusami blondynę przy stole, włączył do kompanji i wnet wytoczył sprawę, która zaprzątała jego umysł od zwycięstwa pod Solcem.

— Sobiesławie, długo my jeszcze będziemy służyli pod znakiem Grudzielskiego? — spytał.

— Nie wiem. Do zdobycia Gdańska, a mo-

że dłużej — odpowiedział Żabicki, nie wiedząc o co mu chodzi.

— Sobiesław pragnie teraz nadomiar wszystkiego sfabrykować z Grudzielskiego zdobywcę Gdańska! Jak dobrze pójdzie, wyświęci go na wielkość narodową! Proszę pani, czyż to nie komedja!

— Mój drogi, to się tak samo robi... Dziwi cię to, tymczasem tak się plecie na tym Bożym świecie, że okoliczności nie tylko piszą sceny, lecz kreują wielkich ludzi. Skoro Fortunie się przyśni, lada kabotyna przemaluje na bohatera, a jeżeli prawda, że Tytania kochała się w ośle, dlaczegóżby ślepy tłum nie miał wielbić i miłować takiego postumentu. „Lepszy łut szczęścia, niż funt rozumu” — powiada przysłowie. Do tego zaś możnaby dorzucić: a kto ma funt szczęścia, nie potrzebuje ani łuta rozumu.

— Ten nasz staruszek ma szczęścia za wiele!

— Jeżeli tak, to doskonale, bo przelewa się to jego szczęście na nasze boje. A bez tego najmędrszy generał daleko nie zajedzie.

— Jednak pan Kazimierz ma rację — wtrąciła panna Aniela zcicha. — Na cześć Grudzielskiego ludzie palą mirrę i kadzidło, jakie należy się Sobiesławowi.

— Nic nadzwyczajnego, że nasz generał stał się przedmiotem uwielbienia. Jeśli poczciwy Hindenburg przejdzie do historji jako znakomity generał, dlaczegożby na naszym, mniej-

szym teatrze wojny, poczciwy Grudzielski nie miał odegrać podobnej sztandarowej roli? On nie jest bez walorów. To zacny Polak, pełen najlepszej woli, posiada niemało wiedzy wojskowej. Bywały szkodliwe wielkości. Ot, taki Ludwik Mierosławski, rzekomy zwycięzca z pod Miłosławia, niby to wódz, a w istocie grabarz kilku powstań, elokwentny mydłek, szarlatan, papierowy generał, ignorant w wojskowości i arogant, megaloman. Gaskończyk naładowany dynamitem grandilokwencji stu trybunów ludu, mętnogłowy demokrata czy też wojażer polityczny, handlujący demokratyzmem. Był on całkiem wyzuty z patrjotyzmu, a Grudzielski kocha Ojczyznę. Stary pan nie posiada djalektycznych zdolności Mierosławskiego, ale też ani jednej z wad tego histrjona, który wskoczył na najwyższy szczebel sławy, nawet europejskiej. Prawda, że umarł obrany z blichtru przez trzeźwy rozum oraz przez krytycyzm historji, niemniej jednak do dzisiaj ma wielbicieli. bo upozował się dobrze w życiu i znalazł się na świeczniku. A nad grobem opłakiwano go jako drugiego Napoleona... Mój Kaziu, oburza cię rozgłos Grudzielskiego, a to dopiero była farsa!

— Z tego nie wynika, — podjął z ferworem Wachtel, — abyś ty i my wraz z tobą mieli lepić z takiej gliny fałszywe bożyszcze. O to chodzi, by właściwy człowiek stał na właści-

wem miejscu i prawdziwa zasługa królowała nad pozorami.

Sobiesław zajrzał w siebie i musiał przyznać, że dźwigał swą osobą i zasługą Grudzielskiego wyżej i wyżej na piedestał. Nie byłby mógł pochwalić tego w teorji, a jednak czuł, że okoliczności wymagają, żeby tak postępował a nie inaczej.

— Do czego ty prowadzisz? O cóż ci chodzi? — zagadnął przyjaciela.

— Grudzielski musi ustąpić swe miejsce odpowiedniejszemu i godniejszemu, to jest tobie. My o to upomniemy się u Muśnickiego dla dobra sprawy.

Żabicki żachnął się gwałtownie i zawołał:

— Co za „my"?! To wy uknuliście coś jakby spisek? Przygotowujecie pałacową rewolucję?!...

— Dla dobra sprawy.

— Tak mówi każdy spiskowiec. Cóż wam strzeliło do głowy!? Ja, ja miałbym w tej chwili...!

Srogą przybrał minę i panna Aniela nie mogła zgoła zrozumieć, dlaczego broni się on, i to z oburzeniem, przeciwko zajęciu stanowiska, jakie w istocie mu się należało.

— Zapowiadam ci uroczyście, że naczelnego dowództwa naszego korpusu nie przyjmę i nie dopuszczę do detronizowania Grudzielskiego. Zapowiadam wam wszystkim, że nie będzie

u nas żadnego sejmikowania, intrygowania, żadnej Kiereńszczyzny! Rozumiesz?!

Jeszcze nigdy Żabicki nie przemawiał takim ostrym tonem do przyjaciela, nigdy tak kategorycznie nie dał mu odczuć swego zwierzchnictwa.

— Zakazuję wam wszelkich konszachtów! „Dla dobra sprawy” — mówisz. Dla dobra sprawy wypada wam robić tylko jedno: „Słuchać rozkazów!”

Kazimierz patrzał w jego przybladłą, surową twarz i sam pobladł.

— Rozkaz — wyrzekł jak szeregowiec.

Chciał zerwać się na nogi i stanąć na baczność, lecz Sobiesław położył dłoń na jego ręku i powstrzymał go od tego, mówiąc:

— Postaraj się, abym o tem nie posłyszał już ani słowa, i aby nikt nie dowiedział się, że takie myśli chodziły po waszych głowach.

Panna Aniela wylękła się nieco tego poważnego akordu, który nagle wpadł w ich rozmowę. Spojrzała po ich twarzach ze zdumieniem, nie wiedząc, co o tem sądzić. Przecie Sobiesław nie miał powodu tak gniewać się na przyjaciela za to, że on pragnął wynieść go na szczyty.

Tymczasem Sobiesław, zapaliwszy papierosa, począł poważnym tonem.

— To byłby błąd okropny. Jesteśmy dopiero w toku akcji, wymagającej skupienia wszystkich sił. Wszelkie przesunięcia na czołowych

stanowiskach, byłyby szkodliwe. Czyliż nie macie innego tematu do rozmyślań teraz, gdy każdy z was winien myśleć tylko o jednem: o zdobyciu Gdańska? A czyż Grudzielski przeszkadza nam w tem? Czy pod jego wodzą nie doszliśmy szczęśliwie tak daleko, że wolno nam serjo myśleć o zdobyciu Gdańska?... Mam przekonanie, że moja osoba obudziłaby zaskórne wśród oficerów a jawne niezadowolenie wśród obywatelstwa wielkopolskiego. Ja mam wielu nieprzyjaciół jako tak zw. radykał. Zalety moje poczytano by mi za wady i wytykano, że jestem za młody na takie stanowisko, że byłem w niemieckiem wojsku tylko Oberleutnantem. Wielu by mi zazdrościło tak nadzwyczajnego awansu. Tymczasem Grudzielski, jak król ponad falą bieżącej polityki, stoi ponad sferą takich uczuć samolubnych, małostkowych. To dostojny, autorytatywny reprezentant i symbol naszego korpusu. Zadowolony jestem, że los postawił mnie tam, gdzie postawił, t. j. przy boku króla naszego, Grudzielskiego, i że mam honor być jego pierwszym ministrem.

Wachtel słuchał go z napiętą uwagą i poczynał przyznawać mu słuszność. A Sobiesław przedkładał mu jeszcze:

— Gdy Grudzielski mówi lękliwym obywatelom naszym: „teraz pójdziemy na Gdańsk” przyjmują to z uległością, gdybym zaś ja, w charakterze wodza, powiedział im te słowa,

podniosłaby się gromka opozycja — ciągnął realista z przekonaniem. — Wymyślano by mi od chłystka, młokosa, wartogłowy, niespokojnego ducha, awanturnika i t. p. A z obywatelstwem trzeba się liczyć; oni dają nam pieniądze i żywność. O cóż chodzi Kaziu, o to, abym ja był wodzem tego korpusu, czy o to, abyśmy zdobyli Gdańsk?... Więc niema o czem gadać. Przeproś teraz pannę Anielę, żeś, zamiast bawić ją, wytoczył na tapet tę nieszczęsną sprawę.

Wachtel pocałował pannę Anielę w rękę i istotnie chciał ją przepraszać, lecz ona wpadła:

— Mnie nie potrzeba bawić ani „emablować". To nie czasy karnawałowe. Poczytać to sobie mogę za zaszczyt, że pan Kazimierz w mej obecności poruszył tak poważną kwestję. Wyznaję, że miałam ochotę przyjść mu z pomocą, lecz doprawdy ja nie mogę zabierać głosu w takiej materji. Sobiesław wie co robi... Nazywają go entuzjastą, a to znaczy tyle co nierozważnym, a przecież przekonałam się już, że niema człowieka rozważniejszego.

— Zimną ma głowę, a gorące serce — wtrącił podporucznik.

Sobiesław uśmiechnął się.

— Głową i sercem żałuję, że nie możemy niczem przyjąć należycie takiego gościa.

— O, dziękuję! Muszę zresztą już pójść.

Późno. Dziesiąta. Ach, Boże, gdzie herbata, którą przyniosłam?... Straciłam głowę.

Znalazła się paczka z herbatą opodal drzwi. Wręczając ją narzeczonemu, panna Aniela pozostawiła rączkę w jego dłoni i muskając jego twarz zakochanemi oczyma, spytała:

— Czy nie zawitasz do swej mamy?

— Droga Anielciu, ty i mama rozumiecie, że ja nie należę ani do siebie, ani do nikogo, jedynie do...

— Ja wiem, ja wiem — wpadła panna Aniela. — Nie oczekujemy nawet długich listów od ciebie. Ale... boli mnie, że nie mogę być blisko was, żołnierzy...

Żałosny wyraz przeszedł niby cień po wyrazistej, świeżej jej twarzy, lecz spłoszyła go mocą woli i przybrała swój zwykły chochlikowaty uśmiech.

— Uciekam. Nie masz mnie odprowadzać! — Wpadłam incognito!... Proszę mi to wybaczyć i to wam zapowiadam surowo — pogroziła im piąstką — żebyście nigdy się nie kłócili i nie swarzyli!

— O proszę pani, nas nigdy nic nie rozdzieli! — odparł podprucznik, zbliżając się do nich i zwróciwszy twarz do Sobiesława, spytał:

— Czy to prawda?

A Sobiesław ujął jego rękę i uścisnął mocno, wymownie.

— To mnie bardzo cieszy — rzekła sympatyczna, uczuciowa dziewczyna. — Do widzenia. Do jutra!

— Gdzie mieszkasz? Z kim przyjechałaś?

Ona roześmiała się, chcąc widocznie to zachować w tajemnicy.

— Wystaw sobie, że zjawiłam się z twym aniołem opiekuńczym.

— O to prawda! — zawołał narzeczony i począł gwałtownie całować jej rączki.

Gdy znikła, obaj oficerowie mieli wrażenie, że promień złoty przeszedł przez pokój i Sobiesław byłby musiał przyznać jednak, że szczęściem jest być kochanym, a w takiem szczęściu kąpie się dusza, jak gwiazdy w kryształowych przestworzach. Zaczerpnął z tego źródła snop ożywczych blasków.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, od wczesnego rana panował w sercu miasta ruch nadzwyczajny, świąteczny i ogniskował się na rynku, w pobliżu kościoła farnego, w którym ks. arcybiskup miał odprawić nabożeństwo za dusze poległych powstańców. Zwłoki miały spocząć na osobnym cmentarzu, jaki upatrzono w równoległoboku wrzynającym się w las, opodal wysokiego nasypu kolejowego. Tam, w dostojnych ramach wysokich drzew, przed szeregami krzyżów wyznaczono miejsce na pomnik widoczny z dwor-

ca. Nadto powstał projekt wzniesienia na pobojowisku pod Solcem obelisku pamiątkowego, który, jak mówił Żabicki, miał świadczyć o tem „jak to wskrzeszona Polska zapracowywała na swą wolność”.

Gdy Żabicki wychodził z hotelu na nabożeństwo w towarzystwie wygalowanych oficerów, zastąpił mu drogę i wyciągnął obie ręce kapitan Szczerba. Winszując mu zwycięstwa, niejako dziękował mu za to, że nie zawiódł on jego pokładanych w nim nadziei. Nie omylił się, wskazując swym towarzyszom broni i innym wojskowym w Warszawie na Żabickiego jako na wschodzącą gwiazdę.

Szczerba przyjechał na pogrzeb z całym zastępem legjonistów i przedstawicieli ministerjum wojny. Zapoznał ich z Żabickim i zaprezentował mu dwuch młodych legjonistów, którzy pragnęli wstąpić bezzwłocznie w szeregi tego korpusu, by iść na Gdańsk, zdobywać go dla Polski.

Żabicki powitał ich bardzo serdecznie i rzekł:

— Proszę zameldować się jutro w komendzie do pana kapitana Kelera. W boju — dodał — panuje u nas taki zwyczaj, że oficer przemienia się w szeregowca i ich przodownika.

Długo musiał Szczerba dobijać się do ucha Żabickiego, gdyż każdy z przybyszów chciał spojrzeć w twarz zwycięzcy i zamienić z nim kilka słów. Dopiero, gdy postępując obok

niego przez coraz gęstszy tłum zmierzających do kościoła delegatów, przytrzymał go za ramię i rzekł:

— Zrobiłem, co się dało w tak krótkim czasie.

— Bóg zapłać.

— A teraz co?

— Mam niejedną prośbę do pana kapitana. Porozmawiamy o wszystkiem w cztery oczy, skoro się da.

Na rynku ogarnęła ich nieprzebrana, uroczyście nastrojona rzesza. Chorągwie i emblematy bractw i związków, girlandy, festony i wieńce wnosiły w ten obraz rój żywych barw, panowały nad wstęgami załobnych kirów i tak znamionowały, że ponad tym pogrzebem świeci aureola zwycięstwa.

U wylotu z rynku w wąską uliczkę „farną" bieliły się komże młodego kleru, i tłoczyły grupy kongregacji świeckich i związków kobiecych. Dalej, od wrót kościelnych ciągnęły się długim, w sąsiedniej ulicy ginącym sznurem nieprzeliczone lawety, na jakich miały spocząć trumny poległych.

Przez tą gęstwinę oficerowie przechodzili powoli i nagle zajaśniała przed Żabickim młoda, świeża twarz hożej a wzruszonej panny Anieli Prusinowskiej. Wysunęła się z grona delegatek „Nadnoteckiego Koła Polek" i witała go rozkochanemi oczyma i uśmiechem chochlika. Zataiła bowiem przed nim, że przy-

wiozła jego matkę. Bez wiedzy ojca zabrała jego samochód, wpadła do Wągrowca po starą panią, stęsknioną za synem, i ot Sobiesław ujrzał w czarnym stroju matkę.

Gdy spojrzał w zaszklone łzami jej oczy, te oczy matki, przez które leciała do niego cała jej dusza, rozebrało go coś ze wszelkiej mocy i nagle osunął się do jej nóg, oplótł jej kolana jak kmieć i przytulił głowę do serca swego matczyska, drżącego symfonją najtkliwszych uczuć.

Przy tej dobrej swej pani żołnierz ten, co śmierć wyzywał na pojedynek, raptem zmienił się w dziecko. Przywarł do niej niby do ołtarza, z wrażeniem, że odbiera dziękczynne błogosławieństwo za to, co zdziałał, oraz najwyższe święcenie na dalszą swą drogę.

Wszyscy dookoła nich, mężczyźni i kobiety, kapitan Szczerba i panna Aniela z głębokiem wzruszeniem spozierali na tę rzeźbiarza godną grupę, na tego wojaka u stóp matki szczęśliwej, że dotyka dłonią głowy swego dziecka i dumnej, że widzi je w najszlachetniejszej służbie. A nie przypuszczała jeszcze wcale, jak wysoko wzbił się on orlim lotem ponad całą swą dzielnicę, nie wiedziała, że klęczał przed nią publicznie — zwycięzca.

Obraz ten zapadł się w pamięć kapitana Szczerby głęboko i bezwiednie przykuł go jeszcze więcej do tego świetlanego człowieka, w którego tak wierzył. Nie zdając sobie z tego

sprawy, odkrył w nim teraz dopiero z całą pewnoscią wielką duszę, gdyż odkrył w nim duszy ludzkiej siedlisko: serce. Dlatego zdjęło go jakieś przedziwne uczucie, jakby asystował przy cudnem misterjum.

VII.

— Co u nas się dzieje? Ot, podporucznik Kaczmarek jedzie jutro z jednym baonem do Świecia nad Wisłą, a podporucznik Wachtel z dwoma baonami do Chojnic, aby żołnierz nie rozpróżniaczył się, aby ochotnik wszedł w tryby akcji, i wreszcie aby wkroczyć już w granice Prus Zachodnich, na flanki naszego szlaku ku morzu, a mianowicie aby ulżyć naszemu wydziałowi aprowizacyjnemu, który stale robi bokami. Są pieniądze i niema co kupić. Wieś nasza śle, co może, ale są to głównie pantówki czyli bulwy — opowiadał Żabicki kapitanowi Szczerbie, gdy wreszcie udało się im wyplątać z ula żołnierskiego.

— A Toruń? — zagadnął żywo Szczerba.

— Dojrzewa, jak ta gruszka, aby spaść nam na łono.

— Dlaczego nie zajęty jeszcze?

— W pierwszej chwili było to niemożliwe. My walczyliśmy wszyscy, pułkownik Schellenberg zaś połową swych sił. (Część rezerwy toruńskiej wysłał na obronę granicy pod Nie-

szawą, za co składam wam dzięki!). Pościg, jakiego nie można było zorganizować przed upływem 24 godzin, byłby napotkał w Toruniu na poważniejszy opór. Ale okropne cięgi, odebrane pod Solcem, tak poskutkowały, że Grenzschutz się rozłazi, idąc za przykładem wracających żołnierzy z Oberostu. Ja nie zakłócam tego procesu rozkładowego i nie atakuję, bo szkoda każdej kropli krwi naszej. Zanik tego Grenzschutzu jest kwestją kilkunastu dni. Schellenberg staje na głowie, ale to nie Rossbach. Nikt już nie utrzyma w szeregach tej hałastry. A za Toruniem idą Chełmża, Grudziądz, Brodnica.

— Więc prawy brzeg Wisły nie zagraża wam już wcale i moglibyście ruszyć na Gdańsk.

— Droga do Tczewa czysta. Ale w tem sęk, że Gdańsk mógłby stać się dla nas Moskwą. Bo czekałby nas tam głód. Tak mi się wydaje. To trzeba obejrzeć z bliska. Lada godzina wyjadę do Gdańska cichaczem. Po powrocie pogadamy jeszcze.

— Doskonale.

— Wysypię wtedy na stół wszystkie moje postulaty i prośby. Tymczasem... co mówi o nas Warszawa?

— Nazwisko pana porucznika, przepraszam — kapitana... przepraszam pana komendanta jest tam na ustach wszystkich.

— Moje?

— Przecież to nie ukryje się, kto zgromił Niemców pod Solcem. Radość ogromna.

Żabicki zastanowił się.

— Miło zgotować rodakom radość — wycedził — ale... jeżeli moje nazwisko rozbrzmiewa zbyt głośno, to może i dobrze. Bo ja zapotrzebuję teraz od rządu niejednego.

— Czego?

W tej chwili zastukano do drzwi i wszedł podoficer z komendy.

— Telefonują z dworca po pana komendanta — oznajmił.

— O co chodzi?

— Pan porucznik Urbanek mówi, że za chwilę pociągiem z Torunia przybędzie delegacja szeregowców Grenzschutzu.

— A co to takiego? — wtrącił zaciekawiony Szczerba?

— Jak zupełnym jest zanik Grenzschutzu okazuje się z tego, że żołnierze toruńscy zapytywali mnie pokornie czy nie zechciałbym z nimi pomówić. Odpowiedziałem: owszem. I otóż jedzie delegacja. Może pan kapitan ma ochotę mi towarzyszyć? To będzie zabawne. Chodźmy.

W istocie zabawnem wydało się powstańcowi, gdy trzy niemądre, obrosłe gęby grenzschutzlerów pojawiły się w komendzie dworcowej i trzech szwabów, jakby na baczność, stanęło przed Żabickim w charakterze pokornych petentów.

Imieniem najmitów z Berlina i zachodnich Niemiec prosili, by Polacy przepuścili ich pociągiem przez Bydgoszcz i Nakło, pozwolili im wrócić z tych obmierzłych „kresów wschodnich” do domu.

— Czy przybyliście tutaj za pozwoleniem waszej komendy? — spytał ich Żabicki ostrym tonem.

— Ach, my nie uznajemy żadnej komendy! Dosyć mamy tego wszystkiego! — odparł podoficer szwabskim żargonem i ciągnął: — Nie na to gniliśmy latami w rowach strzeleckich na zachodzie, by teraz jeszcze głodować i ryzykować tu skórę i kości. Kaiser schował się w bezpieczne miejsce, my także chcielibyśmy schronić się „bei Mutter”. Tu djablo gorąco.

— Możecie jechać — rzekł łaskawie Żabicki z miną dygnitarza, jakiej nigdy nie przybierał, i ciągnął suchym tonem urzędniczym: Pojedziecie pociągami pospołu z żołnierzami Ober-Ost‘u, wracającymi do kraju. Nie dalej, jak w pobliże Piły. Z miejsca postoju, z którego pociąg nasz wróci, powędrujecie do Piły, skąd komenda niemiecka odeśle was dalej na zachód.

— Dziękujemy!

— Musicie wyjechać jaknajprędzej. Ludność polska jest niesłychanie wzburzona, poczynają się napaści na grenzschutzlerów i kolonistów, a nawet mordy. Wobec tego żołnierze Grenz-

schutzu z tych stron rodem, powinni zabrać się z wami na zachód bez zwłoki. Bo, gdyby teraz wrócili do swych zagród, może dosięgnąć ich tam kulka, która minęła ich w bitwie. Lud wiejski odgraża się szczególnie przeciw kolonistom, rzuca się na nich z widłami...

— Powtórzymy to w koszarach, — rzekł podoficer, patrząc w surową twarz Żabickiego, jak w tuza.

— Powtórzcie wszystkim, że żadna władza polska nie ręczy za mienie i życie żadnego kolonisty i ręczyć nie może.

Wyrzekłszy to z naciskiem i groźbą Żabicki powstał od stołu i wyszedł. A za drzwiami polecił sierżantowi, by pogadał z tymi sołdatami po ludzku i potraktował ich kiełbasą i piwem.

Wyszedłszy z dworca, ozwał się do kapitana Szczerby.

— Za dwa dni nasi Kujawiacy wkroczą do Torunia bez strzału.

— A czy to prawda, że lud wiejski występuje przeciwko kolonistom? — spytał Szczerba.

— Nie. Ale trzeba przy każdej sposobności strącać to robactwo z polskiego drzewa.

— Pan komendant wziąłby Niemców mocno za łeb — uśmiechnął się Szczerba.

— Tak, jak są tego zwyczajni! — odrzucił żywo Żabicki z poznańska i mówił: — Mój drogi kapitanie, Polacy cierpieli na zgoła swoistą, nieznaną nawet hotentotom chorobę gła-

skania, tuczenia, forytowania i uszczęśliwiania wrogów, niewątpliwych, zbrodniczych wrogów. Ja sądzę, że teraz poczniemy uszczęśliwiać Polaków. Bo jestem Polak, nie międzynarodowy, lecz narodowy i pragnę Polski dla Polaków, dla Polaków uczciwych.

— — — — — — — — — — — — — — —

Tego wieczora wyruszył Żabicki samochodem do Gdańska. Towarzyli mu szef wywiadu, Sobolewski, dwaj z dawna osiedli w Gdańsku Polacy, tudzież Puszczyk, przeznaczony do jakiejś kreciej a ważnej roboty. Jak ongi Zyndram z Maszkowic do Malborga przed wyprawą Jagiełły wkradał się on do tej twierdzy hakatyzmu, by poznać teren ewentualnego spotkania orężnego i podpatrzeć nieprzyjaciela na jego podwórku.

Przed wyjazdem, gdy zasiadł w restauracji, przydybało go kilku obywateli wielkopolskich, którzy przybyli na pogrzeb powstańców i pragnęli zorjentować się w położeniu i zamiarach korpusu Grudzielskiego. A już z tego, że figurował między nimi jego przyszły teść a notoryczny prusofil, p. Antoni Prusinowski, Żabicki wnosił, że natarła na niego falanga wczorajszych aktywistów.

Przywitał się z przyszłym swym teściem chłodno, a p. Prusinowski, przystojny, dobrze od-

żywiony ziemianin, począł ironicznie, zajmując miejsce przy jego stole.

— A więc walicie śmiało na Gdańsk...

— Tak jest na Gdańsk — odrzekł Żabicki, jakby z poddaniem się wyrokowi niebios, i począł się witać sztywno z trzema jego towarzyszami, którzy przyglądali mu się z ciekawością i zaskórnym respektem.

— Walicie tak na pewniaka!? — uśmiechnął się z politowaniem p. Prusinowski, a przyszły zięć jego, odpłacający mu za niechęć równą monetą, odparował cięcie:

— Ja zawsze idę na pewniaka.

Na to p. Antoni zmilczał i odwrócił twarz. Musiał bowiem przyznać, że, oświadczając mu się o córkę, z góry mógł być on pewnym przychylnej, acz wymuszonej przez rodzinę odpowiedzi.

Oczywiście w zebraniu tem idea pochodu na Gdańsk spotkała się z krytyką. Wreszcie wytoczono przeciwko rzecznikowi jej kalubrynę: przemówił sam p. dr. Teodor Szyld z kapłańskiem namaszczeniem, jakby oficjalnie:

— Nie sądzę, aby myśl ta mogła znaleźć poklask wśród realnie myślących obywateli. Paderewski i Dmowski z pewnością potrafią w Paryżu przekonać życzliwą nam ententę o konieczności przyznania nam Gdańska w myśl trzynastego paragrafu manifestu Wilsonowskiego. Wyprawa na Gdańsk byłaby podyktowana li tylko ślepą żądzą podboju i żądzą przele-

wania krwi. Byłoby to aktem nietylko karkołomnym i awanturniczym, ale wręcz niepolitycznym. Zamiast wojować z Gdańskiem, winniśmy nawiązywać dobre stosunki z niemiecką jego ludnością. Najdalej zajdzie się względdnem, pojednawczem postępowaniem — skończył p. Szyld, z powagą nieznoszącą repliki i zamykającą sprawę.

A Sobiesław odparł:

— Nie z każdym i nie zawsze, a na wojnie nigdy.

— Czyliż to wojna, panie kapitanie?! — przeraził się inny obywatel ziemski. A oficer stwierdził chłodno i bezbarwnie:

— Wojna, wojna przez Prusaków wywołana o wydarte Rzeczypospolitej ziemie.

— Wojna, — podjął z goryczą p. Prusinowski — którą korpus Grudzielskiego rozdmuchuje zgoła niepotrzebnie!

— I rozciąga ją na miasto, jakie w czasie rozbioru Polski występowało zbrojnie przeciwko zaborcy pruskiemu! — dorzucił p. dr. Szyld ze zgrozą.

Ironiczny uśmiech zamigotał na wargach Żabickiego, lecz począł tonem zimnym:

— O tem pamiętamy i przypominamy to sobie z rozczuleniem, a zapominamy całkiem, jakto na początku XIV-go wieku krzyżacy wyrżnęli w pień wszystkich, na jarmarku zgromadzonych Polaków na błoniach młodego osiedliska gdańskiego i jak zniemczyli je, nie do-

puszczając w jego obrębie do osadnictwa Kaszubów... Jakżeż mielibyśmy o tem pamiętać, jeśli zamykamy oczy na fakt, że Gdańsk przed wojną należał do twierdz wściekłego hakatyzmu?

— Proszę pana porucznika — począł strofować go p. dr. Szyld niby smarkacza — przytoczony przezemnie fakt historyczny pozwala nam spodziewać się, że drogą ustępliwości i przyjaźni zdobędziemy znów sympatje tej metropolji.

— Fakt ten historyczny interpretuje pan mylnie i mówi o sympatjach Gdańska, jakich Polska nie posiadała tam nigdy.

— Jakto nie!? — zawołał p. Szyld.

— Istotnie gdańszczanie puknęli z muszkietów do wojska Fryca, lecz fakt ten jedynie w świetle sentymentalizmu polskiego można interpretować jako akt sympatji i przyjaźni dla Polski. Oni strzelali poprostu ze strachu przed ciężką łapą króla pruskiego, a zwłaszcza przed wiszącemi nad Gdańskiem podatkami. Litowali się nad swą kieszenią a nie nad zamykającą się trumną Rzeczypospolitej.

P. Szyld zmarszczył się, oburzony nietylko przez to, że Żabicki pozwalał sobie tak zuchwale pouczać jego, tak „realnie i poważnie" myślącego obywatela, lecz już przez to, że był odmiennego odeń zdania. I konfratrom jego politycznym nie podobało się to wcale, że oficerek z płótnem w kieszeni ośmielał się

odżywać w ten deseń do tak bogatego, czyli szczególnie poważanego obywatela.

Nie podobało się to i Żabickiemu samemu. Zżymał się na siebie, że uniósł się w obliczu naiwności tego, rzekomo „realnie myślącego” polityka, chodzącego w aureoli swej powagi. Cztery lata w ogniu wojny mogłyby były poszarpać jego jak postronki silne nerwy. Mimo to byłby zapanował nad sobą, a nawet uśpił ich, otumanił, gdyby nie pan Prusinowski i jego głupowaty uśmieszek, jakim przyszły jego teść podpisywał słowa p. Szylda i markował swą wyższość nad oficerkiem, zarówno jak niechęć dla jakiegoś „idealizmem” niesionego wojaka, któremu nie mógł był nie obiecać zakochanej swej córki.

Po odejściu Żabickiego pan Prusinowski piorunował na „radykała” i wskazywał nań jako na złego ducha Grudzielskiego.

Na tem tle wywiązała się poufna rozmowa, a z niej wyłoniła się myśl, którą sam p. Szyld, chluba Wielkopolan tego autoramentu, podjął się wcielić w życie.

Swe dominujące stanowisko zawdzięczał p. Szyld nietylko swej znacznej fortunie, lecz głównie bijącej odeń łuną kapłańskiej powadze. Szła ona przed nim i za nim i dawała mu patent mądrości. Sztywny i dostojny chadzał po świecie powoli, jakby z uwagą omijając na swej drodze kamyki i kamyczki, a złote okulary nadawały jego osowiałej twarzy

cechę profesorską. Przemawiał do śmiertelnych z jakiejś katedry, która bodaj służyła mu jako dziecku za kołyskę, przemawiał powoli, z namaszczeniem, przez co zwykłe komunały wydawały się odkrytemi przezeń prawdami. Oddziaływał przeto na ludzi tak suggestywnie, że zaszczyty i dostojeństwa słały się u nóg jego pokotem. Piastował prezesury kilku wielkich związków, patronował różnym poczynaniom społecznym i, chociaż wzrok miał krótki i słaby, stał nawet na czele jury rozsądzającego konkurs malarski. Bo bez pana dra Szylda poprostu nie mogło obejść się żadne zbiorowe przedsięwzięcie.

Gdy tego wieczora generał Grudzielski marzył o kilku robrach brydża i, zwerbowawszy kapitana Szczerbę, oczekiwał na dwuch partnerów, przestąpił jego próg p. Teodor Szyld, z czego oczywiście każdy musiał się domyślić, że chodzi o rzecz poważną. Wyczuł to wkrótce nawet kapitan Szczerba, chociaż widział go pierwszy raz, i pozostawił ich samych.

Pan dr. Szyld pragnął pożegnać się z swym dawnym znajomym a zwycięzcą z pod Solca, przyczem rozgadał się o pewnym pułkowniku, który przybył w Poznańskie wraz z generałem Dowbór-Muśnickim, i podnosił talenty wojskowe pułkownika Dowgiłły.

Grudzielski, nie wiedząc o co chodzi, zauważył:

— To dobrze. Taki doświadczony oficer przydać się może Muśnickiemu pod Zbąszyniem, chociaż co prawda najwięcej potrzeba tam kilku rzetelnych dział.

Na to p. Szyld wysunął kwestję, czy nie należałoby zużytkować talenty tego pułkownika, jako sztabowca w akcji na większą skalę.

Grudzielski wybałuszył oczy na p. Szylda. Niedość, że ten nudziarz przeszkadzał mu w brydżu, on chciał narzucać mu jakiegoś swego człowieka. Stary pan rozsierdził się nagle i, zapominając jak dostojną personę ma przed sobą, ozwał się ostro:

— Dlaczego nie mówił mi tego wprost generał Dowbór-Muśnicki? Czy on pana z tem do mnie przysłał?

Dotknięty tym żołnierskim akcentem Szyld, począł mu tłumaczyć, że myśl ta wyłoniła się z grona „poważnych" obywateli, zabiegających około spraw politycznych.

— Czy generał Muśnicki wie o tem? — spytał jeszcze Grudzielski krótko, lapidarnie, a gdy Szyld sumitował się mglisto ze swego kroku, stary generał sapał jak miech kowalski. Wyczuł, że chodzi o Żabickiego.

— Ja sam dobieram sobie sztabowców. To moja sprawa! — wyrzucił i parsknął gniewem. — A to panom powiadam, że nie będę tak głupim, by kopnąć i odrzucić od siebie tak zdolnego i dzielnego oficera, jak Żabicki, takiego wybitnego i zasłużonego człowieka. To

byłaby ładna historja!... Panowie chyba nie wiecie, co my mamy za człowieka w Żabickim?

Urwał i po chwili, jakby na złość oświadczył:

— Stawiam zaraz podanie, by zamianować go pułkownikiem.

Tak zirytowym, kategorycznym a niegrzecznym, niemal grubiańskim nikt nie widział tego łagodnego pana. Szyld dnia tego, ścigany przez jakiś pech, był w najwyższym stopniu obrażony i zgorszony. Z Grudzielskiego wyszedł ordynarny żołnierz, gbur, człowiek zgoła „niepoważny", z którym „poważny" człowiek nie powinien wcale rozmawiać poważnie.

Aby położyć temu koniec, spytał go o żonę i dzieci. Ale rozmowa utknęła odrazu na mieliźnie i pan Szyld podniósł się z fotelu.

Po jego wyjściu generał spojrzał na zegarek i przywował ordynansa.

— Poproś do mnie pana kapitana Szczerbę. I tych panów, co tam zapewne czekają.

Czy jednak nie odeszli? A możnaby jeszcze zrobić choćby dwa robry.

— — — — — — — — — — — — — — —

W Świeciu nie zastali powstańcy ani karabina. Niewielka załoga Grenzschutzu częścią przeprawiła się na prawy brzeg Wisły, częścią rozleciała się. Ale, przeglądając tam wszystkie

kąty wojskowe, podporucznik Kaczmarek zrobił nadzwyczajne odkrycie z czasów wielkiej wojny.

W miasteczku tem mieścił się naówczas obóz jeńców, wyłącznie Anglików. Jedynym śladem, jaki po nich pozostał, był cmentarzyk. Pochowano na nim podobno ofiary epidemji. Wszelako polscy mieszkańcy Świecia zapewniali podporucznika, że Anglików tych wszystkich pomordowano pod pozorem rewolty. Więc podporucznik Kaczmarek kazał odgrzebać zwłoki ich i okazało się, że czaszki ich i kręgi porozbijane były kolbami czy pałkami. Połamane kości również potwierdzały wieści o gremjalnej rzezi tych synów Albionu. Jakoż srogi, niemiecki Bóg, rękoma siepaczów pokarał ich za podniesienie broni przeciwko wybranemu narodowi powołanemu do uzdrowienia ludzkości.

Podporucznik doniósł o tem do Bydgoszczy i Żabicki wysłał do Świecia komisję lekarską i sądową, w celu przeprowadzenia ścisłego śledztwa. Złożono w tej sprawie szczegółowe sprawozdanie rządowi polskiemu oraz delegacji w Paryżu, sprawozdanie, które nie mogło było usposobić Anglików korzystnie dla Niemców.

I w Chojnicach nie okazał się na spotkanie Polaków ani jeden bagnet Heimatschutzu. Niemniej jednak na wkraczające do miasta drużyny Wachtla posypały się kule ze strychów,

zaułków i dwuch powstańców padło trupem, zrosiło krwią polską bruk tego krzyżackiego miasta.

Za to przyszło mu zapłacić drogo. Porucznik Wachtel bowiem ciężką miał rękę. Przytrzymanych franktirerów postawił pod mur, nałożył na miasto haracz i aresztował kilku czołowych hakatystów, zapowiadając burmistrzowi, że w razie, gdyby padł jeszcze jeden strzał na Polaków, każe rostrzelać zakładników. A że gruchnęła pogłoska, że rozsierdzeni powstańcy zamierzają mordować ludność niemiecką, powtórzyło się to samo co w Bydgoszczy. Niemało Niemców uciekało do Pomeranji, a później niejeden z nich wrócił chyłkiem li tylko w tym celu, by wyzbyć się swej nieruchomości i pożegnać ten kraj.

W tym czasie Żabicki odbywał od rana do nocy przechadzki po Gdańsku i okolicy, albo sam, albo z jednym towarzyszem, rozmawiając z nim tylko po niemiecku.

Wystudjował topografję miasta, oglądał jego panoramę z góry Biskupiej, błąkał się po górze Jagłowej,' poznał dawne fortyfikacje, dowiedział się, gdzie znajdują się koszary w mieście i we Wrzeszczu, niemniej, jak to, co się w nich dzieje. Na spacerach tych z Puszczykiem zawadził o prochownię, o forteczkę w Wisłoujściu. Zwiedził wzgórza, z których ongi Polacy po wodzą Amilkara Kosińskiego szturmowali do Gdańska. Wstępując do knajp, ga-

wędził z mieszczanami i dowiadywał się od nich wiele więcej niż z gazet o rządzie Volks i Soldatenratu i o nastrojach ludności.

Wędrując przez ulice, dziwował się nad nędzą, jaka poprostu wyła żałośnie w niebogłosy z pustych okien wystawowych. Niczem kupiec nie mógł się pochwalić, chyba tylko puszką ersatzu kawy lub herbaty. A w halach targowych większa część przestrzeni świeciła pustką. Straganiarki same, niby zmokłe kury, siedziały nad zwłokami anemicznych, zagłodzonych kur, nad serkami, gomółkami, skąpą zieleniną, i zdały się opłakiwać, niby Jeremiasz na gruzach Jerozolimy, nietyle już brak kupujących, ile raczej powszechny upadek Germanji, tonącej w kałuży nędzy.

Najważniejszem wszakże zadaniem Żabickiego było udzielanie instrukcji armji agitatorów, na podstawie wyniesionych z tych wędrówek obserwacyj.

Po wyjeździe Żabickiego i Sobolewskiego, mnóstwo pseudo-niemców i farbowanych lisów, włócząc się po szynkach, na pobrzeżu Motławy i wśród zabudowań drzemiącej teraz stoczni, wskazywało na Polskę, jako na ziemię mlekiem i miodem płynącą, aż ślina szła do ust wygłodzonych mieszczan — i opowiadało smalone duby o wagonach pełnych połci słoniny, jakie od chwili wejścia Polaków do Bydgoszczy nawiedziły rzekomo to uszczęśliwione miasto. Wśród kolejarzy zaś zapewniano, że

Polacy zatrzymują w Bydgoszczy wszystkich urzędników i personel kolejarzy w swej służbie.

W opowieściach o bitwie pod Solcem urosła liczba poległych tam Niemców w dwójnasób. Jednakże Gdańskowi zdawało się nic a nic nie grozić ze strony powstańców, bo według kursujących po koszarach wersji korpus Grudzielskiego miał uderzyć na Piłę, a następnie na Zbąszyń. A „Gazeta Gdańska", czytywana pilnie przez dziennikarzy niemieckich, przyniosła wiadomość, że wkrótce przybędzie z Warszawy delegacja socjalistów polskich, by fraternizować z Volksratem gdańskim. Z wizyty tej miały wypływać nadzwyczajne dobrodziejstwa dla nieszczęsnej metropoli. Obiegały wprawdzie pogłoski, nie pozbawione realnych podstaw, że na Konferencji Pokojowej, komisja dla sprawy gdańskiej oświadczyła się jednomyślnie za przydzieleniem Gdańska do Polski, lecz socjaliści warszawscy przysięgali, że Gdańsk otrzyma daleko idący samorząd i istniała wśród nich myśl zwolnienia mieszkańców tej metropoli od podatków państwowych na trzy lata. Tak głosiła „Gazeta Gdańska".

Z ulicy i redakcji gazet przedostawały się także wiadomości na giełdę i do patrycjatu gdańskiego i wszędzie prawie wytwarzały nastrój, przez Żabickiego przewidywany.

VIII.

— Najkorzystniejszą dla nas rzeczą jest, — mówił Żabicki po powrocie z Gdańska, zdając Grudzielskiemu sprawę z tej owocnej wycieczki — że miasto to przymiera głodem, a nacjonaliści pruscy wyczerpujący się w walce z Volksratem, są zaszachowani zarówno przez socjalistów, jak przez naszego sojusznika t. j. przez ów dokuczliwy głód.

Grudzielski targnął wąs z zadowoleniem.

— Jesteś pewien, że pójdzie łatwo?

— Z pewnością łatwiej, niż pod Solcem — odparł Sobiesław, niechcąc zbyt różowych malować horoskopów.

— A jak sądzisz, kiedy będziemy mogli ruszyć na tę wyprawę?

— Wtedy, generale, gdy zgromadzimy odpowiednie zapasy żywności dla naszego żołnierza. Bez tego zwycięski powstaniec gryzłby palce nad polskim Bałtykiem.

Grudzielski odszedł gdzieś myślami. Po chwili jął mruczeć.

— Dobrze, że oni sobie pojechali, ci wielcy politycy... Zamiast przywieźć nam słoniny, przywieźli swe mądre rady. Zachciewa się im głosu w naszych sprawach. A ciebie nie kochają! — łypnął okiem na Żabickiego generał.

— Wystawiam to sobie — uśmiechnął się Sobiesław.

— Czemu to?

— Bo... we mnie mieszka czyn.
— Może masz rację. — Ach, ta mądra hołota!...
— Trafnie ich pan generał określił.
— Pal ich!... Możemy się do nich odwrócić tylną częścią ciała.
— Mamy za sobą duszę i serce całej dzielnicy.
— Prawda. Toż naród cały woła do nas: na Gdańsk!
— On, Bogu dzięki, da się porwać do wielkich poczynań i dzięki temu możemy w Polskę wierzyć. Tylko ta hołota skomli mądrze po kątach. A doprawdy rzeczy tak stoją, że byłoby szczytem nieróbstwa, niedołęstwa, gdybyśmy nie pofatygowali się wziąć Gdańsk. Chwila prosi się, by naprawić wielki błąd historji i ugruntować naszą władzę nad Bałtykiem.

Grudzielski wyprężył się dumnie, bo Żabicki wyjaśnił mu, do jak wielkiego dzieła przykłada on rękę. Zasługę jego podkreśli historja.
— Tymczasem, panie generale, jutro wkraczamy do Torunia... Raporty są tego rodzaju, że jadę zaraz do Solca, by jutro z naszymi Kujawiakami zająć to miasto, zaczem pan generał zechce przyjechać do Torunia z chorągwią naszego korpusu.
— Dalibóg! sławna to będzie chorągiew... — westchnął wzruszony generał.

Nazajutrz Toruń, zajęty bez strzału, święcił wiekopomne w swych dziejach święto. Na rynku rzęsiście iluminowanym rozbrzmiewał mazurek Dąbrowskiego, a przed pomnikiem Kopernika, gdzie widniał Grudzielski ze swym sztabem, komitet obywatelski ze swym wieńcem w ręku i łzą w oku, witał zwycięskiego żołnierza polskiego, co przynosił miastu wolność.

Nie popasając w Toruniu, Żabicki powrócił do Bydgoszczy w towarzystwie kapitana Szczerby i tam dopiero w pokoju hotelowym, mógł pogadać z nim spokojnie i przedłożyć mu swe postulaty.

Pokumali się na gruncie sympatji dusz i wzajemnego zrozumienia, a stosunek ich nabierał gorętszych tonów przez uwielbienie z jednej strony, a wdzięczność z drugiej. Szczerba gotów do usług, poprostu czekał na instrukcje.

— Zdziałałeś już bardzo wiele — zauważył Żabicki — najwięcej przez to, żeś zjednał dla naszej sprawy umysły i sympatje tych, co dzierżą w Warszawie rządy. Nie na tem koniec. Teraz czeka cię większe zadanie... Ale najpierw drobnostka. Czy nie mógłbyś zluzować załogi toruńskiej przez dwa lub trzy bataljony ochotników? Moglibyśmy umundurować ich tu z niemiecka, aby upodobnić do powstańca. Zależy mi na tem z tego względu, że mych Kujawiaków mogłoby mi zabraknąć nad Bałtykiem.

— Czy spodziewasz się tam wielkich walk?

— Nie obejdzie się bez bitwy. Powtóre, czy po wzięciu Gdańska, mimo wszelkie tarapaty, nie zerwie się w Niemczech straszna burza protestów? Czy nie sformułują się tam kadry, nie pocznie krucjata przeciwko nam? Być może, iż, nie lekceważąc Niemców, przeceniam ich i ich potencjalność. Wystrzegam się bowiem lekkomyślności polskiej, kalkulowania życzeniami i złudzeniami.

Kapitan był przekonany, że myśl wkroczenia do Torunia ogromnie spodoba się tym drużynom, które przed bitwą pod Solcem alarmowały Rossbacha na pograniczu. A zatem ubito tę sprawę na krótkiem toporzysku, zaczem Żabicki ciągnął:

— Po drugie, nie w interesie korpusu, lecz Rzeczypospolitej, zalecam wam gorąco natychmiastowe formowanie straży granicznej — straży fikcyjnej, papierowej, która w rzeczywistości wyrażałaby się w dobrze uzbrojonych oddziałach w Mławie, Szczuczynie, Grajewie, tudzież w Augustowie i Suwałkach.

— Aż tam?

— Aż tam — uśmiechnął się Żabicki. — Niewiadomo co za sposobność nastręczy nam jeszcze Pan Bóg, łaskaw na Polskę... A jeżeli nastręczy, niechaj się okaże, że łaska Jego spływa na naród tego godzien, na naród, który z tego korzystać potrafi.

— Ale taką straż trzebaby czemś upozorować.

— Nic nad to łatwiejszego. Prasa warszawska pocznie lamenty i skargi z powodu, że Grenzschutz rozpasany przekracza granicę, napada na osady, rabuje, nawet morduje. Oczywiście przytoczy nazwy tych osad i poszkodowanych ludzi.

— Wcale niezłe kłamstwo.

— Zrobione na modłę niemiecką. Bez kłamstwa człek nie zajedzie daleko poza obręb swej parafji. Ale oczywiście kłamstwo jest zbyt wartościową i cenną rzeczą, aby posługiwać się niem codziennie, nagminnie, nałogowo, bez umiaru, smaku i artyzmu. Ale... teraz przechodzimy do ważnych rzeczy.

— Co takiego? — zawołał Szczerba ciekawie, gdy Żabicki pogrążył się w zamyśleniu.

— Dałeś nam wymowne dowody, że posiadasz w Warszawie wpływy nadzwyczajne, ogromne... Wkrótce ma wyjechać z Francji do Polski korpus Hallera. Niemcy poczynają wściekle wierzgać przeciwko wylądowaniu tego korpusu w Gdańsku. Nie w ciemię bici... Otóż niechaj nasza reprezentacja w Paryżu staje na głowie i z djabłem się kuma, ale musi postawić na tem, by korpus ten wysiadł w porcie gdańskim. Musi! To, mojem zdaniem, Warszawa musi nakazać imperatywnie naszej delegacji, która przecież będzie miała tam za sobą Francję w tej sprawie jak w każdej innej. To nie leży wcale poza granicami potencjalności naszej tak dobrej delegacji. Nie wiem jednak,

czy wszystkie nasze czynniki doceniają ogromną, wręcz ogromną, zasadniczą zarówno jak praktyczną doniosłość tej pozornie błahej sprawy.

— Czy ty bez tego korpusu nie utrzymałbyś się w Gdańsku?

— Ja tego korpusu nie potrzebuję. Jak zawsze liczę na siebie. Ale potrzebuje go tam Polska... Wylądowanie tego korpusu w Gdańsku, to pogodzenie się mocarstw z faktem okupacji tego miasta przez korpus Grudzielskiego, to już przyznanie Polsce Gdańska. A fakt ten, obecność tego żołnierza, za pozwoleniem mocarstw lądującego u ujścia Wisły, jakby w celu oficjalnego zatknięcia tam sztandaru polskiego, zrobi w Prusach Wschodnich wręcz ogromne wrażenie. Zarysowują mi się tu ewentualności poprostu fantastyczne... Ale dość o tem narazie. Proszę cię, błagam, byś Warszawę i delegację naszą paryską naszpikował najwyższą, niezłomną energią w tej sprawie.

Szczerba uprzytomnił mu jak daleko sięgają jego wpływy w Warszawie i zastanowił się co i jak wypadałoby mu tam przedsięwziąć w tej sprawie, zaczem Żabicki zawołał:

— A teraz stawiam ci przed oczy inne, wielkie zadanie... Jeść i jeść wołać będzie wkrótce z nad Bałtyku nasz żołnierz; trzeba zatem zelektryzować społeczeństwo, stworzyć prowianturę...

— Wobec szalonego entuzjazmu, jaki wzbudzi w kraju zdobycie Gdańska, nie będzie to rzeczą trudną.

— Ale musicie dostarczyć także jadła za niską cenę mieszczuchowi gdańskiemu. To polityka.

Na to Szczerba roześmiał się w głos i długo uśmiech nie schodził z jego otwartej, dobrej twarzy.

— Dalibóg, ty masz swoistą politykę. Najpierw chcesz wygarbować gdańszczaninowi skórę, a potem posadzić go przed pełną miską.

Sobiesław nie zaprzeczył temu; przeciwnie, po namyśle rzekł:

— Pytanie, czy nie zalecałoby stosować tę metodę także w domu... Na wstępie dostanie Gdańsk rzetelne baty. (Jedyny środek leczniczy na wściekliznę antypolską). Przez taką niezbędną lekcję zrozumie dokumentnie, że Polak zdobył to miasto sam swoją mocą, że je posiada prawem pięści, daleko więcej imponującej od praw pisanych, że Polak to wojak, co nie da sobie wydrzeć Gdańska, że to możnowładca, z którym nie można zadzierać, ani żartować. Pod orłem białym na ratuszu gdańskim zawiesimy bat. A potem mieszczuch gdański dowie się, że wielki ten pan posiada słoninę dla grzecznych, szarych myszy. Gdybyś był ze mną zaglądał w garnki tego głodomora, pojąłbyś jak przyjmie polską słoninę cały

Gdańsk. Niechaj inauguracja rządów polskich słodką czy tłustą mu będzie!

Przeniesiony całą istotą do swego gwiezdnego celu, Żabicki zarżał, jak młody rumak i zerwał się na nogi, jakby chcąc lecieć zaraz na ów Gdańsk, by go zdobyć, by zapracować dla Polski na przystęp do morza i granitem podmurować tron mocarnej Rzeczypospolitej nad morzem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Podporucznik Kwaśniewski nieraz chmurzył się i mroczył, bo rwał się od kancelaryjnej pracy w sztabie do czynu. Zdawało mu się, że chociaż w bitwie pod Solcem nie próżnował wcale, Żabicki zszeregował go w swem pojęciu z wygodnymi adjutantami Grudzielskiego, zepchnął do rzędu mniej lub więcej użytecznych biuralistów. A on przecież nie darmo został czasu wielkiej wojny „zastępcą oficera". Ucieszył się przeto bardzo, gdy Żabicki powierzył mu misję bojową.

Przed śmiałym skokiem aż nad Bałtyk należało usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, na jakie po wyjściu korpusu ekspedycyjnego mogła być wystawiona jego baza i odskocznia: Bydgoszcz. A zatem trzeba było skończyć z Piłą, placówką węzłową na zachodzie, obsadzoną przez świeżo i skrupulatnie zwerbowany Heimatschutz, oraz przez oddział Ber-

lińczyków pod wodzą niejakiego Partenheimera, który zapragnął łatwych, jak sądził, wawrzynów „in der Polakei”. Po zajęciu Piły Żabicki zamierzał przerzucić tam do służby etapowej przeznaczoną część załogi Nakielskiej i tak opanować ważną linję kolejową: Piła-Chojnice-Tczew.

We dwa dni po uroczystem zajęciu Torunia, Kwaśniewski i Szelążek wzmocnili dwoma baonami znakomicie słaby oddział powstańców w Chodzieży i zaatakowali Piłę. A skoro uwikłali wszystkie siły niemieckie w walkę nastąpił główny atak od strony Bydgoszczy pod wodzą Stankiewicza, z tym wynikiem, że oddział Partenheimera wycięto w pień, a Heimatschutz pobity na głowę, rozprysnął się niby bańka mydlana, pozostawiwszy Polakom nieco artylerji, potrzebnej im amunicji i niemało taboru kolejowego.

Los tego miasta, stróżującego nad północnemi kresami Poznańskiego, był zgóry przesądzony, gdyż Polacy byli w większości. Nie wszystkie ich siły brały udział w tej akcji i Żabicki spokojny o finał tej rozprawy, powrócił wnet do Bydgoszczy, objęcie miasta Piły oraz etablowanie tam polskiej placówki poruczywszy pewnemu starszemu oficerowi z armji niemieckiej.

W Bydgoszczy wrzało i kipiało, jak zwykle przed wyprawą korpusu. Kawalerzysta ze sztabu gen. Muśnickiego, Janicki powoływał do

życia sotnię jazdy, kapitan Keler organizował nowe baony z licznych ochotników z nad Wisły i Warty, wyznaczał wojska etapowe, odbywał skrupulatne inspekcje artylerji. A w wydziale żywnościowym czyniono nadludzkie wysiłki, by zaopatrzyć korpus w jaknajbogatsze zapasy prowiantów, na co Żabicki szczególniejszą zwracał uwagę.

W tym czasie odbył się w Toruniu liczny zjazd najwybitniejszych obywateli polskich Prus Zachodnich. Wyłoniła się z niego na wzór Poznania Naczelna Rada Ludowa, która objęła rządy w oczyszczonej od Niemca części tej prowincji. Wydała odezwę wzywającą wszystkich mieszkańców do podporządkowania się władzom polskim, wyznaczyła starostów, a podatki przeznaczone dla Berlina, przelała do kasy korpusu, który całą tą ziemię miał wyrwać ze szponów orła czarnego.

Przybyło na ten zjazd pokryjomu, kilku obywateli ziemskich z powiatu Sztumskiego, ongi województwa Malborskiego, z którymi Żabicki toczył ważne narady. Zasięgał od nich języka nietylko o siłach zbrojnych Niemców w dawnych tych Krzyżackich posadach, lecz o położeniu rzeczy na prawym brzegu Wisły i o nastrojach wschodnio-pruskich.

Wróciwszy do Bydgoszczy, zastał tam już Stankiewicza i Kwaśniewskiego, którzy częstowali go różnemi szczegółami z bojów i ucieczki Niemców z Piły. Dwaj zwycięscy oficero-

wie mieli wszelki powód, by zacierać ręce i chlubić się swą robotą.

Mimo to Kwaśniewski bąknął:

— Ostatecznie niewielkie były rzeczy. Przy naszej przewadze liczebnej...

— A ty-byś chciał, abyśmy byli w mniejszości?! — wpadł Żabicki.

— Niekoniecznie, ale... niewielka była sztuka.

— Mój drogi, my nie jesteśmy od tego, by dokazywać sztuk, lecz poprostu od tego, by zwyciężać... Zaprawdę dość już było w przeszłości tych potyczek, w jakich garść powstańców ciskała się na setki przeciwników; dość tych więcej urojonych, legendarnych, niż rzeczywistych bohaterstw, heroizmów i cudów. Dość tego. Bo czem skończyłyby się te bohaterstwa i cuda odwagi?... Mój Wacku, zostawmy cuda niebu, a co się tyczy bohaterstwa, to bądź pewien, że i tak pewnego poranku męstwo twe będzie przez los wystawione na próbę ogniową. Nie szukaj okazji do bohaterskich czynów, ona ciebie poszuka... Dzisiaj, my nowocześni Polacy chlubić się będziemy tem, że przecież nareszcie zmądrzeliśmy i umiemy tak się urządzić, że występujemy na plac boju w przygniatającej wroga większości. Teraz nie będzie już bohaterstw, ale nie będzie także nieszczęść narodowych.

— Prawda, zwycięstw nam potrzeba — wtrącił Stankiewicz.

— Niestety, dawniej tak nie bywało — mówił jeszcze Żabicki. — Wiesz ilu żołnierzy prowadził Kościuszko w bój pod Maciejowcami? Rozumiesz, pod Maciejowcami! Wiesz!?... Mój Wacku, ja ci nie wykrztuszę cyfry, bo dalibóg wstyd mnie pali. Wstyd, że w tej rozprawie, gdzie na szali ważyła się kwestja: być albo nie być, tysiące i tysiące Polaków, zdolnych do korda, uważało za stosowne nie być... Otóż masz, byliśmy w mniejszości. I jaki był koniec?...

Obaj porucznicy w skupieniu brali w siebie te uwagi nowoczesnego Polaka, który w nieszczęściu narodowem widział nikczemność narodową, i przejmowali się jego pojęciami.

— Nam nie trzeba tyle bohaterstw — zauważył Stankiewicz — ile raczej wysokiego poczucia obowiązku w szeregach wojska i narodu.

— To mamy w naszych szeregach i na tem budujemy Polskę — rzekł Żabicki i dodał z emfazą: dlatego korpus nasz tak świetny, wzorowy.

— A jednak jakże małym narodem i nikłem państwem byliśmy bez bohatera...! — wtrącił Kwaśniewski.

— Trzeba wodzów, to rzecz oczywista. Tłum to materjał. Z tego wielki generał tworzy wielką armję, wielki mąż wielki naród, wielkie państwo. Nas stworzył kiedyś Bolesław Chrobry — rzekł Żabicki.

— Teraz znów wydobywamy się z chaosu — wtrącił Stankiewicz. Pytanie czy nie trzebaby nas stworzyć raz jeszcze...

Zamyślili się, a oczy dwuch oficerów podniosły się na Żabickiego.

IX.

Dnia 2-go kwietnia na dworcu w Tczewie powiewała polska chorągiew. Przed jego murami czerniły się pociągi z amunicją i żywnością. Stróżowało nad tem kilkunastu powstańców z karabinami i gawędziło wesoło, wspominając świeże przejście bitewne. Z twarzy ich biło ogromne zadowolenie.

Tymczasem przez dziedziniec dworcowy przewijały się co chwila figury żołnierskie. Sterczało tam kilka armat, samochodów pancernych i ciężarowych i świeciło w oczy mieszczanom, ciekawie przyglądających się z ubocza poczynaniom Polaków, którzy tak szybko opanowali Tczew.

A nie obyło się bez poważnej walki, o czem świadczyły tam dwa doszczętnie zburzone domostwa, jakie służyły Niemcom za reduty. Zanosiło się nawet na bardzo ciężkie boje, gdyż obrońcy Gdańska, poczytując Tczew za bramę swej metropoli, rzucili tam tak znaczną siłę, jakby pragnęli nietylko powstrzymać kor-

pus Grudzielskiego w marszu na Bałtyk, lecz walną rozegrać z nim bitwę.

Jakoż w tych murach, gdzie Dąbrowski w krwawych bojach gromił Prusaków, zwarły się raz jeszcze żywioły. Rozgorzała zażarta walka o dworzec, lecz wbrew oczekiwaniu miasta, już w trzy godziny poczęła się rejterada kolumny Gdańskiej.

Albowiem Żabicki niespodziewanym manewrem zaatakował zaraz znaczną siłą linję odwrotową nieprzyjaciela. Punkt ciężkości bitwy przeniósł się wtedy nad tor kolejowy. Wprawdzie Kwaśniewski był w tym wypadku w obliczu przeważającego liczebnie wroga, bo pułkownik Schellenberg, który szukał tam odwetu za Solec, rozmieścił na odcinku do Skowarcza poważne swe rezerwy, lecz animusz i sprawność żołnierza wielkopolskiego, który sam wiedział co i jak czynić należy w każdym wypadku, odniosły wnet przewagę nad zastępami bezdusznych lancknechtów.

Miasto atakować, wypierać najeźdźców, Niemiec znalazł się w pozycji obronnej, gdyż zagrożono mu na tyłach odcięciem od Gdańska i oskrzydleniem. Więc Schellenberg ściągnął ukryte przy dworcu bojówki wschodnio-pruskie. W czołowych pozycjach fortyfikowanych zaś ujawnił się niepokój. Powiększyły go cztery latawce polskie, sparaliżowały one agresywne zamiary Niemców i, gdy Kujawiacy porucznika Cymsa wtargnęli w zabudowania ko-

lejowe, zachwiała się cała ta linja bojowa, a złamała się, skoro Żabicki rzucił na nią świetne drużyny Wachtla.

Poniechawszy większą część artylerji, czołowe zastępy te połączyły się z rezerwami Schellenberga, i podjęły na niekorzystnym dla siebie terenie walkę o przystęp do wagonów pancernych. Krew polała się tam obficie. Wśród szalonej kanonady Niemcy ratowali się ucieczką, przyczem zajadły żołnierz Wachtla i Kwaśniewskiego zgarnął zgórą czterystu jeńców.

A w drodze do Gdańska zaskoczyła Schellenberga przykra niespodzianka. Pod Skowarczem strzelcy konni rotmistrza Janickiego zerwali tor i z dobrego ukrycia przywitali Niemców maszynówkami. Nim położono nowe, zapasowe szyny, nadjechały w pościgu polskie automobile pancerne i wywiązała się tam jeszcze potyczka, która Niemców kosztowała kilkudziesięciu rannych i zabitych...

Niemal cała artylerja wpadła w Tczewie w ręce Polaków.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz przez wspaniały most na Wiśle ruszyła długa procesja samochodów pod wodzą Czudowskiego w stronę Malborga. W trop za nimi wyjechał pociąg wojskowy.

Bojówki sformowane w tym grodzie krzyżackim przywołał Schellenberg na bitwę tczew-

ską, więc Polacy zastali miasto bezbronne. Armaty, jakie mieli z sobą, posłużyć miały wyłącznie do zaimponowania ludności, której wrażenia udzielały się natychmiast Kwidzyniowi i promieniowały daleko, aż do Prus Wschodnich.

W Malborgu przeżył Żabicki moment historyczny, niezapomniany do śmierci i nad wyraz sercu jego drogi.

Po zajęciu Magistratury, kazał on zwołać burmistrza, radę miejską, tudzież notablów przed niewielki kościół zamkowy, jakby na przegląd okazałej, zgromadzonej tam kolumny okupacyjnej. Żabicki sam w otoczeniu kilku strzelców konnych, stanął na zdobytym w Tczewie ogierze trakeńskim opodal prezbyterjum, w którego wnęce błyszczała na złotym tle gigantyczna figura Matki Boskiej. Obok niego rotmistrz Janicki dzierżył polską chorągiew.

Na jej widok, niby djabeł przed kropidłem, kurczył się i krzywił każdy przedstawiciel tego krzyżackiego gniazda, a burmistrz w czarnem, niedzielnem ubraniu, długo chrząkał nim wykrztusił, że w imieniu miasta oddaje Polakom klucze Malborga „pod przymusem".

Na to Żabicki odpowiedział swym ostrym, okolicznościowo od junkrów zapożyczanym tonem:

— Blisko pół tysiąca lat minęło od czasu, gdy żołnierz polski wielkiego Jagiellończyka wstępował do tego miasta, by w tym zamku,

na tych posadach krzyżackich ugruntować rządy polskie...

— Przypominam wam — zawołał — że krzyżak otrzymał tę dzierżawę nie na to, by Polskę zdradzał i z nią wojował, lecz na to, by jej służył. A że o tem zapomniał, że walczył z Nią intrygą, podstępem i mieczem, spotkała go kara, spotkał go pogrom pod Grunwaldem. W tem mieści się dla was na przyszłość przestroga...

— Malborg był i od tej chwili jest znów siedzibą województwa. Podaję to do wiadomości. Czy miasto poddaje się „pod przymusem" czy innemi kierowane motywami, jest dla mnie rzeczą obojętną. Dość, że wymagam kategorycznie spokoju i posłuszeństwa. Knowania antypolskie zemściłyby się na was strasznie. Każdy strzał oddany w tem mieście do naszego żołnierza okupiłby życiem zakładnik.

Z pokorą psa, przywykłego do bata, wysłuchali ojcowie tego gniazda słów oficera polskiego i nabożnie zdjęli kapelusze, gdy dobosz uderzył w bęben i żołnierz prezentował broń przed wzniesionym sztandarem polskim. Zaczem okrążywszy mury zamkowe, kolumna wtargnęła przez fosę na ogromny dziedziniec Wysokiego Zamku Krzyżaków i objęła go w posiadanie.

Na wieżycy i na gmachach zawisły chorągwie biało - czerwone. A władzę nad miastem

i województwem objął pewien zasłużony i światły obywatel z pod Świecia. Jako załogę pozostawił tam Żabicki poważnie w bitwie tczewskiej zakrwawiony oddział kujawski oraz silną artylerję. Podlegało to komendzie kapitana Kelera w Tczewie, który miał pozostać na tej dominującej placówce, formować oczekiwane drużyny rezerwowe i zabezpieczyć plecy kolumnie, gotowej do marszu nad Bałtyk.

— — — — — — — — — — — — — — —

Odrzuciwszy gazetę niemiecką Grudzielski ozwał się do adjutanta swego Morozewicza:

— Piorunują na nas, jako na „bandytów", wpadają w trans wściełości. Apelują do ministra wojny, grożą nam pomstą Wotanów. „Deutsche Zeitung" ogłasza przeciw nam i Poznaniowi świętą wojnę. O mnie i o was mówi: „zgraja zdradzieckich oficerów niemieckich i kondotjerów polskich"... Hm, mogliby jeszcze zwerbować chmary hałastry pod jaką nową nazwą, ale przekonaliśmy ich przecież, że to nic nie warte. A oficer sam nic nie wskóra. Podobno w Szczecinie tworzy się bojówka. Nie ośmieli się jednak chyba wystąpić przeciwko nam.

— Po Solcu powstał taki sam krzyk, a rezultatem tego była tylko bojówka Partenheimera, którą djabli wzięli tak, iż nikogo na nasienie nie zostało — rzekł Morozewicz,

a stary generał w futro otulony, chodząc drobnemi krokami po nadmiernie wysokim, stodołę przypominającym pokoju naczelnika stacji tczewskiej, uśmiechał się pod wąsem i rozmyślał głośno:

— A tośmy wczoraj Malborgowi urządzili prima-aprilis, he, he...

Na to wszedł do pokoju Żabicki.

Wysechł w ostatnich czasach, lecz nabrał jeszcze więcej sprężystości, a w źrenicach jego palił się uśmiech.

— Przynoszę panu generałowi nowinę... Za jakie półtorej godziny stanie tu delegacja Volksratu Gdańskiego. Zjawił się przed naszą widetą jej goniec z prośbą o audjencję dla niej.

— Co mówisz?! Delegacja? Do stu djabłów, to Gdańsk zamierza się poddać, co?

— Tak się zdaje.

— Zdaje? To chyba jasne. Nie przyjeżdżają tu po to, by nam winszować zwycięstwa, he, he... A to szwabom rury zmiękły, he, he.

— Próbowali bronić Gdańska w Tczewie, a skoro im się to nie udało, nie pozostaje im rzeczywiście więcej nic, jak poddać się, ale to nie obejdzie się bez korowodów, piruetów, bo to podstępne huncwoty!

— Myślisz? No tak, chytra to banda.

— To też Rotgier w „Krzyżakach” myślał sobie, że polskie plemię zawsze będzie łupem i karmią Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka. Ale przestaliśmy być

muchą! To się skończyło, i dopóki ja żyję, nie będziemy muchą...

Grudzielski zatrwożył się trochę przed rokowaniami z tymi krzyżakami. Skarżył się na ziąb w istocie panujący w tym pokoju, kazał napalić w piecu, a Krynickiemu polecił, by wydobył z jego walizki butelkę koniaku. Tymczasem Zabicki medytował nad czemś głęboko. Wreszcie zwrócił się do Morozewicza:

— Niech pan podporucznik śpieszy i wyda w imieniu komendy a według swego uznania takie rozporządzenia, by delegacja gdańska, przejeżdżając przez miasto, odniosła wrażenie, że żołnierz nasz jest w usposobieniu karnawałowem, a nadto, że w najbliższych godzinach wyruszy na Gdańsk. Możnaby zwołać wiarę na rynek. Niechby muzykanci zagrali, a żołnierze zaśpiewali tym szwabom polskie pieśni. Tego Tczew nie słyszał jeszcze w swem życiu... Pan podporucznik na koniu, z kilkoma strzelcami konnymi, przewiezie delegację tę przez miasto i dostawi tu do pana generała.

— Krynicki siadaj także na koń i jedź z panem podporucznikiem! — dorzucił generał, chcąc zostać sam na sam z Zabickim.

Przez chwilę drepcił po pokoju widocznie stropiony, wreszcie polecił Zabickiemu, by przyjął delegację w jego imieniu. Sam zaś przeszedł do sąsiedniego pokoju, chcąc ukryć się za uchylonemi drzwiami i przysłuchiwać rozprawie.

Tymczasem Żabicki rozpostarł ogromną mapę, złożoną z sekcji map niemieckiego sztabu generalnego, położył na niej arkusz papieru i w głębokim skupieniu jął kreślić na nim akt kapitulacji miasta Gdańska.

Wkrótce ukazał się Krynicki i zawiadomił go o przybyciu delegacji. Gdy wkroczyło czterech, ciemno ubranych mężczyzn, Żabicki nie podnosząc się z krzesła, strzelił zimnem okiem zpodełba w ich twarze i odniósł wrażenie, że rekrutowali się z kilku kategorji. Przedewszystkiem wpadł mu w oko skutkiem swego niezmiernie wysokiego wzrostu wytworny mężczyzna z monoklem wiszącym na kamizeli. Nie można było nie domyślić się w nim prezydenta miasta Sahma.

Dopiero, gdy zbliżyli się oni do stołu, szef sztabu raczył podnieść się na nogi jakby z łaski.

— Pan generał niema czasu na żadne konferencje — ozwał się sucho. — Upoważnił przeto mnie, jako szefa sztabu, do wysłuchania panów.

Zapytał ich o legitymacje, odczytał po kolei przedłożone karty. A gdy spojrzał na legitymację czwartego pełnomocnika, spytał ostro, jakby zdumiony:

— Pan prezydent Sahm?

— Tak jest.

— Winienem się panom przedstawić; jestem pułkownik Żabicki. A teraz — podniósł głos

— muszę panom oświadczyć, że z delegacją w takim składzie rozmawiać nie mogę i nie będę... Panowie zdają się zdziwieni. Nie mogę przyjmować w charakterze mandatarjusza p. prezydenta Sahma pod żadnym warunkiem, gdyż figuruje on na liście przestępców wojennych, i to tych, co Polskę obrali sobie za teren swych przestępstw...

Zapanowała cisza, jakby makiem posiał.

— O tem nie wiedzieliśmy... — wyrzekł zcicha skonfudowany wielce delegat, p, Reinke, zażywny, duży mężczyzna z twarzą rzeźnika.

— Panowie przybyli napróżno. Ja nie przyjmę wogóle delegacji, dopóki na czele Gdańska stoi przestępca wojenny, inkryminowany przez Polskę.

Konsternacja delegatów była zupełna. Spozierał jeden na drugiego, a Żabicki sterczał przed nimi sztywny i zimny jak filar.

— Wobec tego... — wycedził trzeci delegat p. Berliner — chcielibyśmy udać się na poufną rozmowę, by zastanowić się, co nam wypada czynić.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Żabicki, zadzwonił, i gdy ukazał się Krynicki, polecił mu, by przeprowadził ich do ustronnego pokoju parterowego.

Skoro drzwi zamknęły się za nimi, wynurzył się z ukrycia Grudzielski.

— Cóżeś ty zrobił mądrego?! Przez swą butę uniemożliwiłeś rokowania! Bo przecież

na twe żądanie nie zmienią prezydenta, i to na poczekaniu.

— Zobaczymy, jak rozgryzą ten orzech...

— Zaraz na wstępie chlasnąłeś ich w łeb.

— To konieczne, jeśli mamy rozmawiać z Prusakami rozsądnie.

— Sahm czy nie Sahm, to obojętne, byle poddali się i basta.

— A cóż nam przyjdzie z kapitulacji?

— Jąkto co?... — wyrzucił generał, lecz nie wiedział, co odrzec.

— Miasto jest bezsilne, niezdolne do oporu. Ma nóż na gardle. Cóż może ono nam ofiarować za to, że łaskawie przyjmiemy kapitulację? Haraczu żądać nie możemy. Kapitulacja winna być tego rodzaju, by przyniosła Rzeczypospolitej korzyść realną, zamknęła sprawę Gdańską i stosunek zobopólny tego miasta do Polski postawiła odrazu na gruncie racjonalnym. Nie my powinniśmy odbierać tą kapitulację, lecz odpowiedzialny za Polskę mąż stanu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Upłynęło pół godziny, gdy znów otworzyły się drzwi przed delegacją gdańską.

Żabicki szarpnął przystrzyżony wąsik i ukrył uśmiech, jaki przeszedł go dreszczem, skoro zauważył, że wśród delegatów zabrakło tyczkowatego pana prezydenta Sahma.

— Niech panowie siadają — wyrzekł z ładnym giestem.

Otyły pan Reinke wystąpił z przemiłą, ocukrzoną oracją, z płynną apostrofą pacyfistyczną. Wskazywał na istnienie Volksratu, jako na wyraz ducha nowych czasów, niosących wieczysty pokój. Ubolewając, że wojna dotarła aż do murów tej handlowej metropolji, wyraził nadzieję, że Polacy, z którymi Gdańsk żył ongi w „przyjaznych” a tak bliskich stosunkach, nie sprowadzą nieszczęścia na to miasto. Byłby mówił jeszcze długo a rozczulająco i usypiająco, gdyby Żabicki nie był przerwał:

— Z czem panowie przyjechali?

— Pragniemy zwrócić się do pana generała i pana pułkownika z prośbą, by powstrzymali się od bezcelowego wkraczania do Gdańska, ze względu na to, że o losach jego orzeknie w każdym razie nie broń, lecz Konferencja Pokojowa.

— Z propozycjami takiemi nie można się do nas zwracać. Okupacja Gdańska przez korpus wielkopolsko-pomorski pana generała Grudzielskiego jest rzeczą postanowioną.

— Pragnęlibyśmy temu zapobiec — ozwał się śmiało drugi delegat, Werner, który robił wrażenie przedstawiciela sfery wysokich urzędników.

— Zapobiec temu nie można w żadnym razie.

— A czy nie możnaby się odnieść z zapytaniem do Warszawy?

— Powiedziałem wyraźnie, że zapobiec temu nie można! — palnął Żabicki.

— Proszę uwględnić — wpadł słodkawo p. Reinke, jeden z twórców Volksratu gdańskiego, — że okupacja miasta, plagą niedostatku nawiedzonego, byłaby szczególnie przykrą i uciążliwą.

— Nie mamy najmniejszego powodu kierować się takiemi względami w stosunku do miasta hakatystów.

— Hakatystów! — podjął zgorszony p. Reinke, odrzekł się osobiście od tak „zdrożnych” tendencyj i zaręczał, że z objęciem rządów przez Volksrat nastąpiła w mieście cudowna metamorfoza.

— Udział pana Sahma w tej delegacji przeczy temu wyraźnie — odrzekł Żabicki krótko.

— Niestety nie mogliśmy wykluczyć z niej najwyższego urzędnika miasta — tłumaczył p. Reinke. — Ale złożył on teraz deklarację na nasze ręce, w której zrzeka się prezydentury. To mówiąc p. Reinke z dumą i widocznem na twarzy zadowoleniem pokazał Żabickiemu odnośny skrypt.

— Sam fakt, że pan Sahm nie przestał być dotąd prezydentem, dowodzi, jak wielką rolę grają tam mimo wszystko żywioły wyraźnie hakatystyczne.

— Ale ich głos nie może już zaważyć w naszych sprawach. Jakoż bylibyśmy gotowi oddać nasze miasto w ręce pana generała i pana pułkownika z całą ufnością w szlachetność narodu polskiego...

— Przepraszam, że przerywam. Naród polski przęstał już być „szlachetnym". Nie faworyzuje już teraz wcale swych wrogów. Ale do rzeczy.

Skonfundowany p. Reinke zachłysnął się, lecz wyręczył go pan Werner i rzekł:

— Bylibyśmy gotowi oddać nasze miasto korpusowi generała, pod tym wszakże warunkiem, że nie będzie to jednoznacznem z poddaniem się Gdańska Państwu Polskiemu, a powtóre, że pan generał zobowiąże się dostarczyć miastu żywności po cenach dzisiejszych.

Na to Żabicki pobladł z gniewu, uderzył dłonią w stół i wyrzekł tonem lejtnanta do rekrutów:

— Zapytuję, czy Gdańsk poddaje się Państwu Polskiemu bez zastrzeżeń, czy nie?

Delegaci umilkli. Po chwili pan Werner wyraził zdanie, że delegacja nie posiada tak daleko sięgających pełnomocnictw, lecz p. Reinke inne wyraził zdanie:

— Moglibyśmy ostatecznie poddać się pod naciskiem przemocy.

— Poddać się. Czy to znaczy, że panowie oprócz kluczów miasta, oddadzą nam koszary, prochownię, miejsca ufortyfikowane i tam dalej.

— Tak jest — odparł słabo p. Reinke.

— Czy panowie mogą zaręczyć, że przy objęciu miasta i koszar nie napotkamy na zbrojny opór?

— Za większość żołnierzy możemy ręczyć, chociaż wśród opozycji i Volksratu są żywioły wojownicze...

— A zatem kapitulacja Gdańska byłaby gołosłowna. Poddając się pozornie, miasto przyjęłoby nas strzałami.

— Tak nie jest, panie pułkowniku — wpadł żywo p. Reinke i zapewniał, że Volksrat mając po swej stronie większość załogi, wcale do boju nie skłonnej, zaleciłby żołnierzom, by zebrali się w koszarach i oddali je bez strzału polskiemu generałowi.

— Czy panowie zobowiążą się do tego na piśmie?

— Jeśli pan pułkownik życzy sobie...

— A zatem panowie przyrzekną to na piśmie imieniem miasta. A teraz druga sprawa... Zwracam uwagę panów, że poddając się pod „przymusem”, Gdańsk nie pomógłby sobie, lecz zaszkodził.

— Jakto? — spytał zaciekawiony p. Berliner i zdumienie rozlało się po obliczach delegatów.

— Od panów zależy jak ustosunkuje się do Gdańska Państwo Polskie, które, jak wiadomo, i tak otrzyma od Paryża Gdańsk bez zastrzeżeń — począł po chwili Żabicki, wcale

nie tak pewien decyzji Paryża w tej sprawie.
— W interesie miasta i każdego gdańszczanina, już w tej chwili leży, by Polska odnosiła się do tej metropolji jaknajżyczliwiej. A zatem Gdańsk winien w akcie poddania się zaznaczyć wyraźnie, że działa nie pod przymusem, lecz w zrozumieniu stanu rzeczy, wykreślonego w paragrafie trzynastym Wilsona, że w korpusie naszym widzi nie wrogów, lecz przyjaciół i, nawiązując do dawnej ery, wchodzi w skład Państwa Polskiego, pod którego zwierzchnictwem cieszył się zawsze bogactwem, pokojem i rozkwitem.

Coś jakby przerażenie zamknęło usta delegatów.

— Zaprawdę takiego aktu nie moglibyśmy podpisać... — wyszeptał p. Werner i pobladł ze zgrozy i tłumionej wściekłości. Sapał całą piersią i wszyscy delegaci zwiesili głowy.

— Nikt panów do tego nie zmusza — wyrzekł spokojnie Żabicki. — Ale winni panowie zrealizować to, że maluczko, a Gdańsk, dziś już nie opływający w dostatki kuchenne, będzie w razie oporu cernowany i nie otrzyma ni litra mleka z nikąd. Ani od Kaszubów, ani nawet z nizin pobliskich.

— Wtedy ulegniemy przemocy — westchnął zabity p. Werner.

— Ulegniecie przemocy... — podjął Żabicki. Co Gdańsk przez to zyska, nie wiem, ale powiem panom, co straci. Otóż mniejsza już, że

w czasie bojów żołnierz nasz nie będzie miał powodu oszczędzać murów nawskroś wrogiego miasta, ale nie będzie już mowy o taniej żywności, ani... o jakichkolwiek swobodach językowych czy innych dla ludności niemieckiej. Volksrat da broń licznym polskim hakatystom, — straszył ich nieistniejącemi widmami, — a ci zastosują wobec was te ustawy i rozporządzenia, jakie Berlin stosował w Poznańskiem. Dzieci wasze zatem będą musiały modlić się po polsku, irrydenta pójdzie do więzienia, a wywłaszczenie obniży wartość ziemi i nieruchomości. Tak brzmi muzyka przyszłości... Teraźniejszość przedstawi się dla Gdańska jutro niemniej niekorzystnie. Skutki aktu kapitulacji „pod przymusem" dadzą się panom we znaki bezpośrednio. Albowiem głód panujący dziś w Gdańsku zamieni się w mór. A za tę żywność, jakiej Polska nie dostarczy wrogiemu miastu, zapłaci ono haraczem zdobywcom.

— To nie może być... — wyrzucił bez tchu p. Berliner.

— A jednak będzie! — upewnił go spokojnie Żabicki i dorzucił: — Musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia, z gniazdem wrogów, których trzeba „ausrotten", czy z miastem, które w zrozumieniu swych interesów pragnie nawiązać ze stolicą i Państwem stosunki normalne, zdrowe i pokojowe.

Delegaci przypominali żydów na gruzach Jerozolimy. Zabrakło im słów.

— Pan pułkownik mówił o żywności dla miasta... — wycedził pytająco a pokornie zmiażdżony p. Reinke.

— O dostawie taniej żywności z Polski pomówię z panami chętnie jutro w Gdańsku... Naturalnie o ile Gdańsk wyciągnie przyjaźnie rękę do nas. Polska zawsze was żywiła, wyżywi was i teraz.

— Zareferujemy to wszystko Radzie Ludowej — rzekł blady p. Werner — i Rada udzieli panu pułkownikowi odpowiedzi.

— Tymczasem pan pułkownik zechce zawiesić operacje wojenne — prosił p, Berliner z obleśnym uśmiechem.

— To niemożliwe — odparł krótko i szorstko pułkownik i powstał.

Delegaci podnieśli się z krzeseł, skłonili się głęboko i wyszli. Towarzyszył im stucentnarowy szacunek dla owego pułkownika z delikatnie rzeźbioną twarzą, który twardy jak skała, obarczył ich tak bezlitosnem ultimatum.

O nim toczyli długą rozmowę w drodze powrotnej do Gdańska i wydawało im się nietylko, że przemawiał on imieniem Państwa Polskiego, lecz, że ujrzeli oblicze nowej Polski.

— Ist das ein Kerl...! — szepnął przez zęby p. Sahm na nutę najwyższego podziwu i czuł, że wypadnie mu pożegnać to miasto, z któ-

rego świecznika ten przeklęty „Kerl” zdążył go strącić mimochodem.

— Rozpoczynają się dla Gdańska nowe czasy... — uświadomił sobie p. Werner i westchnął ciężko.

X.

Gdy samochód delegatów zbliżał się do Gdańska, pojawiły się cztery samoloty, zmierzające do Wisłoujścia.

— Oni mają nawet samoloty — zauważył p. Reinke.

— I to nam zrabowali — rzekł p. Werner.

— Widocznie wywiad. Jutro możemy się spodziewać ataku, — bąknął p. Berliner. — On byłby gotów nawet zbombardować miasto, ten przeklęty Polak.

— Trzeba natychmiast zawezwać całą ludność do obrony — sądził p. Sahm; ale p. Reinke wpadł na niego ostro:

— Na to, by pogrążyć miasto w jeszcze większe nieszczęście?! Mówi pan jako nie-Gdańszczanin, jako przedstawiciel czasów, które się skończyły. Gdańsk przestał być pruskiem miastem. To fakt. Teraz musi myśleć o sobie nie głową Berlina, lecz swoją własną.

— Przechodzimy pod rządy polskie. O tem nie można zapominać — upomniał p. Berliner.

Bez zwłoki, jeszcze tego wieczora, zwołano Radę Ludową na nadzwyczajne posiedzenie, w którem wzięli udział także przedstawiciele żołnierzy. Namiętne debaty przeciągały się długo, skakano sobie do oczu i zanosiło się na to, że posiedzenie potrwa do białego dnia.

Około drugiej w nocy w toku przemówienia p. Sahma, przerywanego gwałtownemi sprzeciwami, spadło na Volksrat i na uśpione miasto coś okropnego. Raptem zadrżały mury, szyby jęły wylatywać z okien niby płachty, brzęk zmieszał się z potężnym a ponurym hukiem. Zdało się, że przyszło na miasto trzęsienie ziemi, że mury poczną walić się niby domki z kart. Jakby echo salw tysiąca armat powtarzały się basowe, złowróżbne detonacje i fale powietrza niosły w kraj odgłosy strasznej kanonady.

Przerażona ludność wybiegła na ulice, zwłaszcza, że jednocześnie rozlała się nad wszystkiem niesamowita poświata. Stare mury zaróżowiły się w blasku krwawych ogni bengalskich, wieżyce kościołów zawisły niby majaki w górze i strach przeszył miasto dreszczem.

Wyleciała w powietrze prochownia. Olbrzymie łuny ujrzał w Tczewie żołnierz polski i zdało mu się, że Gdańsk iluminuje tak wspaniale na cześć Rzeczypospolitej, która dnia tego pamiętnego święcić tam miała swój ingres.

Tak zapewniał Żabicki w swym rozkazie dziennym, w jakim przypomniał mu, że Wielkopolska i Polska cała woła do niego teraz z monarszym giestem: na Gdańsk!

„Dzielny, kochany żołnierzu! — brzmiał dalej rozkaz. — Nikt cię nie przyprowadził w te dalekie strony, nikt, tylko Twoje gorące pragnienie budowania Polski wielkiej, mocnej i bezpiecznej — nikt, tylko gorąca miłość do wskrzeszonej Matki. I przyszedłeś tu przez krwawe boje, wijąc wianek nieśmiertelnej chwały dla siebie, dla swej dzielnicy i dla Ojczyzny.

„Nadchodzi moment osobliwy — moment koronacji Twego wielkiego dzieła, za jakie Polska wdzięczną ci będzie.

„Najwyższą dumą i najwyższą radością Ty sam, chrobry żołnierzu, wydajesz sobie dzisiaj rozkaz: Na Gdańsk! Nad Bałtyk!"

W istocie najwyższa duma i radość grały fanfary w piersi zastępów, którym danem było kroczyć do ostatecznego celu ogólnych upragnień i marzeń. Każdy z nich słyszał w Bydgoszczy hasło: na Gdańsk! i odczuwał, że sam nosił je zaszyte gdzieś w duszy. Więc podjął je niby sztandar i szedł za wewnętrznym drogowskazem.

Gdy Żabicki ukazał się na mszy polowej, a potem wśród wagonów i samochodów, witał go wszędzie uśmiech serdeczny i spozierano na niego, niby na świętość, bo żołnierz

miłował go więcej niż rodzoną matkę. On to bowiem nadał jego życiu wartość, bo nauczył go zwyciężać i służyć Ojczyźnie.

Z piosnką na ustach ruszył w drogę, czując, że tej wyprawy zazdrościć mu może każdy żołnierz polski. A w godzinę potem wsiadł do samochodu Grudzielski. Prócz adjutantów jechali z nim Żabicki i Wachtel, lekko raniony w ostatnich bojach, z ręką na temblaku.

Nie wyjechali jeszcze z miasta, gdy dopędził ich na motocyklu goniec od kapitana Kelera i oznajmił, że Volksrat gdański dał znać depeszą iskrową, iż pragnie wysłać do generała delegację z żądaną kapitulacją, oraz oficera w celu uzgodnienia sprawy przejęcia koszar.

— Tam do djabła kapitulują! — zawołał generał, który sądził, że Żabicki przeciągnął strunę i Gdańsk zerwie się do beznadziejnego boju.

— No generale! — wybuchnął ucieszony Żabicki. — Czy teraz jaki Lloyd George będzie śmiał, będzie mógł nie przyznać Polsce Gdańska, jeżeli to miasto samo pada Jej na piersi!?

— Ale jednak Schellenberg, Sahm i inni roztrąbią po świecie, że kapitulacja nastąpiła pod presją naszego korpusu — zauważył Wachtel, lecz Żabicki roześmiał się z tego.

— Niech trąbią, będzie to szczekaniem psa na świętą figurę. Bo, mój drogi, taki akt ofi-

cjalny z pieczęciami miasta, to jakby góra olbrzymia, która przysłania wiele rzeczy, — to fakt, którego ani nie obalisz, ani nie obejdziesz. Zresztą pamiętaj, że rozmowy mej z delegacją gdańską nie słyszał nikt okrom pana generała i czterech ścian. Sprawa skończona i Konferencja Pokojowa wyzbyła się niemałego kłopotu. Stało się, Gdańsk na własne życzenie zostaje polskiem miastem...

— Niech cię wszyscy djabli... — klął z radości generał. — Tyś położył ich na obie łopatki, wskoczył im na brzuch i tarmosił ich, miażdżył na śmierć z całą brutalnością.

— To pruska szkoła, generale. Ale w tem jednak nikt Prusakowi nie dorówna — uśmiechnął się Żabicki, przypomniał sobie czekającego gońca i zawołał: — Wracajmy na chwilę do komendy Kelera!

Zawezwano delegację gdańską, by o godzinie dziesiątej stawiła się w Pruszczu, w gmachu magistrackim.

W drodze pod mury Gdańska, mijając pociągi wojskowe i tabory, Żabicki podawał żołnierzom wiadomość o kapitulacji Gdańska i zapanowała wśród nich radość poprostu bezbrzeżna. Tysiączne wiwaty grzmiały i rozlewały się po zdumionych siołach, które nigdy jeszcze nie widziały ani polskiego żołnierza, ani takiej żywiołowej i pięknej radości.

W czasie rokowań komendy polskiej z delegacją Volksratu w Pruszczu dwa hydroplany

niemieckie z Pucka rzuciły kilka bomb w stronę gmachu magistrackiego, chcąc uśmiercić zarówno dowódców polskich, jak i „zdrajców Berlina". Pociski padły na pobliski dziedziniec i zraniły kilka osób. W ten sposób przypomniano Polakom, że na dnie wszystkiego zgrzyta zębami zdeptana furja teutońska.

Wiedział to Żabicki. Wiedział mianowicie, że dawniejsze koszary huzarów we Wrzeszczu stały się twierdzą i ogniskiem junkierskiej frondy Volksratu. Zgromadzono tam kilkuset żołnierzy, jak się zdawało, niezarażonych socjalizmem ani „republikanizmem". Dowódcy ich wściekłym antagonizmem do Volksratu podbechtani, nie chcieli bez boju ustąpić przed Polakami.

Ale Żabicki, który był obejrzał sobie te koszary, wyprawił tam baterję artylerji, zagroził Niemcom swemi samolotami i, gdy świeżo majorem mianowany Stankiewicz, ujął tę redutę w żelazny pierścień i zawezwał załogę do złożenia broni, szeregowcy zrozumieli, że wszczynając bój, zginęliby w kałużach krwi. Więc oczekiwania ich dowódców okazały się płonne. Padło tylko kilka strzałów, a zrozpaczony dowódca, który zrazu rewolwerem próbował zmusić żołnierza do walki, odebrał sobie życie, by nie oddać swej szpady Polakowi.

Zajęcie innych koszar i wejście do miasta odbyło się bez incydentów, nawet z pewną demonstracyjną okazałością, dzięki Morozewi-

czowi. Typowy ten „Paradesoldat" obdarzony poczuciem efektu, zainscenizował to w sposób dowcipny. Chodziło mu głównie o to, by defilada w śródmieściu trwała jaknajdłużej i wzbudziła w Michałku gdańskim przekonanie, że Polacy wkroczyli w daleko większej sile, aniżeli było w rzeczywistości. Jakoż pod jego reżyserją zdarzyło się, że jeden i ten sam baon, jedna i ta sama baterja przechodziły przez Langgasse i Langmarkt dwukrotnie. Strzelcy konni cwałowali tu i ówdzie, niewiadomo w jakim celu, ale dość, że można było ich liczyć na kilka szwadronów.

Morozewicz sam na koniu przedstawiał się wspaniale i niewątpliwie wpadł w oko niejednej Niemkini, gdy zatrzymywał się przed Zieloną Bramą, gdzie ongi Gdańszczanie przyjmowali królów polskich, gdy po komendzie; Prezentuj broń! zsiadł z konia i zawiesił chorągiew polską nad bramą.

Przyglądał się temu z przed fasady Artushofu generał Grudzielski ze świtą, zaczem sam zatknął na ratuszu piękny sztandar swego korpusu z napisem: „Zwycięstwo". Oznajmiły to miastu fanfary, a kilka tysięcy zgromadzonych tam Polaków gdańskich przyjęło to oklaskami i okrzykami.

Oni jedni wylegli tłumnie na ulice. Ludność niemiecka zaś tylko szczupłe tworzyła kordony na chodnikach, tem ciekawiej jednak wyzierała z bram i okien.

Mimo balastu nienawistnych uczuć żołnierz polski zrobił na niej dodatnie wrażenie, bo wyekwipowany był doskonale, dzięki bydgoskiej składnicy garderoby, a forma jego i zacięcie nie uszły uwagi. Imponowało, że natychmiast zaciągano warty przed gmachy rządowe, że zdobywca kładł na to rękę jakby na swą własność. Snać miał do tego prawo. Jakoż Polak, mundurem przypominający Niemca, zbliska poczynał być coraz mniej „przeklętym", zwłaszcza, gdy uprzytomniano sobie, że śladem tego Polaka miały nadejść obfite a tanie zapasy żywności.

Gdy zmierzch zapadał, w zaciszach domowych i knajpach portowych przeciętni śmiertelnicy poczynali godzić się z faktem dokonanym i przewrót historyczny sprowadzono na poziom kuchenny, mówiąc:

— Mnie wszystko „egal". Ten czy ów, czarny orzeł czy biały, byle były zarobki, a w garnkach nie świeciło dno.

— — — — — — — — — — — — — — —

W apartamentach generała zebrało się mnóstwo miejscowych Polaków: adwokatów, lekarzy, kupców, tudzież kilka pań pracujących w stowarzyszeniach i podtrzymujących ducha narodowego wśród trzydziestotysięcznej kolonji polskiej nad Motławą.

Od wybuchu powstania wielkopolskiego i zdobycia Poznania, marzyło im się coś o żołnierzu polskim, wkraczającym do tego gniazda hakatyzmu dla zapewnienia Polsce przystępu do morza, i w tym duchu apelowali do Poznańskiej Naczelnej Rady Ludowej, lecz gdy stało się to rzeczywistością, wydało się snem.

Zrazu niewielu oficerów ukazało się w tem zebraniu, gdyż trzymały ich w koszarach zajęcia nieznoszące zwłoki. Obowiązki gospodarza pełnił elegancki Morozewicz, nalewał wino, jakiego dostarczył łamiący się wpół hotelista, i z miną generalską opowiadał o ostatnich bojach.

— Że zanosi się w Tczewie na poważną rozprawę, o tem ani Toruń, ani Poznań nic nie wiedział. Nie straszyliśmy nikogo, z obawy, by defetyści i pacyfiści nasi, którym wydaje się, że owa Liga Narodów, projektowana przez Wilsona, zapewni Europie wieczysty pokój, nie podnieśli alarmów i nie starali się powstrzymać nas w marszu nad Bałtyk. A rozprawa tczewska mogła była przybrać bardzo poważne rozmiary, gdybyśmy nie byli odkryli w czas pięty Achillesowej Niemców. Rzucili oni do Tczewa bodaj całą swą artylerję, ufortyfikowali dworzec, przypomnieli sobie stare fortyfikacje, zaimprowizowali reduty i djabła by zjadł, kto byłby to zdobył.

— Ale pułkownik Żabicki sam na samolocie zrekognoskował sytuację — wtrącił lotnik

Wernik, który jako pilot, odbył z Żabickim niebezpieczny ten wywiad, i opowiadał jak ich ostrzeliwano.

— Zamiast walczyć o zwycięstwo, Niemcy musieli bić się o swobodną rejteradę — ozwał się dzielny rotmistrz Janicki. — Bo Żabicki zaatakował ich z całą forsą na tyłach. I tak, miasto wyczerpywać żołnierza w długich ciężkich bojach zdobywczych, które bvły by kosztowały wiele krwi, wziął inicjatywę w swe ręce, rozwinął swe siły na terenie dogodnym i przeniósł punkt ciężkości bitwy tam, gdzie Niemiec sobie tego zgoła nie życzył. A Wachtel odrazu wniósł postrach w zastępy niemieckie.

— I jaki! Zdawało się, że załamią się pod pierwszem natarciem — dodał najstarszy żołnierz, Grabicki i dzielił się swemi wrażeniami bitewnemi.

Siwowłosy ten ochotnik, pozostawiwszy w Bydgoszczy jednego ciężko pod Solcem rannego syna, z trzema innymi wojował mężnie i dotarł do Gdańska. Grudzielski — który nie wiele już pytając o Poznań, musiał z natury rzeczy poczynić liczne awanse w swym korpusie — mianował go podporucznikiem i patrjotyczny ziemianin śnił już tylko o tem, by zawieszono mu na piersi krzyż „Virtuti Militari”.

Zasłużył na niego już dlatego, że postać jego nabrała symbolicznego znaczenia w kor-

pusie. Pięknym owiany patrjotyzmem, świecił szeregowcom przykładem i podnosił ich na wyższy djapazon. Z poważaniem spozierał każdy na tego siwego żołnierza, co rzucił wszystko i, miasto paskować, grosze zbijać, poszedł z synami walczyć dla dobra Ojczyzny. Z dumą wskazywano na takiego towarzysza broni.

Gdy około dziesiątej pojawił się w salonie Żabicki z innymi oficerami, Grabicki, korzystając ze sposobności, zbliżył się do niego, pochwycił jego rękę oburącz i łzy zaszkliły się w jego oczach.

— Tobie, wodzu nasz, zawdzięczam najpiękniejsze chwile życia... Z tobą przyszedłem nad Bałtyk, by zatknąć tu chorągiew polską. Nigdy nie myślałem, że dożyję takiego szczęścia... A takich, jak ja są tysiące...

Nim Żabicki mógł temu przeszkodzić, siwy żołnierz przycisnął jego rękę do ust. Łzy zatamowały jego słowa, drżał jak liść miotany burzą uczucia. A Żabicki przycisnął go do piersi.

— To wy zdziałaliście wszystko, wasz duch... Ja tylko byłem posłuszny waszemu nakazowi...

— Ale ty jeden, ty jeden z pośród miljonów okazałeś się tego ducha polskiego synem i świetnym wyrazem... Ty jeden z tego ducha wykułeś czyn dla Ojczyzny ...

Zamilkli wszyscy i z głębokiem wzruszeniem przyglądali się dwum tym żołnierzom, wyjmującym sobie z głębin duszy najszczersze dźwię-

ki. I odczuwali, że Grabicki wyrzekł wielkie słowa, że w Żabickim mieli przed sobą postać charismatyczną, przez niebo zesłaną, którą naród zarówno jak i historja stawią na piedestale bohaterów. Nie rozumieli jego celu, on sam nie widział granicy swych dążeń, lecz w oczach wszystkich był uosobieniem bezinteresownego, wielkiego czynu dla Polski, i zdało się, że z pod wieka sarkofagu zmartwychwstałej Rzeczypospolitej wyfrunął orzeł...

Jeszcze żołnierz i wódz dziękowali sobie za coś wzajemnie a skończyło się na tem, że Żabicki wzniósł zdrowie Grabickiego i jego synów, zaczem adwokat Palędzki ozwał się do Żabickiego:

— Śmiałe i wielkie było to dzieło, jakiego dokonał Korpus generała Grudzielskiego... Nie dziwi mnie to, bo pan pułkownik ma na czole wypisaną odwagę.

— Ja raz tylko w życiu byłem odważny — rzekł Żabicki. — Było to w Szubinie, w przeddzień naszego wymarszu na Bydgoszcz...

— A mimo swą śmiałość — rzekł Palędzki z uśmiechem — pan pułkownik wydaje mi się być prawdziwym „Sicherheitskomisarius".

Na to Żabicki roześmiał się.

— Wolno każdemu ryzykować własną skórę. Ale ryzykować życie tysięcy, dobro miljonów, ryzykować losy narodu, to byłoby lekkomyślnością polską, jakiej wyrzekamy się raz na zawsze. To byłoby więcej niż lekkomyśl-

nością karygodną, bo największym grzechem: głupotą.

— Z tego, co pan pułkownik mówi — podjął dociekły prawnik, przyglądając się Żabickiemu badawczo — dałoby się wysnuć dla Państwa wskazania. Po pierwsze, że trzeba być mądrym i rozumnym, a więc dopatrzeć się okazji do wielkiego czynu i dzieła, po drugie tak śmiałym, by wtedy rzucić na kartę nawet wielką stawkę, a ostrożnym w wykonaniu.

— Trafnie to pan mecenas ujął. Podpiszę to zdanie.

Na chwilę wyszedłszy poza obręb rozgwaru myślami, powrócili w rozkołysane kolisko. Niejeden pragnął pomówić z bohaterem chwili. Grudzielski wszedł z drugiego pokoju i wmieszał się w rozmowę.

— Już ludzie nie wiedzą, jak nazywać naszego pułkownika Żabickiego — mówił. — Czasem bywa komendantem, czasem brygadjerem, więc teraz nadałem mu nowy tytuł... Został gubernatorem Gdańska. Na ten czas przejściowy, nim Polska zawiesi swój sztandar na tym ratuszu i weźmie sobie ten Gdańsk.

— On poddał się Polsce, nie nam — uśmiechnął się z zadowoleniem „gubernator”, a p. Palędzki zauważył:

— To było dla wszystkich nadzwyczajną niespodzianką.

— Największą zaś będzie — podjął dr. Wilczek — dla Konferencji Pokojowej, której Gdańsk wyjął z pod ręki swoją sprawę.

Poczęły się toasty, wylała się elokwencja na cześć Żabickiego, Grudzielskiego, jego korpusu i Rzeczypospolitej. W trakcie tego wszedł do salonu Krynicki, niosąc z poczty plikę pierwszych telegramów gratulacyjnych z Polski.

Skoro Grudzielski wypuścił je z ręki, jeden z oficerów odczytał je na głos nabożnym słuchaczom, a w końcu ktoś zawołał:

— Jezus, Marja! Jaka radość kipi w całej Polsce!...

XI.

Żołnierze otrzymali podwójny żołd i — ostry regulamin. Zakazywano im bardzo wielu rzeczy, więcej niż za pruskich czasów, ale Żabicki sam we wszystkich koszarach wytłumaczył to zarządzenie komendy. Mówił im, że w żołnierzu polskim ludność widzi całą Polskę, że najmniejsze przewinienie czy uchybienienie stawiałoby Polaków w złem świetle, a o to chodzi, by świetny korpus wojska świetne dał wyobrażenie o Polakach. Naogół szeregowiec rozumiał go i przepisom tym przyklaskiwał, bo z powstańca, a nawet „skibiarza” goniącego za „pamiątkami” z wojny, przekształcił się on niewiadomo jak i kiedy w kar-

nego, dumnego z siebie i obywatelskim duchem owianego żołnierza. Zdziałały to jego patrjotyzm i powodzenie.

Żabicki nie ograniczył się na szeregowcach.

— To samo — mówił do oficerów — odnosi się do was. Unikać musimy w stosunku do miasta wszelkich scysyj i zadrażnień, trzymając się dewizy „zdaleka a poprawnie”. Niechaj Gdańszczanie zbliżą się do nas, a nie my do nich. I niechajby tak sam Gdańsk zbliżał się do Polski chłodnej a poprawnej, surowej a sprawiedliwej.

— Dalibóg — zawołał do niego Wachtel — ty osłaniasz teraz Niemca przed ewentualnemi wybrykami żołnierskiemi niby troskliwy opiekun.

— Mój drogi, bat jest zbyt cenną rzeczą, by go dawać do ręki każdemu — odparł Żabicki.

Żołnierz i korpus zaprzątały jego umysł w daleko większym stopniu od spraw z urzędem gubernatora złączonych. Bo traktował on to jako funkcję tymczasową. Sprawy policyjne poruczył kapitanowi Kaczmarkowi, który urzędowanie swe rozpoczął od tego, że zaraz w pierwszą noc urządził raid na spelunki i meliny, gdzie gnieździły się komunizm, spisek i występek. Następnie pracował cichaczem w duchu Żabickiego nad wyrugowaniem z miasta najjaskrawszych hakatystów i żywiołów dla Państwa Polskiego niepożądanych. A wkła-

dał w to cały spryt i zapał, niekiedy pożyczając przytem od Żabickiego bata.

Volksrat przedkładał swe uchwały zastępcy gubernatora, hrabiemu Sierakowskiemu, ekomiście a wielkiemu obszarnikowi z pod Sztumu. On to wziął na siebie niemały kłopot, by zgodnie z przyrzeczeniem Żabickiego dostarczyć zgłodniałemu miastu żywności.

Tymczasem gubernator zajmował się okupacją powiatów kaszubskich, wyprawiał drobne oddziały do Kościerzyny, Kartuz, Wejherowa i Pucka. Natchnął pułkownika Kelera do zorganizowania korpusu w pułki i brygady, w czem gorliwie współpracował generał Grudzielski.

W pierwszej chwili, po zajęciu Gdańska, opuścił on ręce. Zdawało mu się, że skończyło się wszystko i skończyła jego rola, lecz Żabicki wytknął mu cel.

— Oddamy nasz korpus Państwu Polskiemu tak dobrze zorganizowany, tak bogaty w materjał wojenny jak w świeże a świetne wawrzyny. Zdumieje się Warszawa nad korpusem Grudzielskiego. A zresztą...

— Co zresztą?

— Jeszcze nie czas na spoczynek. Nasz korpus jest powołany do jeszcze innych zadań... Niedawno wyjechały do Paryża delegacje z Warmji i Mazurów, by poskarżyć się tam na terorystyczne gwałty pruskie i domagać się tam natychmiastowego zajęcia Olsztyna, Szczytna i Ełku przez wojsko polskie.

W tej chwili ordynans generała zameldował:

— Pan kapitan Szczerba.

Wtargnęła z nim bezprzytomna radość. Teka wypadła z rąk kapitana na widok Żabickiego, rzucił się przyjacielowi na szyję, bełkotał odruchowo, szukał daremnie wyrazu dla swych uczuć. A potem głosił:

— Nie macie pojęcia jak przyjęła to Warszawa. Musieliście otrzymać tysiące depesz, ale to jeszcze nie mówi wam, jak to podniosło na duchu całe społeczeństwo, jakiem poczuciem dumy przeniknęło je... A ja dałem do tego komentarz i powiedziałem prasie, że dopatruję się w tem dążności do samodzielnego wytyczenia granic Rzeczypospolitej. Nie chciałem wprost wyjawić, że to istotnie...

— I cóż ogół na to? — przerwał mu Żabicki.

— Podjął to entuzjastycznie, chociaż nie przybrało to, przynajmniej dotąd konkretnego wyrazu. Nawet te organy, którym doktryna ich nakazuje potępić taki „imperjalizm", przeciwstawiają się tej idei li tylko półtonem. Bo któż, u djabła, może nie podnosić głowy wysoko w obliczu takiego brawurowego rozmachu oręża polskiego, któż może nie podziwiać Wielkopolski, nie klaskać?!

— I hasło to spodobało się, powiadasz? — pytał jeszcze Żabicki, szczypiąc wąsik.

— Ogromnie. A w tej chwili ani ogół ani zapewne wy sami nie doceniacie waszego wielkiego dzieła...

— Jakto? — wtrącił generał.

— Otóż posiadam ze sfer rządowych jaknajautentyczniejsze wiadomości i... doprawdy nie wiem jak wam powinszować. Bo wyobraźcie sobie, że gdyby korpus wasz nie był zajął Gdańska, miasto to byłoby dla Polski stracone...

— Co mówisz?! — krzyknął Żabicki i wszyscy oniemieli. A Szczerba ciągnął:

— Sprawa miała nad Sekwaną taki przebieg. Komisja gdańska pod laską Cambona ustaliła jednogłośnie, nie wyłączając przedstawiciela Wielkiej Brytanji, (którym jest sir William Tyrell), że Gdańsk wejdzie w skład Państwa Polskiego. Ale wobec tego Lloyd George, poczynający na własną rękę a na koszt Anglji politykę filogermańską, wpadł w gniew i dezawuował Tyrella. Usunął go nawet z tej komisji i wystąpił z propozycją ogłoszenia Gdańska wolnem miastem...

— Tam do djabła! — szepnął generał.

— Na szczęście opatrzność zrządziła, że zajęliście Gdańsk. Wieść o tem komisja Cambona przyjęła z zadowoleniem i przedłożyła Lloyd Georgeowi sążnistą depeszę Rządu Polskiego. Czytałem jej kopję. Przytoczono w niej słowo w słowo dokument poddańczy miasta Gdańska, podkreślając, że korpus nasz wiel-

kopolski wkroczył do miasta przyjaźnie usposobionego. A że pobił przedtem w Tczewie na głowę wojsko „cesarskie”, stało się to w interesie Gdańskich żywiołów republikańskich. Przyjęli oni klęskę monarchistów w Tczewie z uczuciem ulgi. Wyzwoliło ich to z pod brutalnej opresji popleczników kaisera i Marsa. Przy wkroczeniu Polaków do Gdańska nie padł ani strzał, przeciwnie, akt zawieszenia chorągwi polskiej na ratuszu oklaskiwały nieprzebrane tłumy Gdańszczan. Tak odmalowano to w tej depeszy.

— To jest polityka, psiakrew — zaśmiał się generał.

— Tak, to jest polityka — powtórzył Szczerba i zawołał: — Genjalną politykę prowadził szef sztabu, że tak pokierował tą sprawę i wydobył z wnętrzności Gdańska ten akt poddańczy... Sobiesławie, tyś odniósł na tej konferencji z Gdańszczanami największe swe zwycięstwo! To najświetniejszy twój tytuł do sławy! Bez tego i bez zdobycia Gdańska, Gdańsk byłby pozostał niemieckim, może forpocztą Berlina i cierniem w organizmie Rzeczypospolitej. Wy wszyscy, co wołaliście: Na Gdańsk! i samorzutnie go zajęli, możecie przypiąć sobie kokardę chwały!...

Po chwili ogólnego milczenia kapitan ciągnął:

— Zbyteczne nadmieniać, że w obliczu tej depeszy Rządu Polskiego, wobec tak niespo-

dziewanego obrotu rzeczy, wobec kapituacji Gdańska i jego stanowiska względem Polski, Lloyd George musiał swój projekt wrzucić do kosza i pogodzić się z wolą... Gdańska.

Uszczęśliwiony Żabicki zaśmiał się w głos:

— Idź i opowiedz to wszystko Volksratowi, a spalą mnie na stosie żywcem w pośrodku Langmarktu!

— To nam kapitan przywiózł nowinę! Czy czytałeś coś o tem w gazetach? — zwrócił się generał do Żabickiego.

— Ani słówka.

— Jest to i pozostanie najgłębszą tajemnicą kuchenną Konferencji Pokojowej.

— My tej tajemnicy z pewnością w Gdańsku nie zdradzimy — rzekł Żabicki.

— Niemniej jednak, — podjął Szczerba żywo — Polska cała będzie wiedziała, że li tylko dzięki waszej genjalnej intuicji i wspaniałemu rozmachowi rycerskiemu, że li tylko dzięki korpusowi Grudzielskiego, który pieśń nasza opiewać będzie po wsze czasy w rapsodach, otrzymało Państwo Polskie Gdańsk i bezpieczny przystęp do morza... Jak mi Bóg miły, Opatrzność sama prowadziła was tym szlakiem Piastów. Niema nic, czem Polska mogłaby odwdzięczyć się wam godnie za to. Stawiliście sobie pomnik sławy na wieki.

Pod muzyką tych tryumfalnych akordów stary generał pochylił głowę i łzy jak groch kapały z jego oczu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Szczerba przywiózł z Warszawy Żabickiemu bardzo dlań pożądaną kopję mapy granicy polsko-niemieckiej, jaką projektowała generalicja francuska, patrząc na to pod kątem bezpieczeństwa Państwa Polskiego. Według tych strategików miało przypaść Polsce stokilkanaście kilometrów wybrzeża morskiego wraz z Lęborkiem i Słupskiem oraz okręg Bytowski. Dotychczas korpus Grudzielskiego rozciągnął swą władzę do słupów granicznych Prus Zachodnich. Chcąc przeto zrealizować wskazania francuskie, wypadło Żabickiemu wkroczyć w obręb Pomeranji.

Nad tem medytował on w wysokiej dostojnej komnacie ratuszowej, gdzie urzędował jako gubernator. Pochylił się nad mapą francuską, dopełniał ją sekcjami map niemieckiego sztabu generalnego, zaglądał w statystykę i książkę etnograficzną, by stwierdzić jak daleko na zachód sięga żywioł polski.

Postanowił wysłać na te zapomniane kresy agitatorów dla rozbudzenia tam poczucia przynależności etnicznej do wskrzeszonego Państwa Polskiego i wywołać ruch do połączenia z Kaszubami zmierzający. W ten sposób chciał przygotować teren do akcji zaborczej, jaką zamierzał powierzyć Kaczmarkowi. Należało przystąpić do tego bezzwłocznie, aby

stworzyć fakt dokonany, zanim Konferencja pokojowa rozstrzygnie sprawę tych granic.

A Warmja? A Mazury? A Litwa? Wysuwało się to łącznie z kwestją pogranicza Pomeranji i Brandenburgji. Nie zapominając o Poznańskiem, gdzie zawsze jeszcze wrzały boje w Zbąszyńskiem. Żabicki wysłał kilka ciężkich dział, zdobytych w Tczewie, na front zachodnio-poznański i wystosował do jego dowódcy list, w którym starał się zapalić go do przyświecającej mu idei samodzielnego wytyczenia granic Rzeczypospolitej.

Z kolei rozłożył przed sobą mapę Prus Wschodnich. Lubił podobnie jak Fryderyk Drugi ślęczyć i dumać nad mapami. A teraz sprawa Warmji i Mazurów domagała się od niego czynu. Poprosił tedy do siebie Szczerbę i debatowali w kwestji, czy nie wypadałoby pchnąć tam przez granicę pruską tych oddziałów, jakie w myśl jego życzeń kapitan legjonów zgromadził w Mławie, Grajewie i Suwałkach. Rozeszły się one wprawdzie w znacznej części w ostatnich tygodniach i nie przedstawiały poważniejszych jednostek bojowych, lecz Żabicki gotów był wzmocnić je przez drużyny swego zbędnego a doskonałego żołnierza, zorganizować i uposażyć w kulomioty. Było to aż nadto, gdyż na Mazurach siła ta nie byłaby natrafiła na żaden, dobrze zorganizowany opór. Atoli kroku tego nie było można przedsięwziąć bez zezwolenia Rządu Polskiego. Więc

Żabicki radził ze Szczerbą nad tem, jak skaptować dla tego planu radcę Jotkiewicza, którego oczekiwał tego wieczora.

W toku tej rozmowy wszedł generał Grudzielski. Grymas marszczący jego maskę, zdradzał, że niósł on w sobie jakąś ważną sprawę.

— Słuchaj-no, Sobiesławie — począł, siadając w rzeźbionym fotelu. — Jakaś niezrozumiała historja... Był u mnie w hotelu przed chwilą dawny mój znajomy, a były poseł do Reichstagu, von Quaist, obywatel ziemski z Prus Wschodnich. Mieszka gdzieś pod Ełkiem. Zdziwiłem się tej wizycie. Bo nie przypuszczałem, aby chciał się on zbliżyć do generała polskiego, i to garbującego pruskie skóry. Tymczasem Quaist, bardzo uprzejmy, jak zawsze, nie mówi o tem zrazu ani słowa. Gada płynnie o przewrotach, biada nad stosunkami, a z tego wynika, że on wcale a wcale nie oburza się na nas z powodu zajęcia Gdańska. Zdaje się uważać to za krok naturalny wobec tego, że miasto to i tak Konferencja Pokojowa przyzna Polsce. (Zauważysz tu jak typowy Prusak patrzy na to inaczej od Polaka). W ciągu naszej rozmowy przekonuję się nawet, że nasz żołnierz, nasze zwycięstwa, a zwłaszcza zdobycie Gdańska imponują mu „ganz kolossal". Częstuję go za to cygarami i kieliszkiem reńskiego. On jedzie w ten deseń dalej, wzmiankuje, że przybył do Gdańska w towarzystwie trzech notabli wschodnio-pruskich i dowiaduję

się, że ci przybysze pałają chęcią poznania mnie, porozmawiania o tem i owem przy kieliszku... Pyta mnie zatem, czy nie zjadłbym z nimi kolacji. Ciekawe?

— Kto to taki? — wyrzucił Sobiesław, topiąc palce w czuprynie.

— Najgrubsze ryby Prus Wschodnich. A więc b. poseł von Oldenburg z pod Iławy, magnacki jego sąsiad hrabia Dohna i b. poseł baron von Gapp, jak podkreśla Quaist, intymny przyjaciel barona von Batockiego, byłego ministra, który rej wodzi całą szlachtą tej prowincji. Co, u djabła, mogą chcieć od nas te podpory obalonego tronu pruskiego?

Złoty uśmiech zadowolenia drgał na licach Żabickiego. Zatarł ręce, zapalił papierosa i bąknął:

— Co pan generał odpowiedział na to zaproszenie?

— Że owszem, że chętnie zasiądę z tymi panami do stołu, ale nie dzisiaj, bo jestem obarczony pilnemi sprawami. Obiecałem dać mu znać, kiedy będę wolny. Oni wszyscy mieszkają w tym samym co my hotelu. Cóż to znaczy? Czego oni od nas chcą?

— Panie generale — począł Żabicki z uśmiechem, drapiąc się po głowie, — czego oni chcą, to jasne. Oni chcą ni mniej ni więcej tylko tego, aby Polska ratowała ich z okropnej kalaputryny...

— Co mówisz?! — zawołał generał, a Szczerba ogromnie zaintrygowany powstał i siadł naprzeciw Żabickiego, by zdejmować mu z warg każde słowo.

— Czy Quaist mówił co o Polsce? — spytał generała Żabicki.

— Mówił, że Polska wyrasta odrazu na duże, żywotne Państwo, że jak Feniks powstała z popiołów, że z Gdańskiem i Górnym Śląskiem może odegrać rolę mocarstwową.

— I ze wszystkimi junkrami wschodnio-pruskimi, ha, ha! — zaśmiał się Żabicki. — Panie generale, to jest wielka rzecz, wymarzona, nieprawdopodobna, a jednak w tej chwili całkiem naturalna... Mówiłem zawsze: wybiła godzina Polski. Tylko z tego korzystać, tylko okazję chwytać za łeb!... A, panie generale, możemy sobie powiedzieć z radością, że jeżeli te Prusy Wschodnie idą ku Polsce dzisiaj, jak baranek, pokorne, to my przyczyniliśmy się do tego w znacznej mierze przez Solec, Tczew, a mianowicie Gdańsk i Malborg. Za Szubin dostaliśmy w nagrodę Bydgoszcz, za Solec Toruń i prawy brzeg Wisły, za Tczew Gdańsk, a za Gdańsk... Słowo daję, otwierają się perspektywy wprost bajkowe, fantastyczne!...

Zerwał się na nogi i przeszedł przez komnatę w obłoku słonecznego zamyślenia. A Grudzielski i Szczerba poczęli szturmować doń o wyjaśnienie. Więc siadł i mówił:

— Ich położenie jest nad wyraz fatalne. Ster rządów i wszystkich spraw wydarły im z rąk Volksraty, t. j. demokraci, republikanie i półbolszewicy. Więc strach okropny spadł na ten żywioł przed komunizmem, wywłaszczeniem, nędzą i wszelkiemi plagami egipskiemi. Nadomiar już teraz odcięto ich od Vaterlandu. Prawda, że po obaleniu tronu, ten socjalistyczny Vaterland postradał dla nich lwią część uroku, niemniej jednak, bliżej ośrodka kraju, mieliby moralne oparcie w masach, jak oni pobitych i zatrwożonych junkrów. Tymczasem teraz czują się nagle wyspą, i to wyspą trzęsieniem ziemi nawiedzoną. Za ich plecami zaś, w ich Hinterlandzie podnosi się z popiołów potęga wielka jak góra... A gdy uświadamiają sobie, że ten nowotwór groźny wyciąga ręce po Warmię i Mazury, że na zachodzie posiada on stróżujące nad nimi reduty: Gdańsk i Malborg, duch ich opada w buty. Grożą im zagładą dwie pięści: Polska i komunizm. Przed Polską niema ucieczki. Poczęli zatem, jak Gdańsk myśleć własną głową, i, aby nie utonąć, chcą poddać się Polsce w nadziei, że Polska obroni ich przed komunizmem i pozwoli im żyć...

— Fantazjujesz, Sobiesławie! — zawołał Grudzielski.

— Może ja rzeczywiście rozhulałem się życzeniami... — zastanowił się Sobiesław i sumitował. — Ale olśniły mnie perspektywy cudowne, jak fatamorgana. Bo przecież tu moż-

ñaby naprawić największy błąd naszej historji, który Rzeczpospolita przypłaciła życiem a naród niewolą. Tu możnaby zlikwidować sprawę wschodnio-pruską i położyć rękę na wybrzeżu Bałtyku do Kłajpedy... Ćmi mi się w oczach...

Przeszedł przez pokój w skupieniu, potem stanął przed Szczerbą i rzekł:

— Gdybym ja mógł mówić z tą delegacją w imieniu Państwa Polskiego!..

— Mów! Buduj Polskę dalej! — zawołał Szczerba.

— No... — bąknął po chwili Żabicki — ja pogadam z nimi jak ot... pułkownik. Jeżeli wykołatam od nich co mądrego dla Polski, to przecież Polska to sobie weźmie...

— Chciałbyś ich zobaczyć dziś wieczorem? — spytał Grudzielski.

— Nie. Niech trochę poczekają. Muszę się przygotować. Jutro spotkamy się z nimi przy stole, w osobnym pokoju.

Tego wieczora Żabicki nie rozstawał się z mapą Prus Wschodnich. Kazał sobie przynieść z biura prasowego, jakie kreował zaraz po zajęciu Gdańska, stosy gazet Królewieckich. Poprosił do siebie artylerzystę, dra Morkiewicza, by z tym młodym etnografem wykreślić granice żywiołu polskiego w Prusach i zasięgnąć od niego różnych informacyj o Mazurach, lasach, jeziorach i junkrach.

XII.

Szczerba nie zobaczył Sobiesława przez cały wieczór, lecz przyjechał p. radca Jotkiewicz, a że kapitan miał misję nastrojenia go jaknajkorzystniej dla planów Żabickiego, więc nie odstępował radcy ani na krok.

Jak trzy miesiące temu do Bydgoszczy, Jotkiewicz przybył do Gdańska głównie w tym celu, by zobaczyć na własne oczy, co się tam dzieje. O przejęciu miasta przez władze polskie, nie mogło być mowy przed formalnym zawarciem pokoju w Paryżu. Tymczasem niejako imieniem Polski okupował Gdańsk korpus wielkopolsko-pomorski. Mógł zluzować go i zastąpić korpus generała Hallera, który miał wsiąść na pokład w Hawrze, i Jotkiewicz miał polecenie, by zasięgnąć w tej materji zdania gubernatora Gdańska.

Gdy radca dowiedział się, że nie zobaczy tego wieczora Żabickiego, rzekł do Szczerby i Wachtla, którzy powitali dygnitarza na dworcu kolei:

— Przywiozłem dla pana pułkownika kilka gazet warszawskich najświeższej daty. Znajdzie w nich niesłychanie pochlebne dla siebie i ciekawe artykuły.

Gdy Jotkiewicz udał się do generała, Szczerba i Wachtel rzucili się na te gazety. Utwierdziły one kapitana w przekonaniu, że zdobywca Gdańska wyrasta na arcypopularną

w kraju postać, że nazwisko jego posiada już pewien magiczny dźwięk, że oczy narodu poczynają się zwracać do niego, jako na opatrznościowego człowieka — człowieka jutra i piastuna losów Państwa.

— W tym psychologicznym momencie — mówił do Wachtla kapitan w cztery oczy — momencie wskrzeszenia Państwa i odzyskania wolności naród instynktownie szuka dokoła siebie widomego dobrodzieja. On potrzebuje swego bohatera narodowego, u którego stóp mógłby złożyć kwiaty swej wdzięczności. To jest imperatywną potrzebą psychiczną. Na szczęście urodził się nam w orlem gnieździe Żabicki...

— Myślałem o tem i o nim — ciągnął Szczerba. — On nie wie co to karjera, nie żyje dla siebie, tylko dla tego i przez to, że skrystalizowała się w nim żądza wielkiego czynu dla Polski. Gdyby mogło mu zabraknąć tworzywa do takiego czynu, przestałby chyba istnieć...

— Żabicki to dar niebios najpiękniejszy. Bo zaiste potrzeba nam w tej chwili rezurekcji nadczłowieka, nietylko na to, by wytyczył rozumne granice Państwa, lecz wyprowadził z chaosu na szlak swego ducha, wytknął drogowskazy, położył fundamenty. Tego nie zrobi demos, lecz jednostka... Nie znam dokładnie jego przekonań, lecz mam pełne zaufanie do niego. Jedna mnie bowiem jego niespożyta energja mózgu, jego jasny, zrównoważony

umysł, głęboka inteligencja, jego żelazna wola i ofiarna służba dla idei, jego szlachetny dźwięk duszy. Nogą sięga ziemi, a głową pomnikowych wyżyn. To mnie podbija a niewoli całkiem jego hasło: Polska dla Polaków... uczciwych!

— On jest powołany do największych rzeczy — mówił jeszcze Szczerba w zamyśleniu — i dobrze, że naród lubo nie znając go jeszcze z bliska, wyczuwa w nim wielkość duszy i potęgę ramienia i wznosi dla niego piedestał. Nadchodzi szybko dzień, w którym fala popularności stawi go na nim...

— Znam go i kocham — ozwał się Wachtel — ale ty dopiero otwierasz mi na niego oczy. Nie przeczę, że w wojaku tym tkwi materjał na męża stanu, jednakże wątpię, czy człowiek tak prawy, o indywidualności swoistej potrafiłby zdziałać cośkolwiek w życiu politycznem, żywiąc pojęcia nie licujące z prądem czasu. Rozmawiałem z nim niedawno w tej materji. Otóż śmieje się on z tego, że dziś wszyscy wokoło powtarzają automatycznie: „Polska musi być ludową” i ludowi wpychają berło w dłoń. Nie uznaje on powszechnego prawa wyborczego, nie przyznałby go, jak mówi, kurnej babie, nie wiedzącej w jakim mieszka powiecie. Nie pozwalałby piastować mandatu politykierowi, który przysięgając na wstępie do sejmu na „salus reipublicae”, okazuje się notorycznym jej wrogiem i czyha na jej za-

gładę. Wypływa to z jego aforyzmu: „Głupstwo, jakie przytrafia się każdemu, to nie wielkie nieszczęście, ale nie wolno zbaczać z linji zdrowego rozsądku i stawiać go na głowę, bo to musi zemścić się srodze”. To daje ci pewien wgląd w jego pojęciowość.

— Nie obawiam się o niego. On ma swą metodę, opartą na wyczuciu psychiki mas i poszczególnych ludzi — rzekł Szczerba. — On ich indywidualizuje i umie z nimi mówić, umie ich podbić, wziąć za łeb. Nadto stoi za nim już dziś popularność i zaufanie mas. A wreszcie... on ma szczęście. Patrz, jak ludzie zaczynają słać się przed nim. Symptomatycznym jest taki Jotkiewicz. Zrazu sceptyczny, niechętny, rdzennie obcy jego istocie, teraz jął śpiewać inaczej. Kłania się powodzeniu, on wywęszył w nim wschodzącą gwiazdę. On liczy się z tem, że jutro Żabicki będzie mógł równie dobrze wysadzić go z siodła na bruk jak obdarzyć go teką ministerjalną. A takich Jotkiewiczów chodzi po Polsce legjon.

— Z tego czy owego powodu — wpadł Wachtel — byle Jotkiewicz pomógł mu w sprawie Warmji i Mazurów. A niema czasu na stracenie.

Poczęli mówić o technicznem wykonaniu planu Żabickiego. A przytem wisiało nad nimi pytanie, co wyniknie z konferencji Żabickiego z delegatami Prus Wschodnich.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz kwestja ta paliła ich obu nieznośnie. Oczekiwali Sobiesława w pokoju hotelowym, jaki zajmował on z Wachtlem.

— Blisko wpół do piątej — mówił Szczerba. — Długo spożywają to śniadanie.

— Dla tych magnatów pruskich, hotelista znalazł w piwnicy jakieś wyborowe wino reńskie. Widziałem, jak garson niósł im to przez korytarz. Łatwiej przełkną przy tem pigułki, jakie zada im ten nasz cholernik.

— Niejeden naiwny burżuj zazdrościłby Żabickiemu tego wina i innych specjałów, jakie tam mu stawiają przed nos i wołałby na zebraniu: „otóż tak używają panowie!" A tymczasem konsumowanie takiego wybornego śniadania, to djabelna praca, o jakiej niema pojęcia ów krytyk z ulicy. Miljonom ludzi pracujących trzebaby wykładać, co to jest praca.

— Wobec tego — uśmiechnął się Wachtel — każę przynieść butelkę wina.

Zadzwonił i wkrótce sterczała między nimi butelka.

Rozmawiając wyzierali na majdan przed okazałym hotelem i zaobserwowali, że Gdańszczanie przestali już zwracać uwagę na chorągiew polską i na wartę u wejścia do hotelu, która w pierwszych dniach kłóła ich w oczy. Miasto przyzwyczajało się do Polaków.

Przerwał im gawędę Grudzielski. Wszedł żywo, podniecony winem i poczuciem doniosłości chwili bieżącej.

— Zostawiłem ich samych, mówiąc, że należy mi się drzemka. Baron Gapp zaprosił Żabickiego do swego numeru na kieliszek Kupferbergu. A co wy pijecie? Jakiegoś cienkusza? No, powiem wam... Niech go wszyscy djabli. Sobiesław zrobił na nich doskonałe wrażenie. Gadał im wszystko to, co pragnęli posłyszeć. To huncwot kuty na cztery nogi.

— Co im gadał?

— A no, że w Polsce stan szlachecki będzie miał w Państwie przynależny głos, bo naród szanuje wszelakie tradycje. Że posiada on w swej naturze pewien rys arystokratyczny, a Polska przybierze fizjonomję konserwatywną. Podobało im się to wielce. Przywtarzali, wspominali znanych sobie Polaków, wznosili moje zdrowie. A Sobiesław dalej zalecał im Polskę tak jak swat śliczną i bogatą pannę wybrednemu kawalerowi. Gdy weszła rozmowa na Gdańsk, Żabicki odzywa się w te słowa: „Nastały czasy, w których wszyscy muszą niejedno zapomnieć i niejednego się nauczyć". A na to Gapp — notabene bardzo rozumny, miły a cwany człowiek, przez którego przemawia nikt inny, tylko sam Batocki. — „Da haben Sie ganz recht" — mówi i występuje z uznaniem dla Gdańska, który (jak on to mówił?) miał odwagę zdać sobie jasno sprawę ze swego zmienionego położenia i wyciągnąć z tego rozumne konsekwencje.

— Tak mówił? Ależ to wróży jaknajlepiej! — zawołał Szczerba.

— Nie ulega kwestji, że oni, snać wydelegowani do nas, pragną za naszem pośrednictwem wejść w rokowania z Państwem Polskiem. Hr. Dohna zapytał Żabickiego, co według jego mniemania Konferencja Pokojowa pocznie z Prusami Wschodniemi? A Sobiesław na to bez zachłyśnięcia odpowiada, że „ma dobre podstawy do przypuszczenia”, iż koalicja uzależni Królewiec od Polski, zwiąże go z nią... Nadto kładzie im w uszy, że wrzaskliwe protesty przeciwko korytarzowi gdańskiemu odniosły w Paryżu skutek wręcz przeciwny, i że powiedziano tam: „Jeżeli Prusy Wschodnie nie posiadają warunków do samoistnego bytowania, trzeba je przyłączyć nie do zachodu, z którym gospodarczo nie mają nic wspólnego, lecz do ich Hinterlandu, do Polski, z którą żyły dawniej w stosunku lennika do suwerena”. To zrobiło na nich widoczne wrażenie. Jeden z nich uskarżał się, że czynniki zamiejscowe, personalnie w tem nieinteresowane, wtrącają się w tą sprawę i wykrzykują przeciwko korytarzowi polskiemu, chociaż już dziś istnieje on de facto. Z takiemi faktami dokonanemi trzeba nolens volens się pogodzić... Ciekawa była ta rozmowa, a teraz ciekawość mnie pali, z czem oni wyjadą przed Sobiesławem przy kieliszku owego sekta. Bo oni mają coś w zanadrzu...

Niemal bez tchu Szczerba i Wachtel słuchali tej relacji generała i Wachtel musiał w duszy przyznać, że stary ten pan, który nigdy nic nie zepsuł, okazał się bardzo przydatnym, że snać inteligentnie basował Żabickiemu i wiedział, kiedy go należy pozostawić samego z tą delegacją. Żabicki i Grudzielski dobrali się doskonale. Było już po szóstej, gdy pojawił się Żabicki. Na subtelnej jego twarzy igrały światłocienie. Padł w folel, odsapnął i zwrócił się do Szczerby:

— Mówiłeś z Jotkiewiczem? Czy rząd polski zgodzi się na to, abyśmy wysłali jaknajprędzej zagony nasze do Działdowa, Olsztyna, Szczytna i Ełku?

— Ja myślę, że zgodzi się, jeśli ty to sam przedstawisz.

— To musi tak być jaknajprędzej, jeśli nie mamy przefujarzyć tej złotej sposobności. Musi!... — wyszeptał przez zęby Żabicki, napięty jak struna, gotów łamać stalowe sztaby przeszkód.

— Mów nam wszystko od początku! — prosił Wachtel.

— Powiem krótko od momentu, gdy zagraliśmy w otwarte karty. Wpierw muszę zaznaczyć, że przybyli oni to do nas z wyraźnym mandatem Związku Ziemian. A zatem sprawa była z Prusami Wschodniemi... Są oni w opałach okropnych. Odmalowałem wam wczoraj ich położenie. Drżą ze strachu przed bolsze-

wizującymi Volksratami i wbili sobie w głowę, że nasz korpus gwiżdżąc na Konferencję Pokojową, zaanektuje ich prowincję, jak zagarnął Prusy Zachodnie z Gdańskiem. Wnoszą to z rozmachu naszego korpusu. No, ja im tego przekonania nie odbieram — uśmiechnął się Żabicki. — Aby ich w tem utwierdzić, przeczyłem słabo. A Oldenberg zawołał: „Sie sind ja ein richtiger imperialist!" Wymyślając mi tak od imperjalisty, odczuwał dla mnie sympatję, jako dla bratniej duszy. Bo będąc na naszem miejscu oni byliby już w Królewcu i medytowali nad prawami wyjątkowemi w celu spauperyzowania i zgermanizowania żywiołu polskiego. Uśmiechnąłem się na to w duszy i milczeniem przyznawałem, że rząd wyprawił notorycznego imperjalistę na podbój Gdańska i Królewca. Dzięki temu doszliśmy dość szybko do kompletnej ugody — ciągnął Żabicki, a Wachtel wpadł:

— Tak szybko?

— Pali się! Oni myślą, że my czekamy tylko na korpus Hallera, by ruszyć na nich. Im się śpieszyło i mnie także. I tak stanęła ugoda, której szczegóły oczywiście przedyskutujemy w chwili ostatecznej. Otóż ugoda ta opiewa: Polska zabiera sobie szmat ich Prus, którego linja graniczna bieży zrazu wzdłuż toru kolejowego, przez Ostródę, Olsztyn, Rastenborg do Węgoborka, czyli do północnego cypla jezior mazurskich, a potem spada do

Ełku i Margrabowy. To znaczy Polska otrzymuje lwią część Warmji i niemal całe Mazury a w tem historyczne pola grunwaldzkie. Nadto Prusy wydzielają dla Polski wąski pas kraju etnograficznie litewskiego od Wysztyńca wzwyż, pas przylegający do Litwy Kowieńskiej.

— A cóż nam po tem? — wtrącił Grudzielski.

— Odpowiem na to później. Jadę dalej. — Reszta Prus Wschodnich, okrojonych przez nas, lecz znakomicie powiększonych przez obwód rejencyjny Kwidzyński, a zatem kraj długi, od Wisły do ujścia Niemnu, kraj z Kwidzyniem, Iławą, Elblągiem, Królewcem, Tylżą i Kłajpedą tworzy autonomiczną jednostkę państwową przy boku Polski. Na ratuszu królewieckim obok chorągwi pruskiej powiewać będzie chorągiew polska. To będą „Prusy Polskie".

— Prusy te płacą do skarbu polskiego od głowy 50 % podatku ustanowionego w Polsce a milicja krajowa podlega komendzie Warszawy. Kordon celny, paszporty i t. p. nie istnieją, a paszporty zagraniczne udziela tym polskim prusakom urząd polski. Jest oczywiście kilka drobnych spraw w zawieszeniu i tak np. pragną oni zwolnienia tych prusaków od służby wojskowej.

Słuchając tego Szczerba przybladł, bo oddech zamierał mu w piersi, i obadwaj ofice-

rowie niemniej jak Grudzielski spozierali na Sobiesława niby na Wajdelotę, dziwne a cudne nucącego pieśni.

Po długiej chwili kościelnego milczenia ozwał się Wachtel.

— A czyż oni, dziś przez demokratów zepchnięci na bok, mogą tak dysponować tą prowincją?

— Otóż trzeba im włożyć w ręce wytrącone berło. Ale to zrobi się samo w następstwie naszej akcji. Ukartowaliśmy wszystko tak, iż wrogie im, komunizujące żywioły padną, a oni wrócą na swe całkiem dominujące stanowisko i, poddając się orłowi białemu, zabezpieczeni będą przed zarzutami ze strony Niemiec.

— Jak ty przedstawiasz sobie przebieg tej sprawy? — zagadnął Szczerba.

— Wróciwszy do siebie, delegaci ci utwierdzą swych bliskich w przekonaniu, że zbliża się ku nim lawina polska. Jednakże nie sądzę, abyśmy, wkroczywszy na Warmję i Mazury, napotkali na silny opór ze strony bojówek, gdyż nie przyłożą do tego ręki junkrzy, którzy stanowią tam żywioł bogaty i jedynie wojowniczy. Oni jedni posiadają pieniądze, oficerów i krew żołnierską w żyłach.

— Po zajęciu Olsztyna — ciągnął Sobiesław — wykonamy manewr w stronę Królewca, a wtedy już nikt wątpić nie będzie, że Polska albo raczej nasz korpus zajmuje to miasto

i wciela te Prusy, zamieniając je w organiczną część Polski, w swoją prowincję. Jeśli nie przedtem, to — delegaci są tego pewni — w tym momencie załamie się wątła struktura rządów Volksratu i junkier odzyska swe stanowisko dominujące. I wówczas powtórzy się ta sama historja, co z Gdańskiem. Królewiec kapituluje „pod przymusem", my odrzucamy to i zagrażamy bezwzględnem traktowaniem sprawy Prus Wschodnich. To skłania stany pruskie do manifestu ugodowego, zalecającego wskrzeszenie dawnego stosunku, łączącego tą ziemię z Rzeczpospolitą. Korpus nasz wkracza do Królewca, odbiera akt wiernopoddańczy i przyrzeka głosować w Warszawie za autonomją lokalną dla Prus.

— To byłoby idealne rozwiązanie tego problemu — wtrącił Szczerba.

— Dla obu stron — rzekł Żabicki. — Prusy Wschodnie nie mogą prosperować bez oparcia o swój Hinterland. Są one przez swe położenie geograficzne raz na zawsze skazane na Polskę. Dla Polski zaś posiadają one znaczenie li tylko polityczne, lecz znaczenie ogromne. Dopóki Berlin panuje w Królewcu, wisi tuż nad nami niebezpieczeństwo niemieckie, jak zmora, co nie da nam oka zmrużyć. Gdy Polska zawładnie Królewcem, — wyrasta na mocarstwo. Od tego, kto posiada Królewiec, zależy cała przyszłość naszego Państwa.

— A gdyby Niemcy zrozpaczone taką amputacją, uspokoiły się, skonsolidowały, powstały na nogi i wszczęły z nami wojnę? — zauważył Wachtel.

— To w tej chwili zgoła niewykonalne! — odparł Żabicki. — Zresztą byłoby to szaleństwem dla nas pożądanem. Pamiętaj, że Francuzi mają drogę nad Ren otwartą. Taki odruch Niemiec byłby im bardzo na rękę, bo umożliwiłby im podyktowanie w Berlinie pokoju „francuskiego".

— To prawda.

— Dlaczegoż zresztą błagałem, by korpus gen. Hallera wylądował w Gdańsku?

— Toś ty już to wszystko przewidywał? — Niech cię wszyscy djabli... — wyrwał się Grudzielski.

— Rzuciliśmy kamień w wodę. Trzeba było przewidywać, że utworzą się na wodzie kręgi. daleko idące. A kręgi te nie kończą się jeszcze w Królewcu... Sięgają do Kowna i dalej. Dlatego to wytargowałem ów wschodni skrawek ziemi etnograficznie litewskiej.

— Gdy skończymy z Królewcem, łatwą będzie rozmowa z Kownem... — wtrącił Szczerba.

— Tak w krótkim zarysie przedstawia się ta umowa — kończył Żabicki. — Za to, a mianowicie za taki akt wiernopoddańczy należy się uczciwie prowizja tym junkrom. Obiecywałem im zatem — i to zjedna nam ten żywioł wielce — że Polska nie będzie narzucać

Prusom Polskim żadnej reformy agrarnej, ani wogóle wtrącać się w obręb ustawodawstwa gospodarczego. To zagwarantuje im w historycznym dokumencie, jaki przypieczętuje tę unję.

Entuzjastyczny Szczerba, wchłaniając to w siebie, topił palce w płowej czuprynie i tarmosił ją niemiłosiernie. A trzeźwy Wachtel wyrzekł:

— Teraz kwestja, co powie na to Warszawa? Ale nikt tego nie podjął.

— Dalibóg, nawojowałem się dzisiaj gębą, nagadałem! — odetchnął Żabicki i dodał: — Teraz zamykamy to wszystko kluczem milczenia na cztery spusty i przystępujemy do akcji natychmiast, by Konferencja Paryska nie uprzątnęła nam Królewca z przed nosa. Czas drogocenny, jedyny, wymarzony ucieka, więc żwawo do czynu. Teraz, albo nigdy.

Rozeszli się. Na Szczerbę i Wachtla czekał samochód, by zawieźć ich do koszar. Przedtem jednak wstąpili na piwo do restauracji hotelowej, by ochłonąć z wrażenia, jakie zrobiły na nich świetne plany Żabickiego. Bo otóż Polska, wynurzająca się z chaosu, przybierała kształt mocarstwa o prawidłowych granicach, wielkiego i bezpiecznego, wykwitała w ich oczach, jak cudowny kwiat. Więc ogarnęła tych żołnierzy, co nie mieli niż droższego nad Polskę, olśnienie, i zdawało się im, że świat zmienił się w czarującą bajkę.

Rozmawiali o najbliższych zamierzeniach Żabickiego, snuli dalej to przędziwo, domyślali się, co on przedsięweźmie po zajęciu Olsztyna i Ełku i wkroczeniu do Królewca. A Szczerba wniebowzięty westchnął:

— Otóż widzimy, czego dokazać potrafi jeden wielki, twórczy, natchniony człowiek...

XIII.

— Popatrz! Znów powstaniec polski! — zawołał p. Prusinowski do córki, krocząc z nią przez Langgasse, gdy ujrzał po drugiej stronie ulicy rogatywkę wielkopolską.

Przybył on tego rana do Gdańska, jak po bitwie pod Solcem do Bydgoszczy, by przekonać się naocznie, że nadzwyczajne rzeczy, jakie głosiły gazety, nie były wytworem fantazji. A, że wyspali się w sleepingu, wkrótce wyszli na miasto. Panna Aniela włożyła na siebie, przez wzgląd na spotkanie z narzeczonym, elegancką sukienkę i odróżniała się na ulicy ogromnie od przechodzących gdańszczanek, które nawet w dni świąteczne i galowe robiły wrażenie bezgustownych małomieszczanek, a zrana w godzinach targowych zdały się przybłędami z Pipidówki. W pannie Anieli ujawniała się kulturalna wyższość kobiety słowiańskiej nad Niemką. Jakoż w pojęciu tych

lustrujących ją kobiet, panna Aniela wyrosła na „comtesse”.

W tym czasie zjawiło się w Gdańsku niemało obywateli z Poznania z panem doktorem Teodorem Szyldem na czele, z kategorji ludzi przekonanych, że gdzie dzieją się rzeczy ważne, tam obyć się bez nich nie może.

— Czyż to ojca tak dziwi ten nasz żołnierz? — odrzekła panna Aniela.

— Rzeczywiście dziwi mnie, że ci Niemcy przy swej krewkości nie napadną na polskiego żołnierza i nie wywołają awantury. Nie tacy oni czarni, jak ich niektórzy malują — zauważył p. Antoni, który nałogowo „oddając Niemcom sprawiedliwość”, wynajdywał przy każdej sposobności ich zalety i gubił się w pochwałach niemieckiego żywiołu. Bo Niemcy, wynosząc wszystko co niemieckie na szczyty niedosiężnej dla innych doskonałości, wpoili w niego raz na zawsze coś ze swej autoadoracji.

A panna Aniela odrzuciła z odcieniem zniecierpliwienia:

— Bo się boją!

— No, tak, w istocie sflaczeli w tych czasach. Nietrudno też było ich pobić.

— Ojciec zapomina, że Polacy, począwszy od Bolesława Chrobrego, nieraz bili Niemców na głowę.

W gruncie rzeczy p. Prusinowski nie wierzył w to, bo nie mogło mu się to, jak wiele

innych rzeczy, pomieścić w głowie. Wzruszył ramieniem z rezygnacją nad swoją córką, która, jak sądził, wzięła sobie za zadanie, by oponować każdemu jego zdaniu.

Należał on do skrajnych materjalistów, którym ciepło było na wsi pod pruskimi rządami i którzy instynktownie lękali się zmiany w stosunkach gospodarczych. Nawet wojna, co wniosła żałobę w tyle polskich domów i gmin, dla niego okazała się dobrym interesem. Nie stracił nikogo z bliskich krewnych, a paskował z takim zapałem, że zbił kapitał i myślał o nabyciu drugiego majątku ziemskiego. Wobec tego nie sprzeciwiał się, gdy córka samorzutnie, bez jego aprobaty ładowała na wóz ziemniaki, warzywa i słoninę i wysyłała do obozu powstańców. Wyrosła mu ona nad głową.

Gdy zbliżyli się do ratusza, p. Antoni ozwał się:

— Idź i przywitaj się z Sobiesławem. Zapewne nie potrwa to dłużej, jak kwandrans, dwadzieścia minut. Ja przez ten czas obejrzę sobie sale ratuszowe, a potem sam pójdę do niego, bo mam z nim do pomówienia w cztery oczy.

— O czem?

— O różnych sprawach.

— Jeśli ojciec chce z nim pomówić o naszym ślubie, to w tej chwili byłoby to nie na czasie, gdyż Sobiesław ma przed sobą tak ol-

brzymiej doniosłości zadania, że nie może zaprzątać sobie głowy ani mną ani ślubem.

— A cóż on jeszcze ma za zamiary??! Został pułkownikiem, a nawet gubernatorem Gdańską. Jeśli rząd polski zatwierdzi go na tem stanowisku, to doprawdy nie wiem czego mu więcej będzie trzeba. Zrobił świetną karjerę.

— Ależ nie chodzi o jego karjerę!

— Więc o co? Nie gadaj mi nic. Zamłoda jesteś, więc nie wiesz, że w końcu zawsze okazuje się, iż chodziło o karjerę. Idź teraz do niego i zapowiedz mu moją wizytę.

Gdy panna Aniela znikła w murach starodawnego ratusza, p. Antoni spozierał przez chwilę na chorągiew korpusu Grudzielskiego, zwieszającą się przed wejściem. Chorągiew ta, lamowana złocistą frendzlą, z jednej strony biała i czerwona z orłem białym, z drugiej strony obrazowała wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej w medaljon ujęty, a poniżej na tle białem widniało hasło: „Zwycięstwo!”

P. Antoni potrząsnął nad tem głową. W istocie nie mógł nikt zaprzeczyć, że zwycięstwo szło śladem tego korpusu, a ów Żabicki, którego on miał za hetkę-pętelkę, wsiadł na wielkiego konia. Gubernator! Brzmiało to w uszach p. Prusinowskiego wręcz bajkowo i, gdy pomyślał, że będzie teściem gu-ber-na-to-ra, pęczniała w nim duma. Pułkownik, to mu nie imponowało, ale gubernator, tego jeszcze nie było. On jeden, ten wczorajszy oficerek, był

w Polsce gubernatorem, i to w zdobytym przez siebie wielkiem mieście... Wobec tego p. Prusinowski dociągał swą psychikę do wyżyn dostojeństwa swego przyszłego zięcia, chadzał w aureoli jego, doznawał zawrotu głowy.

Gdy wkroczył do wnętrza gmachu i zażądało odeń legitymacji dwuch woźnych w stylowych strojach średniowiecznych z halabardami, miał wrażenie, że czeka go audjencja u monarchy. Oglądając w sali posiedzeń portret Wilhelma Drugiego, uśmiechnął się szyderczo i myślał, że na tem miejscu powinien zawisnąć teraz portret Żabickiego. No, trzeba by mu do munduru dodać jaką barwną wstęgę przez piersi, a w ręce włożyć mu szablę ze szczerozłotą głowicą i umieścić jego postać na tle purpurowym z orłem białym.

P. Prusinowski tak był zachwycony tą wizją portretu gubernatora Żabickiego, że byłby chętnie ofiarował się ponieść koszt takiego obrazu. Kto wie, może umieszczonoby pod tym portretem tabliczkę w dwuch językach, objaśniającą, że to dar p. Antoniego Prusinowskiego z Chobielina dla miasta Gdańska. Postanowił w stosownym momencie nasunąć tę myśl notablom gdańskim. Tymczasem zaś zamierzał zamówić u jakiego artysty malarza fragment bitwy tczewskiej do swego salonu we dworze.

Słowem rozfantazjował się p. Prusinowski z nad Noteci i przyznawał, że nastały wielkie

czasy. Jedno tylko psuło mu nastrój, a mianowicie to, że on sam nie piastował żadnego wysokiego urzędu. Był tylko kolatorem kościoła parafjalnego w Chobielinie.

Podobało mu się, że po poważnych salach ratuszowych, promenował jakby były one na niego czekały. I tak zastała go córka.

W źrenicach jej lśniła radość.

— Wspomniałam Sobiesławowi w Bydgoszczy, że pragnęłabym być w pobliżu jego korpusu, i on o tem nie zapomniał. Mówił mi, że poznał tutaj moją przyjaciółkę, panią adwokatową Palędzką, która bardzo pragnie, abym pozostała u niej przez pewien czas i uczestniczyła w przyjęciu korpusu gen. Hallera, które zapowiada się prześwietnie, jako wielkie święto polskie nad Bałtykiem.

P. Prusinowski pokiwał na to głową aprobująco, chociaż o poczynieniach swej samodzielnej córki nie decydował, i udał się zaraz do komnaty pana gubernatora, który pod sufitem ciemnemi sztukaterjami zasłanym spoczywał w ogromnem rzeźbionym karle, jakby chcąc zaimponować teściowi.

— Mój drogi, — począł wzruszony pan Antoni — przepraszam, że zajmuję ci czas, lecz nie mogę nie powinszować ci, przycisnąć cię do serca... Nie masz ojca, ja z natury rzeczy zastępuję ci nieboszczyka, którego duch... — Niech cię uściskam!

Gubernator nie wiedział, jak dostał się w objęcia p. Prusinowskiego. Raptowną jego metamorfozą w stosunku do siebie zaskoczony i rozśmieszony, pozwolił się wycałować po głowie, wymiętosić w ramionach, zaczem usadził gościa w dostojnem krześle, oczekując dalszych niespodziewanych rzeczy.

— Nie masz pojęcia, mój drogi, jak się cieszę z tego, że wyniesiono cię na tak świetne stanowisko... Nietylko dla tego, że chodzi mi o ciebie, lecz dlatego, że raduję się, gdy prawdziwa zasługa odbiera nagrodę. A muszę ci powiedzieć, że... Wprawdzie nieraz byliśmy innego zdania i wojowali nawet z sobą, ale — pan Szyld mógłby to zaświadczyć — zawsze wierzyłem w twe nadzwyczajne zdolności i powtarzałem: „On zajdzie wysoko". Przyznaję się dzisiaj szczerze, że przekonałeś mnie, iż w niektórych poglądach miałeś słuszność. Nie przeliczyłeś się... Okazało się, że jesteś nie fantastą, lecz realnie myślącym człowiekiem, A o to mi zawsze chodziło... Rozumiesz, jedną Anielkę mam, więc chciałem ją wydać za człowieka realnie myślącego. Skoro mam tę pewność, powtarzam z głębi duszy i serca: niech wam Pan Bóg błogosławi!

Nie było rady. Gubernator jeszcze raz powstał i klapnął na piersi pana, który go dotąd rzetelnie niecierpiał. Począł z nim rozmowę banalną, lecz p. Prusinowski zaprosiwszy go na obiad, uderzył znów w ton wyższy:

— Oczywiście masz na głowie wielkie sprawy państwowe, więc w tej chwili nie można oznaczyć daty waszego ślubu. Lecz matka Anieli rada by wiedzieć kiedy mniej więcej zamierzacie stanąć na ślubnym kobiercu, gdyż pragnie przygotować dla Anielci wyprawę jak się należy.

W gruncie rzeczy bardzo realnie myślący ten obywatel obawiał się chwilami, aby Zabicki, wyszedłszy teraz na wielkiego dygnitarza, dzielącej ich anomozji nie wziął za pretekst, nie zerwał z jego córką i nie poszukał sobie jakiej miljonowej panny. Ale Sobiesław uspokoił go pod tym względem. Wyraził nadzieję, że zapewne wkrótce po ukończeniu Konferencji pokojowej, czyli ustaleniu granic Polski, będzie mógł pomyśleć o sobie.

— Czy sądzisz, że rząd Polski zatwierdzi cię na stanowisku gubernatora? — spytał p. Antoni.

— Nie. To jest tylko przejściowe. Przypuszczam, że Gdańsk stanie się stolicą województwa kaszubskiego.

— A ty wojewodą?

— Ja jestem żołnierzem, więc żołnierki pilnować będę i muszę. Sprawy administracyjne to nie moja domena.

— Ale zajmiesz stanowisko conajmniej równe godności gubernatora?

— Bóg wie.

— Niema wątpliwości. — No, pod jednym względem przyznasz, mój Sobiesławie, że miałem świętą rację, t. j. wtedy, gdy twierdziłem, że w Gdańsku znajdziemy niemało ukrytej przyjaźni dla Polski.

— Gdzie ojciec tego się dopatrzył?

— Jakto gdzie? W tym pięknym akcie poddańczym miasta Gdańska. Przecież on poprostu rzucił się Polsce na piersi! Byłem niemal rozczulony...

Sobiesław począł skubać swój wąs. Miał ochotę parsknąć śmiechem.

— Tak, tak... — wycedził, bynajmniej nie skory do przedstawiania mu tej sprawy w świetle prawdy i odbierania mu naiwnego złudzenia. Było rzeczą całkiem obojętną, co p. Prusinowski o tem sądził. Zresztą i tak niktby go nie uleczył ze skłonności do idealizowania Niemców i nie wydarł zeń wkorzenionej dla nich sympatji.

P. Prusinowski, odchrząknąwszy, przystąpił delikatnie do sprawy, która spać mu nie dawała:

— Wiesz, mój Sobiesławie, że dla Anieli i dla ciebie wszystkobym zrobił...

Sobiesław podniósł na niego oczy. Nie wiedział dotąd wcale, że on zrobiłby dla niego wszystko. Po tym wstępie spodziewał się nadzwyczajnego debiutu.

— Chociaż starzeję się i należałby mi się wypoczynek, muszę dostosować się do was, aby-

ście nie wstydzili się za ojca... Zresztą dziś, w odrodzonej Ojczyźnie każdy ma obowiązek przyłożyć rękę do budowy Państwa, za twoim przykładem... Ty powołany do wielkich rzeczy, masz wielkie przed sobą zadania, ja mrówczy, cichy obywatel mam zadanie małe. lokalnej natury.., Jaką gram rolę w mym powiecie, to ci wiadomo. Spodziewać się przeto mogę, że z powiatu mego podniosą się głosy za tem, aby mnie zamianowano starostą... Gdy o tem posłyszałem, zrazu przeraziłem się, bo znaczyłoby to tyle, co brać na siebie ciężki obowiązek. Ale powiedziałem sobie, że nie wolno teraz nikomu usuwać się w kąt. Trzeba poświęcić się dla Ojczyzny. Więc przyjąłbym urząd starosty. Byłoby to w powiecie popularne... To musiałem ci powiedzieć, bo być może, że o tem posłyszysz... Anielcia wielce by się ucieszyła, gdybym został starostą. Miałbyś córkę... starosty — zaśmiał się poczciwie p. Prusinowski i powstał, nie czekając na to odpowiedzi.

— Zobaczymy się przy obiedzie — rzekł i pożegnał Sobiesława z ostentacyjną serdecznością. Pozostawił go z uśmiechem w duszy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pan radca Jotkiewicz zżymał się na Żabickiego, że nie znalazł dlań jeszcze czasu, lecz nie śmiał brać tego za złe człowiekowi, który

był potężną, wschodzącą gwiazdą. Trochę zadąsany siadł do obiadu w ustronnej klatce restauracji hotelowej, w której panowały pustki przerażające, jak zwykle w tych czasach, gdy jadłospis przedstawiał się chudo, a potrawy na talerzu jeszcze chudziej i najwyszukańsze ich nazwy nie mogły zastąpić w nich masła. A pan Jotkiewicz uważał, że jako radcy, należy mu się wiele lepsza strawa, niż innym śmiertelnikom.

Na szczęście przyczepił się doń dr. Szyld. Woził on bowiem z sobą kobiałkę masła, salcesony i produkty wiejskie, a nawet wyborową starkę dla Warszawiaków. Dostojny ten ziemianin znał się z radcą ze stolicy, gdzie bywał często i obnosił swą powagę po ministerjach, w przekonaniu, że jeśli nie wydepcze teki ministerjalnej, zostanie wojewodą poznańskim. Wyglądał na urodzonego prezesa.

W tych wędrówkach szył on buty Żabickiemu, gdzie się dało, przez co jednak wątpliwą wyrządzał mu ujmę. Zwracał bowiem na niego oczy, jako na osobnika arcywybitnego i przyczyniał się do jego rozgłosu. Tworząc coś, jakby zawiązek stronnictwa opozycyjnego, wysuwał go na świecznik. Nie pominął on tej sposobności, by nie wszczepiać w pana radcę swych poglądów.

Krytykował wyprawę na Gdańsk, jako zgoła niepotrzebną imprezę, podyktowaną przez zapalczywość wojacką, ubolewał nad przelewem

krwi i niepolitycznem gnębieniem Gdańszczan. A nadto przypuszczał, że w świetle tej „imperjalistycznej" akcji Polacy skompromitowali się przed Konferencją Pokojową i uchodzą za żywioł awanturniczy.

Pan Jotkiewicz nie lubił, nie znosił Żabickiego. Skutkiem rozbieżności ich charakterów, nie mogło być mowy o istotnem ich zbliżeniu. Powtóre p. radca zazdrościł mu powodzenia, chociaż nie rywalizował z nim w akcji wojennej. Jednakże nie zdradzał się ze swemi uczuciami do Żabickiego.

— Pan pułkownik pragnie, aby Polska była o ile możności a self made state — stwierdził bezbarwnie.

— To niemożliwe w chwili, gdy wszystko jest u nas w stanie płynnym — odrzekł p. Szyld.

— W takiej chwili właśnie inicjatywa i zapał jednostki mogą stworzyć cuda, mówił mi kapitan Szczerba. Lecz ja lękam się trochę polskiego indywidualizmu.

— I ja — rzekł z emfazą p. Szyld. — Otóż widzimy, do czego to prowadzi. Pan Żabicki ściągnął na Polskę odium imperjalizmu, zdobył miasto, którego wcale zdobywać nie było potrzeba, i teraz nie syt sławy rozwija skrzydła do dalszego lotu.

— A jakie plany ma on na przyszłość?

— Wśród żołnierzy mówią o wyprawie na

Warmją i Mazury i entuzjazmują się tam wzorem swego wodza.

— Warmja, Mazury! Ależ to kraj niemiecki! — wpadł przerażony pan radca.

— Warmja to kraj katolicki i polski — poprawił go p. Szyld i ciągnął — i nie gniewałbym się wcale, gdyby w Paryżu przyznano Polsce tę ziemię krzyżów, notabene dosyć urodzajną. Ale Mazurzy, to ewangelicy, całkiem sprusaczeni. Cóż nam po tych piaskach? Zgoła zaś krzyczącym i niebezpiecznym wyskokiem zaborczości byłoby, gdyby kto sięgał nawet po Królewiec.

— Jakto? Więc pan pułkownik ma tak daleko idące plany? — wpadł pan radca, wogóle lękając się, aby Polska nie była zaduża. — Brać sobie na kark tylu Niemców!...

— I ziemie bezwartościowe — dośpiewał p. Szyld. — Tym zaborczym planom trzeba koniecznie zapobiec. Warszawa powinna wkroczyć w to i pohamować pułkownika kategorycznem veto.

Pan radca zamyślił się nad tem. P. Szyld nalał mu wina, rad z obrotu tej rozmowy, i chciał jeszcze dolać oliwy po ognia, gdy ukazali się przed nimi pułkownik Żabicki i kapitan Szczerba.

— Czy możemy wypić czarną kawę z panem radcą? — spytał uprzejmie Żabicki i su-

mitował się, że nie mógł dotąd go powitać, ani „złożyć mu raportu”.

P. Szyld przybrał maskę osołowiałą. Nie dość, że Żabicki zdawał się uważać go za figurę nie wchodzącą w rachubę, ale stawiał radcę na jakiemś niebotycznem stanowisku i chciał mu składać „raport”. Komedjant! On, który robił, co mu do głowy strzeliło, chciał pokornie składać raport!

Skoro dwaj oficerowie siedli do stołu, zirytowany p. Szyld ozwał się:

— Spotykam się ze zdaniem, że skutkiem bitwy pod Tczewem i okupacji Gdańska, który i tak dostałby się Polsce, stwarzamy sobie nieprzejednaną irrydentę,

— Irrydenta niemiecka w Polsce jest rzeczą całkiem niezawisłą od naszego postępowania względem Niemców — odparł Żabicki.

— Nie? A to ciekawe! — wybuchnął p. Szyld ironicznie i p. Jotkiewicz utkwił weń oczy z wielkiem zainteresowaniem.

— Jedynie i wyłącznie zależy to od tego, czy nasi Niemcy w Polsce wisieć będą na pasku Berlina czy nie. Jeżeli tak, to gdybyśmy wyposażali ich w przywileje i miodem smarowali, będą zakonspirowanymi wrogami Polski. O to chodzi, abyśmy odseparowali ich całkiem od wpływów Berlina.

— Jeśli będziemy ich uciskać, wtedy pójdą pod skrzydła Berlina.

— Uciskać?! Czyż Polacy potrafią uciskać innoplemiennych mieszkańców kraju?... Nieba ustanowiły raz na zawsze taki porządek rzeczy: gdy Niemiec jest górą, Polak tarza się w sromocie pod jego kopytami, a gdy Polak jest górą, Niemiec trzymający się Berlina, nazywa to uciskiem. Ja wolę „uciskać” Niemców — uśmiechnął się Żabicki. — Niechaj się i skarżą. Jest to przywilejem tych, których odsunięto od rządów.

P. Szyld pogładził swą Sokratesową łysinę i wycedził:

— Dotąd pan pułkownik dostarczył im niemało materjału do skarg...

— Z pewnością. O tyle, że ośmieliłem się pobić ich pod Solcem i Tczewem. Ale jestem na drodze do zupełnego ich zadowolenia. Uszczęśliwi Niemców w Polsce tylko ten, kto bezwzględnie pracuje dla dobra Polski.

— Paradoks — wtrącił p. radca.

— To prawda. Uszczęśliwi ich tylko ten, kto postawi nad nimi państwo silne, zdrowym egoizmem kierowane, a na prawie surowem oparte. Państwo, które będzie im imponować, a więc takie, które oni potrafią kochać. Jeśli w Polsce takie państwo znajdą, będziemy mieli w nich kapitalnych obywateli — rzekł z przekonaniem Żabicki, a Szczerba, który przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, ozwał się w zamyśleniu:

— To rzeczywiście jedyny sposób rozwiązania sprawy niemieckiej w Polsce. I może sprawy innych mniejszości narodowych.

— Egoizm, imperjalizm, to hasło pana pułkownika — rzekł z ubolewaniem p. Szyld.

Na to Żabicki uśmiechnął się, wypił łyk kawy i, zapalając papierosa, rzekł:

— Dwa razy dziennie ktoś mi wymyśla od imperjalisty, raz Niemiec — z cichem uznaniem, raz Polak — z głęboką naganą. Bo wolno być imperjalistą Anglikowi, Francuzowi, Niemcowi, ale przenigdy Polakowi. A potrzeba nam akurat dawki imperjalizmu. Wtedy żaden Bismarck nie poczytywałby nas za naród niewieści i nie oddawał pod rządy mężczyzny czyli Niemca. Naród nie mający w sobie ani krzty zaborczości, pada ofiarą zaborczości sąsiadów. Zaprawdę musimy przewartościować nasze wartości pojęciowe i wytyczne, przeobrazić się wewnętrznie, jeśli dawne dogmaty życia państwowego doprowadziły nas do zupełnej ruiny... Imperjalista, to mężczyzna niesiony żywiołą energją, poczuciem siły i swej wartości, z czego nie wynika, aby miał być koniecznie lekkoduchem, półgłówkiem, awanturnikiem. Ale ja imperjalistą nie jestem — skręcił raptem Żabicki. — Nie zdobywałbym Głogowy, nie wojował o Ostrawę Morawską, nie prowadził wojska na Smoleńsk lub Kijów. Nie dążyłbym do tworzenia imperjum od morza do morza; wystarczy mi Polska w granicach

etnograficznie i geograficznie prawidłowych, zapewniających bezpieczeństwo i rozwój.

Odetchnąwszy, Żabicki ciągnął jeszcze z ferworem i odcieniem goryczy:

— Bądź jak bądź nalepiono na mnie etykietę: „Imperjalista” i w pojęciu wielu pozostanę szaleńcem czy grzesznikiem... Bo w imię owego rzekomego imperjalizmu korpus nasz popełnił wielką zbrodnię: zatknął sztandar polski w Wisłoujściu... sztandar, którego bez nas, bez Solca i Tczewa, bez poświęcenia naszego żołnierza nie ujrzelibyście panowie w Gdańsku... No, naród i historja uznają chyba, że istnieją cięższe grzechy względem Polski...

Zapanowało milczenie. Wreszcie Szczerba żachnął się i wybuchnął:

— Straszne to i niepojęte, że chcąc zdziałać coś dla Polski, trzeba postępować cichaczem, ukradkiem, a potem bronić się przed zarzutami. To wygląda tak, jakby świat nasz karał ludzi za ich cnoty, poświęcenia i zasługi i jakby pułkownik Żabicki musiał prosić Polskę o przebaczenie i przyjęcie jego bezcennych darów...

Żabicki zwiesił głowę i po chwili wyrzekł zcicha:

— Tak nie jest kapitanie. Ja wierzę w naród polski.

Zaczem zwrócił się do Jotkiewicza i spytał urzędowym tonem:

— Czy mogę pomówić z panem radcą w cztery oczy?

XIV.

Okoliczności nakazywały pośpiech. Jakoż Żabicki pragnął otrzymać jaknajprędzej placet od rządu w Warszawie na swój plan oraz formalny mandat, upoważniający go do definitywnego i ostatecznego zamknięcia sprawy Prus Wchodnich na konferencji, jaką po zajęciu Olsztyna zwołać mieli do Królewca junkrzy.

Niestety, nikt w Polsce nie pomyślał o Królewcu, nie chciał nic wiedzieć o „tych Prusakach” i zgoła nie doceniał doniosłości tej sprawy, którą daleko w przyszłość patrzący Żabicki poczytywał za klucz do bezpiecznego i mocarstwowego stanowiska Polski. Był on jak człowiek, który oczekuje od analfabetów, by czytali z księgi, jaką umiał na pamięć.

Czynnikiem decydującym w tej kwestji był głównie radca Jotkiewicz. Od jego raportu zależało wszystko. Mógł on wyraźnym zakazem sparaliżować Żabickiego, powstrzymać korpus Grudzielskiego na miejscu i całą sprawę Prus Wchodnich wyrzucić poza obręb spraw polskich.

Szczerbie i Wachtlowi wydało się, że uzyskanie takiego mandatu nie może przedstawiać żadnych trudności. Przecież Żabicki przygotował akcję jak reżyser, miał w ręku atutowe karty, sam brał na siebie wykonanie tego planu, a militarnie ekspedycja na Olsztyn i Królewiec nie przedstawiała żadnego ryzyka. Poprostu zdobywca Gdańska niósł Polsce nowy dar w postaci Prus Wschodnich.

Jednakże Żabicki nie był wcale pewny, czy sprawa z p. Jotkiewiczem pójdzie tak gładko, jak z delegatami Prus Wschodnich. Wyczuwał w nim bowiem nieżyczliwego, jakąś animozją podszytego człowieka, powtóre lękał się jego ignorancji i wynikającego z niej bagatelizowania tej sprawy, tudzież mieszkającej w ludziach tego autoramentu odrazy do czynu.

Tego wieczora zwołano do gabinetu generała kilku czołowych oficerów, którym Żabicki miał przedstawić rezultat swej konferencji z radcą Jotkiewiczem. Z zamyślonej jego twarzy wyczytać było można, że nie osiągnął tego, co pragnął i major Stankiewicz odezwał się do niego:

— Gadaj, Sobiesławie, to ci ogromnie ulży!

— Mów, jak tam było z tym cywilem! — dorzucił generał i Żabicki począł z cicha:

— Niemiła rzecz... Oczywiście najpierw musiałem temu panu długo wykładać, że nie o to chodzi, aby Polska miała Królewiec, lecz o to, aby Niemcy go nie miały, a jeśli Niemcom trzeba

dla sprawy pokoju odebrać Królewiec,to Polsce wypada na nim położyć swą rękę. Nie przemówiło to jednak całkiem przekonywująco do pana radcy. Warmja i Mazury nic go nie obchodzą, nie uznaje on tego w istocie za ziemię polską i boi się brać na kark Polski Prusaków Królewieckich. Na to zauważyłem, że my nie weźmiemy ich na kark, lecz raczej zdejmiemy ich sobie z karku i weźmiemy za rękę. Uważa on taki krok zaborczy nie za niebezpieczny, lecz za niepotrzebny. (Gdańsk był także niepotrzebny i ściągający na Polskę odjum imperjalizmu). A niema tak strasznego grzechu, jak imperjalizm! My ambicjonujemy do tego, aby Polskę poczytywano w Europie za baranka. Baranka, którego zarżnięto, by na stosie ofiarnym... Wreszcie z braku innych argumentów, Jotkiewicz wygłosił zapatrywanie, że nie można ani na chwilę ogołocić tych kresów z wojska i miasto zapuszczać się na wschód, korpus nasz powinien po przybyciu gen. Hallera stanąć załogą w Tczewie i Bydgoszczy.

— Co on plecie? — mruknął generał.

— Jeszcze jedno. Wielki szkopuł ma Jotkiewicz z tego powodu, że jak sądzi, nie istnieje jeszcze w Warszawie pieczęć państwowa, jaką wypadałoby ewentualnie położyć na akcie ugody w Królewcu. Z tej przyczyny, między innemi, nie można zawrzeć takiego paktu unji...

— Humorystyka! — zaśmiał się major Stankiewicz.

— Jabym go opieczętował na całe życie moją szablą, tego mędrca z Kozich Głów! — wpadł inny oficer.

— Ale, moi drodzy — ciągnął, podnosząc głos pułkownik — wszystko to były z jego strony ceregiele. Okazało się, że nie przywiązuje on wielkiej wagi do swych argumentów. Rozumie bardzo dobrze, że jeden stanowczy krok tylko, a Polska zyska Warmię, Mazury i położy dłoń na Królewcu. Atoli w tem sęk, co... zyska przy tej tranzakcji... pan radca Jotkiewicz?

— Takie to buty? A niech go licho...

— Ładny mąż stanu!

— Czego chce? Łapówki?

— Teki ministerjalnej. Poświęciłby się dla Ojczyzny nawet do tego stopnia, że gotów zostać prezesem ministrów. W najgorszym razie oczekiwałby odemnie, że go wyforytuję na ministra polskiego w Królewcu... Byłby to wymarzony dla Prusaków minister. Bawiliby go doskonale, obstawili strażą hulaków i białogłów i robili z nim, co by im się żywnie podobało.

— Co mu odpowiedziałeś? — zagadnął Grudzielski.

— Odpowiedziałem dyplomatycznie, że zasługa jego w tej sprawie, będzie niezawodnie należycie oceniona w Warszawie. Lecz on wymiarkował, że, jak to się mówi, ja nie idę na taki interes... Nie wiem, czy to było mądrze

z mej strony, ale... wstręt szedł mi śliną do gardła.

— I jakie zajmie on w Warszawie stanowisko w tej kwestji?

— Spytałem go o to i wymiarkowałem, że złoży on referat biurokratyczno - objektywny, czyli każe się swym słuchaczom zastanowić nad tem głęboko. A ponieważ nikt zastanawiać się nie będzie nad głupią sprawą owych Prusaków, którzy nikogo nic nie obchodzą, więc o ile my pozwolimy, decyzja przewlecze się aż.... w Paryżu Lloyd George rozstrzygnie sprawę korzystnie dla Germanji. Bo pan radca chce, aby ktoś coś mu dał za jego fatygę.

Posypały się gromkie epitety pod adresem pana radcy. Przerwał to Żabicki żołnierskim tonem:

— Nie damy sobie jednak psuć roboty dla Polski.... Proponuję, aby pan kapitan Szczerba poleciał zaraz jutro do Warszawy i przedstawił to z naciskiem panom ministrom.

— Co sądzi o tem pan kapitan Szczerba?— zapytał generał.

— Doskonale. Wiem, jak rzeczy stoją i... pan Jotkiewicz przekona się, że to ze mną sprawa. Niezawodnie dokażę przynajmniej tyle, że pan minister wojny lub premjer zatelefonują po pułkownika Żabickiego. A gdy on sprawę zareferuje w radzie ministrów, referat Jotkiewicza (może i on sam) spadnie do kosza.

Wywiązała sią ożywiona wymiana zdań. Jedynie Grudzielski zafrasowaną miał minę i milczał. Lecz, gdy wszyscy się rozchodzili, przytrzymał Żabickiego i ozwał się:

— Słuchaj! A jeśli rząd jednak przelęknie się czynu, pozostawi to Konferencji Pokojowej i nam każe siedzieć cicho?...

Pułkownik przejechał palcami przez włosy i z podłoża żelaznej determinacji wyrwało się:

— To niemożliwe! Do tego nie dopuścimy!

Grudzielski jął szarpać wąsiska.

— Czy ty w ostatecznym razie... chwyciłbyś się podobnego fortelu jak w Szubinie?... — wymruczał.

Po licach Żabickiego przepłynęła smuga sinych blasków.

— Generale! Zasłużyłbym na śmierć zdrajcy Ojczyzny, gdybym bądź jak bądź nie pochwycił oburącz tej od czasów Sobieskiego jedynej, tej wymarzonej sposobności do zlikwidowania sprawy wschodnio-pruskiej, która kosztowała Polskę życie... gdybym nie ubezpieczył Państwa Polskiego przed nowym rozbiorem, nie wyniósł go na stanowisko piastowskie... Jeżeli kto bądź zdoła położyć się przed naszym korpusem kamieniem przeszkody na drodze do Królewca, to... odbiorę sobie życie.

Stary pan w przerażeniu o ukochanego oficera podniósł ramię, jakby chcąc go od tego powstrzymać. Potem siadł w krześle ciężko

i po długiej chwili zamyślenia zwrócił się do niego poważnie:

— Czy ty sądzisz, że ja dałbym ci pozwolenie na wyprawę Olsztyńską wbrew woli rządu warszawskiego?...

Żabicki stał przed nim jakby skamieniały. Raptem wyrzucił:

— Tak sądzę, panie generale.

— Taak? To mnie nie znasz jeszcze, Sobiesławie. Zanadto jestem żołnierzem, aby mnie zmusić można do niesubordynacji.

Pogodny wyraz zagościł znów na licach pułkownika.

— Pan generał nie wahałby się pomiędzy bezcenną, zgoła bezcenną usługą dla Polski a zakazem rządu, którego władzy, formalnie biorąc, my nie podlegamy jeszcze wcale... Ani nasz korpus, ani Gdańsk, ani Bydgoszcz, ani Poznań nie należą jeszcze do Polski. Jeśli na rozwiązanie sprawy pruskiej nie otrzymam mandatu z Warszawy, otrzymam go od pana generała... I wtedy powtórzy się to, co z Gdańskiem, chociaż to rzecz zdradliwa w transakcji takiej ze stolicą królów pruskich.

Grudzielski wlepił w niego wyłupiaste, kaprawe oczy.

— Masz rację — odsapnął, powstał i, całując go w czoło, mruczał: — a nie gadaj mi nigdy o odbieraniu sobie życia...

— Mnie niewolno umrzeć, dopóki nie spełnię tej misji, jaką mi dała historja... — wyszeptał Żabicki.

Stary generał raz jeszcze pocałował go w głowę i rzekł:

— Idź spać. Jutro o piątej musisz być w koszarach. Trzeba tym chłopcom wsączać ideę oswobodzenia Warmji i Mazurów. Dzielnych mamy żołnierzy, Żabicki, co?!

— — — — — — — — — — — — — — —

Odkąd osiągnięto wielki cel, żołnierz nudził się w koszarach i żądał urlopu, bo przecież musiał opowiedzieć swym bliskim o bojach pod Tczewem i o Gdańsku. Ale wnet wracał. Rozpierała go rzetelna duma, że należy do tego sławnego korpusu, i bezgraniczna miłość tego sztandaru, co zwieszał się z ratusza gdańskiego.

A Żabicki wytknął przed nim nowy świetlany cel. Jeżdżąc po koszarach on i inni oficerowie prawili mu o Warmji, wyciągającej ramiona do wyzwolonej braci a głównie do tego korpusu, co przyniósł wolność Krajnie, Kociewiu, Kaszubom i zdobył Wisłoujście. Więc jak w rumaku śledziona, grał w prześwietnym tym żołnierzu radosny zapał i oficer za szczęście mógł sobie poczytać, przewodząc takim uskrzydlonym, iście bohaterskim zastępom. Kto z żołnierzy pod jakimkolwiek względem nie dorastał do djapazonu korpusu, kto wyłamywał się z kleszczów dyscypliny, miał do czynienia z towarzyszami koszarowymi i bywało, że w myśl

kompanji kilku szeregowców wydalono lub przeniesiono na oddalone posterunki na Hel.

Gdy drut telegraficzny przyniósł wiadomość o przybyciu Hallerczyków do Hawru, gdzie mieli wsiąść na okręt, dreszcz przeszedł garnizon. Urlopnicy wracali na gwałt, by na Helu i u ujścia Wisły powitać polskiemi chorągwiami „Francuzów“ i pochwalić się swemi wawrzynami. Przewidywano, że krótko po wylądowaniu tego korpusu w Gdańsku nastąpi uwertura nowego aktu orężnego Żabińszczyków.

W Tczewie gromadzono znaczny tabor kolejowy i czekał tam już pociąg pancerny, by pewnego wieczora puścić się w trop za zwykłym pociągiem z Niemiec do Olsztyna i Działdowa idącym i utworzyć awangardę pociągów wojskowych. Na drodze nic Polakom nie zagrażało. Nie istniała tam żadna zorganizowana siła zbrojna, gdyż żołnierz, który niedawno powrócił z wielkiej wojny, całkiem zdemoralizowany, z oburzeniem odwracał się od agitatorów, ciągnących go w szeregi Grenz lub Heimatschutzu. Nawet bezdomni wykoleńcy, szumowiny, społeczne, nie szły już na lep wysokiego żołdu. Odstraszyło je bowiem doświadczenie Grenzschutzów pod Solcem i Tczewem.

Mimo to, chcąc zdezorjentować Kwidzyń i zatrudnić tamtejszą żandarmerję i straże obywatelskie, Żabicki wydał rozkaz, by polska straż Grudziądza wyruszyła w danym momencie na

pogranicze Kwidzyńskie, oraz przygotował pozorny atak na to miasto z lewego brzegu Wisły, przez most pod Opaleniem.

Gdy generał Grudzielski pokazał Żabickiemu depeszę od generała Hallera, potwierdzającą wiadomości z gazet, kwaśną przybrał minę, bo nie uśmiechało mu się to, że przyjdzie mu oddać niemal wszystkie koszary przybyszom z Francji, i przenieść się do Malborga i Tczewa, w celu utworzenia rezerwy dla kolumny ekspedycyjnej Żabickiego.

— Przyjadą niedługo... — mruczał zcicha pod wąsem. — Pięć pełnych dywizji. Zejdziemy w kąt...

— Nas, panie generale, nikt nie zepchnie na drugi plan — odparł Żabicki. — Można nas zmajoryzować liczbą żołnierza, lecz nie można zaćmić zasługą i cnotą wojenną.

Generał pokiwał głową, a pułkownik dodał:

— Nie potrzebujemy zazdrościć im wywczasów w Gdańsku. Oni raczej będą mogli zazdrościć nam czekającej nas roboty w Prusach Wschodnich. A zaiste na tem nie koniec...

— A co ty planujesz dalej? — pochwycił generał.

— Dalej? Rozgrywkę z Kownem pozostawiłbym najchętniej Szczerbie, czyli Warszawie, a korpus nasz rzucił na Śląsk...

— Górny Śląsk! To zadanie godne naszego korpusu!... Myślałem o tem — zawołał stary

generał z zapałem i począł przedstawiać mu, jak wyobraża sobie ekspedycję na Opole. Lecz w końcu zwiesił głowę smętnie i westchnął:

— Ale ja już stary jestem...

Na to wszedł do gabinetu elegancki porucznik Morozowicz.

— Pan kapitan Szczerba telefonował — zwrócił się do Żabickiego — że Rada Ministrów przez jego usta wzywa pana pułkownika do natychmiastowego przybycia do Warszawy.

— Wygrywamy sprawę... — mruknął generał i rzekł do Żabickiego: — Polecisz jutro z rana.

— Pan kapitan donosi, że Warszawa spodziewa się przybycia pana pułkownika z godziny na godzinę. Gruchnęła tam już wieść o wylądowaniu pana pułkownika na lotnisku. Rozniosły ją po mieście nadzwyczajne dodatki kilku gazet i natychmiast tysiące ludzi zebrały się na lotnisku w celu powitania pana pułkownika.

Żabicki stropił się, jakby przerażony tem, że wyrósł na bohatera. Szarpnął wąs i wyrzekł w zamyśleniu:

— Cóż oni odemnie chcą? Takie powitanie ze strony tłumów, to nudna historja, może dobra w teatrze... Wszystko stało się, jak stać się musiało. Przez nas działała wola niebios. Bogu trzeba dziękować...

Raptem odwrócił się żywo do generała:

— Panie generale, ja polecę o świcie i wyląduję w Warszawie o tak wczesnej godzinie, że miasto będzie jeszcze pogrążone we śnie.

— Nie, nie! — odrzucil Grudzielski.

— A czy pan generał nie wybrałby się ze mną dzisiaj jeszcze koleją?

— Nie, mój chłopcze, jedź sam. Morozowicz doniesie natychmiast panu Szczerbie, że przylecisz jutro do Warszawy około... dziesiątej.

— Według rozkazu — rzucił Morozowicz i wyszedł. A generał zauważył:

— Takie przyjęcie, jakie ci tam zgotują, należy się przedstawicielowi naszego korpusu i... tobie.

Żabicki siedział w krześle naprzeciwko generała bez słowa. Naród pragnął ujrzeć w nim posąg, a on czuł się najlepiej przy pracy.

— Po takiem powitaniu — ciągnął Grudzielski — przeprowadzisz łatwo w Radzie Ministrów wszystko. Więc powinieneś się z tego radować tem więcej... Zaskoczyło cię to. Słuchaj! Zmieniło się teraz coś w twem życiu. Wstępujesz na wielką arenę... Dlatego, Sobiesławie, chciałbym, abyś jutro przedstawił się tłumom takim, jakim ten tłum pragnie cię zobaczyć... To bardzo ważne.

— Mój generale, ja nie potrafię wcale upozować się teatralnie.

— Potrafisz... nieświadomie. Mów do tego tłumu tak, jak mówiłeś do naszych żołnierzy

w Bydgoszczy na tej uroczystości kilka dni przed bitwą pod Solcem.

— Cóż ja wtedy mówiłem takiego? Nic, byłem poprostu sobą.

— Otóż to! Bądź sobą, bądź bardzo sobą! Porwiesz wszystkich.

Po chwili milczenia Żabicki zagadnął:

— Dlaczego pan generał mnie tak poucza?

— Mój Sobiesławie, — westchnął generał — Polska zabiera mi ciebie. Powoła cię do wielkich rzeczy... Ale ja pójdę za tobą myślami i... sercem, mój synu.

— Generale mój! — zawołał wzruszony Żabicki i powstał. — Moja wdzięczność niema granic. Bo tylko pod opiekuńczem okiem takiego dobrego i rozważnego ojca mogłem tak owocnie pracować dla Polski. Dlatego ja pana generała, czuję to dzisiaj, miłuję od dawna, jakoby swego ojca...

Jakby żegnając się przed wielką wyprawą ojciec i syn złączyli się w serdecznym uścisku.

Na to wszedł do pokoju ordynans i zameldował kapitana Kaczmarka.

Wszedł z rozmachem kościsty oficer, wyprostował się przed generałem i począł z uśmiechem:

— Zdaje mi się, że nieźle zorganizowałem służbę wywiadowczą... Trzy dni temu odbyło się poufne zebranie w mieszkaniu pana Berlinera, na którem obradowano nad kwestją jak ustosunkować się do władzy polskiej i Rze-

czypospolitej, a mianowicie jak skaptować sobie pana generała i pana pułkownika...

— Co? Skaptować nas?

— Tak jest. Uczestniczyli w tem zebraniu p. Reinke, jakiś hrabia z pod Wejherowa, jeden Regierungsrat i dwuch członków Volksratu. Otóż wkrótce pan generał i pan pułkownik dostaną zaproszenie od tego grafa na jakieś święto rybackie połączone z wielką zabawą i zjazdem okolicznych ziemian. Pan Berliner zaś otrzymał misję wciągnięcia pana pułkownika w jakie większe, dobrze prosperujące towarzystwo akcyjne. Jak on to uskuteczni, nie wiem. Dość, że zamierza przysporzyć panu pułkownikowi dochodów. Zdaje się, że chodzi o towarzystwo okrętowe. Interesowany w takiem przedsiębiorstwie, pan pułkownik nietylko nie namawiałby rządu polskiego do powołania do życia polskiej żeglugi, lecz starał się o to, by rząd polski sprowadzał z za morza swe importy na okrętach tegoż towarzystwa. Tak spekulują ci Gdańszczanie. Medytują teraz oni nad tem, jakby zaskarbić sobie względy i fawory wpływowych osób w Warszawie. Na cele do tego zmierzające, poczynają oni zbierać między sobą znaczne fundusze. Słowem tworzy się tajne towarzystwo korupcyjne na wielką skalę.

— Już poczyna się krecia robota tego chytrego żywiołu — zauważył nachmurzony puł-

kownik, widocznie tem odkryciem zaniepokojony. A Grudzielski zawołał do Kaczmarka:

— Jakżeś ty u djabła dowiedział się o tem?!

Kapitan dumny ze siebie, roześmiał się serdecznie i jął opowiadać, że pewna młoda żydówka, córka wpływowego giełdziarza, a przyjaciółka panny Berliner, zarzuciła sieci na ładnego jak malowanie porucznika ze strzelców konnych. A że ojciec jej, dobrze po polsku mówiący, ma w robocie tych spiskowców wziąć ważny udział, więc od niego, jak niemniej od przyjaciółki dowiedziała się ona o zamiarach i planach tej kompanji i wypaplała to swemu Adonisowi.

— Dobrze się stało — mruknął Grudzielski. — Ale że też to babskie nasienie musi nos wetknąć w takie mętne wody. Niestworzenie boskie. No, doskonaleś się spisał. A teraz zadzwoń i zapytaj się, jak tam stoi z kolacją.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz samolot miał zabrać Żabickiego i wznieść go nad poziomy, by ujrzała go cała Polska.

Grudzielski otworzył mu oczy na to, że stanął na przełęczy dwuch epok w swem życiu. Ale Sobiesław nie czuł po nogami piedestału, na jaki go stawiano, bo nie to zaprzątało jego

głowę. Jak rozumiał to Szczerba, nie pragnął być kimś, nie znał słowa karjera, lecz skrystalizował się w żądzy wielkiego czynu dla Polski. Spozierając zatem w jutro, nie widział siebie, lecz ludzi, z jakimi przyjdzie mu konferować, a ponad wszystkiem widział... mapę, na której Bóg pozwolił mu wytyczyć najważniejsze granice Polski. Gdy kiedyś niebieskim ołówkiem wykreślał na niemieckiej swej mapie te granice, promieniował najwyższem szczęściem. Wyleciał ponad szare prochy, w podniebia i zdało mu się, że we wszechświecie niema nic tylko jaźń jego, wyzwolona z więzów, i Bóg.

Pożegnawszy generała udał się do kancelarji sztabowej, zebrał papiery i mapy w tekę, zamienił kilka zdań telefonicznie z panną Anielą i napisał krótki list do matki, jak czynił to zwykle w ważnych momentach swego życia, jakby pragnąc w mistycznem z nią obcowaniu zaczerpnąć coś niecoś ze źródła jej kryształowej miłości.

Wybiła dziesiąta. Miasto wcześnie układające się na spoczynek, opustoszało, ucichło. Tylko w knajpach gnieździło się mrowie ludzkie. Chłodna noc wiosenna zespoliła się z majestatem ciszy.

Otworzywszy okno Żabicki spozierał na czarne, stare mury miasta, jakby z otchłani wieków wyczarowanego i zrozumiał, że kochał to miasto odkąd, jako szesnastoletni gim-

nazisla zwiedził je z rodzicami w czasie wakacji. Pozostało na dnie jego duszy wrażenie tych polskich orłów na niemieckich kamieniach.

Wyszedł w cichą noc tego miasta, minął przeżytek: pomnik starego Wilhelma, oraz renesansową bramę „Wysoką”, strojną niby dama dworska, i przypomniała mu się jedna z umieszczonych na niej maksym: „sapientissime fiunt omnia quae pro republica fiunt”. Minął barbakan z basztowej wieży Laskiej i Katownię i zanurzył się w mroki Złotej Bramy, z włoskiego ducha poczętej.

Wkroczył w serce miasta, w wygiętą arterją „Długą” i posuwał się wzdłuż siedzib patrycjuszowskich, przed galerją fasad ozdobnych, portyków, płaskorzeźb i polichromji, dawne, polskie znających czasy.

Przed główną pocztą salutował go odwach i wnet znów ujrzał posuwające się tam i napowrót sylwetki żołnierzy na wysokiem, rokokowem przedprożu gotyckiego ratusza, gdzie zawsze przejmował go radością widok zwieszającej się nad portalem chorągwi polskiej.

Pochylił przed nią czoło, a przed nim wieża cała wyprostowała się jak struna, stanęła na baczność i ze szczytu jej król Zygmunt August, w miedź złotą zakuty, przesłał mu w dźwięcznych, zegarowych dzwonów hejnale uroczyste: Dzięki ci, dzięki...

Jak każdy zwycięski wódz, żywiąc czułą strunę w piersi dla swego żołnierza, zatrzymał się i wdał w gawędę z dwoma wartownikami. Pytał się, czy nikt nie zaczepia ich zuchwale, skąd pochodzą i jak im się w tem mieście podoba, słuchał ich wspomnień z bojów i radował się ich dumą.

Na tem miejscu, pod tą chorągwią, pod posągiem króla polskiego oglądał swe wielkie dzieło, wypiastowane w duszy a dokonane w krwawym znoju. Więc gotów był w tej chwili zamienić sie z tym żołnierzem stojącym na warcie tego symbolu władzy polskiej nad bałtyckim brzegiem. Zaprawdę lec jak brytan wierny na straży tych posad, nareszcie wydartych ze szponów sępich — już to byłoby szczytnem życia zadaniem.

Strzelista wieża ratusza, ostre, rdzawe wieżyczki kościoła Marjackiego, szczyty wąskich kamienic, przypominające wywrócone wazony, ich polichromje i Artushofu koronkowe oblicze i Neptun z bronzu, niby faun płochy na studziennym wodotrysku sterczący — wszystko to wychylało się z mroków, zdumione zjawą polskiego żołnierza. A składało się to na królewskie tło, na którem wysunąwszy się z giełdy, majaczył się cień Kazimierza Jagiellończyka...

Wystąpił on na ten rynek, gdzie ongi przyjmowano uroczyście królów polskich — pierwszy zdobywca Gdańska wystąpił w koronie, w gronostajowym płaszczu na powitanie dru-

giego zdobywcy, co nawiązywał teraźniejszość do mnogich pamiątek zamierzchłej przeszłości i wskrzeszał dzieło dwuch Jagiellonów. Zabłysnął złociście orzeł polski na drzwiach Artusowego Dworca i cienie domów słały się pokornie u stóp zdobywcy...

A on, hołdów nieżądny, kroczył przez rynek — przez olbrzymią nawę, granatowym stropem nakrytą, przeszedł pod łukiem bramy „Zielonej” i zatrzymał się na pobliskim moście Motławy, gdzie miał przed oczyma piękną akwafortę Gdańska.

Na połyskliwej wstędze rzeki kołysały się senliwie kutry i berlinki. Na krawędzi ich piętrzyła się długa, zwarta ściana kratkowanych, białoczarnych śpichlerzów, a na przeciwnym brzegu wzdłuż barwnych, potulnych domków, knajp majtkowskich i kramików, biegł pomost drewniany do olbrzymiego, wiatrak przypominającego żórawia, którego cielsko, jakby zwęglone, w bastjony ujęte, wyrastało ciężką masą ze zwału domostw. Z pod zwieszonego kaptura żórawia spadał łańcuch, coś jakby cienki kosmyk włosów nad taflę pracowitej rzeki.

Noc i cisza pogrążyły węglem rysowany obraz w pomrokę średniowiecza, osnuły czarem tajemniczości i Żabicki wchłaniał w siebie charakterystyczny widok, jakby woń zerwanego kwiatu.

Rozmiłowany w tem mieście dążył do niego, niby rycerz krzyżowy do ziemi świętej. Więc tam przyszedł spędzić godzinę samotności.

Wstąpił w siebie, zadumał się nad światem, w jaki miał wejść nazajutrz. Wtapiając się wnikliwie w zbiorowego ducha społeczeństwa polskiego i charakter narodowy, zrealizował podświadome dotąd przypuszczenie, że nosi w sobie zgoła odmienne od rodaków pojęcia, sądy i zapędy.

Rozbieżność między nim a zbiorowym charakterem Polaków wydała mu się tak przepastną, jakby był w narodzie przybłędą. Gdyby wystąpił na forum, rozdarł duszę i odsłonił jej szczeliny, społeczeństwo odwróciłoby się od niego, jak odwróciło się od kazań Skargi, spaliło go na stosie jako kacerza, bluźniercę i wyrodka. Spaliłoby racjonalistę w koronie jego ideałów narodowych i w kwiatach jego miłości Ojczyzny.

Myślał inaczej, — kategorjami relatywnemi a przewaga zimnego rozumu wyodrębniała go od społeczeństwa kołysanego na płytkiej fali pseudoromantyzmu. To, co on wielbił, czego wymagał od sterników, nie uchodziło wcale za atrybut potrzebny w zbiorowisku impresjonistów.

Nikt nie byłby go rozumiał, gdyby wypowiedział głośno swój aforyzm, że naród, który popadł w niewolę skutkiem braku trzeźwego rozumu i charakteru, musi odrodzić się, zre-

formować od podstaw ducha i przeobrazić tak, by go rodzona matka nie poznała. Musi zespolić się z interesem Państwa i podporządkować mu bezwzględnie, jeśli ma być Państwa swego godnym. Musi wsączyć w krew energję a w duszę godność narodową, dumę i ambicję. Albo musi zginąć.

Może dlatego przeznaczenie wysunęło akurat jego na dominujące wyżyny, aby — jak orzekł jeden z jego oficerów — niby Bolesław Chrobry, stworzył naród raz jeszcze.

Ale jak można było sądzić, że nikt nie byłby go rozumiał?! Przecież rozumiał go doskonale ten tłum, oczekujący w radosnem podnieceniu jego przybycia do stolicy, — rozumiał go naród, bo wołał go do siebie i wyciągał doń ramiona niby do gońca niebios. Uznawał jego genjusz twórczy, jego nacjonalizm i jego czyn i radował się z jego narodzin, bo czuł, że niesie mu on bezgraniczną, stalową, ofiarną, najświętszą miłość.

Żabicki zapatrzył się na rzekę pod stopami jego zdążającą do Wisły i jak ta rzeka, płynął spokojnie do Polski — w zorze nowych, wspaniałych zadań.

Wysoko nad głową jego błyszczała gwiazda.

KONIEC.

30-